

JAROSŁAW KLONOWSKI

GŁOS MORZA



JAROSŁAW KLONOWSKI

GŁOS MORZA

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2021

Dom Horroru
Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Copyright © Jarosław Klonowski, Głos morza, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Barbara Mikulska
Korekta: Anna Grzeszczyk

Projekt okładki: Kornel Kwieciński, Strangely Twisted
Skład i łamanie: Sandra Gatt Osińska

Wydanie I
ISBN: 978-83-66518-90-2

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

*Książkę dedykuję
moim najbliższym,
Monice, Zosi i Szymonowi.
Jesteście wspaniali.*

WSTĘP

Fascynacja grozą w jej czystej, niezwulgaryzowanej formie towarzyszyła mi od momentu, gdy skierowałem kroki do tak zwanej „dorosłej biblioteki”. Pamiętam bardzo mgliście pierwszy pocałunek prawdziwie mrożącej krew w żyłach historii. Mniejsza o tytuł czy autora. Przekroczyłem granicę, cienką i pisaną tuszem bramę, pomiędzy światem żywych i wszystkim, co na Zewnątrz, tym, co mieszka w nawiedzonym i nieprzewidywalnym domu wyobraźni.

Od tej pory fikcja miesza się z życiem, lub je naśladuje, za pomocą książki i nieprzeliczonych godzin, które spędzam, wsłuchując się w muzykę słów. I nawet jeśli ta sceneria jest nieco wyświechtana, to przypomina brzeg z powieści *Głos Morza*, gdzie absolutnie wszystko się może zdarzyć.

Poznajcie opętanego żądzą zemsty Thomasa Elthorna. Historię Thomasa znam z jego dziennika, a o tym, co spotkało jego siostrę, dowiedziałem się z jej listów do brata. Inne dokumenty, pojawiające się w książce: sprawozdania, dzienniki pokładowe, etc., jedynie przybliżają okoliczności, w jakich rozegrała się tragedia i ukazują emocje głównych bohaterów dramatu. A najbardziej ze wszystkich przerażająca wydaje się sugestia niewypowiedziana wprost przez autora dziennika. Czy za obłąd Clarissy winę ponosi sam Elthorn, ze swoim niezdrowym i nienaturalnym afektem, którego źródłem jest miłość do rodzonej siostry?

Jeśli to prawda, to moja książka stałaby się czymś więcej, czymś głębszym niż powiastka o duchach w XIX-wiecznej aranżacji. Byłaby świadectwem dramatu, gdzie to ludzie stają się potworami wyzutymi z moralności. Jeśli jednak, drogi Czytelniku, pragniesz potraktować ją z przymrużeniem oka, do czego mimo poprzednich słów gorąco zachęcam, niech pozostanie dobrą rozrywką na kilka wieczorów, stworzoną na użytek wyobraźni i dreszczyku emocji.

Jakkolwiek do niej podejdziesz, drogi Czytelniku, życzę udanej lektury.

Jarosław Klonowski

1. GŁOS MORZA

Ashburton,
14 grudnia 1866 roku

Drodzy przyjaciele...

Wspomnienia bywają bolesne. Szczególnie, jeśli dotyczą bliskich, którzy odeszli. Tak właśnie jest ze wspomnieniami o Clarze.

Rany są jeszcze świeże. Może dlatego nie lubię wracać do tych listów. Ani do zdarzeń, które miały miejsce na wybrzeżu Nowej Zelandii. Nie lubię myśleć o domu, gdzie zamieszkała i gdzie pograżyła się w całkowitym szaleństwie moja mała siostra, Clarissa. Lecz przecież nie zamknę się w czterech ścianach, udając, że nic się nie stało. Jestem Wam winny wyjaśnienia. Wiem, że wszyscy kochaliście Clarę w nie mniejszym stopniu niż ja. Wszyscy ją ubóstwiali.

Przypadek Clary jest związany bezpośrednio z pewnym dzikim zakątkiem na wybrzeżu. Miejscowi Maorysi nazywają je Wzgórzem Kalmara i omijają szerokim łukiem, tak że stoi ono opustoszałe. Ale to tylko połowa prawdy. Jeśli pogrzebie się trochę głębiej, ponure fakty wychodzą na jaw.

Otóż pół wieku wcześniej znalazł się zuchwały mężczyzna, który ośmielił się zakłócić istniejący porządek. Nazywał się Barney Rhodes. Był amerykańskim armatorem, człowiekiem sukcesu. Niestety, jak to często bywa, fortuna odwróciła się od niego. Po przeżyciu załamania nerwowego, Rhodes postanowił odseparować się od reszty świata. W tym celu wznosił na wzgórzu okazały, nowoczesny dom, gdzie spędził kilka ostatnich lat swojego życia w zupełnej samotności. Budynek górował z jednej strony nad urwiskiem, z drugiej nad wilgotnym, mglistym lasem w głębi lądu. To w tym przeklętym domu zamieszkała moja siostra.

Pamiętam, gdy po raz pierwszy zobaczyłem wzgórze i leżącą na nim posesję. Była ze mną Clarissa. Oboje bardzo źle znosiliśmy parny nowozelandzki klimat. Lecz dom wydał nam się wspaniały. Taki europejski. Także otoczenie budynku było urzekające. Po obu stronach rozciągał się dziki widok, wyjęty żywcem z obrazów mistrzów współczesnego pejzażu. Zupełnie jakby zewsząd otaczał wzgórze ocean, z jednej strony lazurowy, z drugiej zielony. Mgły podeszły pod sam próg domostwa. Atmosfera miejsca stwarzała złudzenie, że jesteśmy z powrotem na Starym Łądzie, w ukochanej Walii z naszego dzieciństwa.

W niespełna miesiąc później, za sprawą dokonanego na nazwisko Clarissy zakupu, dom należał już do mojej siostry. Pośrednikiem w sprzedaży nieruchomości był pewien obmierzły, lecz prawdomówny człowieczek, Australijczyk nazwiskiem Brock. Krótco po sfinalizowaniu zakupu,

otrzymałem depeszę z Nowego Yorku. Chodziło o sprawy firmy. Rodzina Elthornów zawsze uchodziła za wpływową i prowadziliśmy interesy na kilku kontynentach. Na czas nieobecności wywołanej załamaniem Clary, sprawy firmy zmuszony byłem pozostawić w rękach współpracowników. Niestety, nie wszyscy cieszyli się moim zaufaniem. Martwiłem się zwłaszcza o księgowość jako, że tym od lat zajmowałem się osobiście. Powierzenie ksiąg firmy osobom, które nie zostały wcześniej wypróbowane i w których oddanie miałem prawo powątpiewać, nie było dla mnie łatwe. Ludzie Ci, mieli dość ograniczone talenty i osobowości. Nie nadawali się do zarządzania sprawami firmy, może poza wyjątkiem zadań ściśle dla nich przeznaczonych. Gdyby nie stan Clarissy i moja troska o nią, nigdy nie dopuściłbym się podobnej niedbałości.

Być może brzmi to jak tłumaczenie. Czuję się jednak odpowiedzialny, jeśli wręcz nie współwinni tego, co spotkało Clare. Na pewne rzeczy nawet bogacze i arystokraci nie mają wpływu.

Depesza dotyczyła niezwykle intratnego kontraktu, a wskutek mojej nieobecności mógł on zawisnąć na włosku. To była okazja, która mogła się nie powtórzyć. Zakończenie Wojny Secesyjnej znacznie ożywiło produkcję, w tym także produkcję fabrycznie montowanych maszyn rolniczych i obrabiarek, stanowiąc główne źródło rozwoju firmy Elthorn & CO. Możliwości, które dawały powstające jak grzyby po deszczu amerykańskie banki, były impulsem wywołującym znaczne ożywienie gospodarki i ogromny optymizm potencjalnych inwestorów. Niestety, konkurencja trzymała rękę na pulsie.

Stało się zatem tak, że pozostawiłem moją kochaną Clare na łaskę sił, o których nie miałem jeszcze wtedy pojęcia. Wydawało mi się, że będzie bezpieczna w towarzystwie leciwej panny Melisy Riodan. Stara guwernantka towarzyszyła Clarissie od przeszło dziesięciu lat, także podczas niedawnej podróży poślubnej. To właśnie ona zawiadomiła mnie depeszą o fiasku małżeństwa, udowadniając w ten sposób, że można polegać na jej lojalności, jak i dyskrecji. Panna Riodan posiadała irlandzkie korzenie i żadnych krewnych. Była pozbawioną pasji nudziarą, idealną do roli służącej, ze swoim nieco cierpkim, przejmującym głosem mogła wydawać się denerwująca, lecz z pewnością nadawała się do wyznaczonych jej przeze mnie spraw. Jej surowa, wynikająca z wychowania w katolickim duchu natura, stanowić mogła stosowną przeciwwagę dla wybujałej wyobraźni mojej siostry. Panna Riodan nie narzucała jednak nigdy Clarze swojego zdania i wiele potrafiła przemilczeć, a jeszcze więcej na stałe zachować dla siebie. Była to rzecz istotna, biorąc pod uwagę wrażliwego i nieco buntowniczego ducha mojej siostry. Zadbalem o wynagrodzenie Riodan. Pensja, wypłacona przeze mnie z góry za okres kwartału, w pełni pokrywała niewielkie potrzeby niezamężnej kobiety. W zamian mogłem liczyć na wspomnianą już dyskrecję, jak i pełne oddanie, czyniąc ponurą izolację Clarissy nieco znośniejszą.

Niepokoje w okręgu Polinezji skończyły się parę lat wcześniej, trwał względny spokój na wszystkich wyspach. Zapewne niektórzy odbiorą to jako tłumaczenie, ja jednak naprawdę nie dostrzegałem żadnych powodów do troski o siostrę.

Do dziś przeklinam tę decyzję, lecz nie jestem w stanie cofnąć czasu, obojętnie jak wielkie poczucie winy mnie trawi. Czy powodem załamania i zagadkowej śmierci mojej siostrzyczki była jej krucha psychika? Tego nie wiem na pewno. W końcu sam, mając się za twardą sztukę, wraz z uczuciem odurzenia niezwykłym klimatem panującym na wzgórzu, doznawałem też pewnego trudnego do określenia dyskomfortu. Towarzyszył mi, odkąd tylko przybyliśmy na Wzgórze Kalmara. Próżno tłumaczyć to zmianą klimatu. Pochłaniała mnie sekretna groza, uwita wokół tego zaczarowanego zakątka. Choć przyznaję, tłumilem w sobie te uczucia, uznawszy je za wyjątkowo niemądre. Było coś we mgle, a także nateżeniu światła, co z miejsca przywodziło na myśl deliryczny sen. Słabszy od mojego umysł potrafiłby całkiem zatracić się w tej atmosferze.

Dom, jak już wspomniałem, wydawał się początkowo niezwykle uroczy. Oczarował nas od pierwszego wejrzenia. Stanowił typowe zabudowanie klasycystyczne, z domieszką kilku innych popularnych trendów. Miał pobielane ściany, z których co prawda odpryskiwała farba, ale jakież dom nie wymaga renowacji po tak długim opuszczeniu? Takie miejsca wymagają, aby je adaptować do potrzeb nowych właścicieli. Choć często to właściciel niepostrzeżenie przystosowuje się do niezwyklej atmosfery domu.

Dziś jeszcze pamiętam osobliwe wrażenie, jakie wywarła na mnie okolica oraz sam budynek. Były to odczucia niepokoju i pewnego napięcia, jakby w oczekiwaniu na coś, co odmieni na zawsze mój sposób postrzegania rzeczywistości.

W domu, w salonie na dole, stał przykryty materiałem, bardzo nietypowo ozdobiony fortepian. Przyjrzałem mu się, kiedy Clarissa oglądała poszczególne pokoje. Drewniany instrument pokrywały dziwaczne płaskorzeźby. Przedstawiały one florę i faunę morską, żywcem wyjęte z książek angielskich biologów. Artysta, który ozdobił instrument, włożył niebywały kunszt w ukazanie szczegółów anatomicznych raczej odpychającego charakteru. Nie wzorował się przy tym na żadnym znanym kierunku, nie naśladował żadnej szkoły i był na wskroś osobliwy. W płaskorzeźbach dostrzegłem co prawda coś z symboliki impresjonizmu Rodina, lecz było to bardziej podobieństwo niż nawiązanie. Zaskoczony oszalałającą precyzją wykonania, skupiłem się na niezwykłym realizmie, dominującym wśród przedstawień niesamowitych, antropomorficznych stworzeń. Dostrzegłem także ślady mistycyzmu, charakterystycznego dla prymitywnych plemion Polinezji.

Nie był to pierwszy przypadek, gdy sztuka oddziaływała na mnie z taką siłą. Możliwe, że odzywała się we mnie uśpiona wrażliwość, odziedziczona po matce. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie spotkałem się z podobną formą w sztuce użytkowej.

Nie powinienem był bagatelizować wrażeń, które wywołał we mnie ten dziwny instrument. Tak jednak się stało. Uznałem, że jest to po prostu osobliwie ozdobiony fortepian. I nie nadałem odpowiedniej rangi moim odczuciom.

Tak. W tamtej chwili liczyła się jedynie świadomość, że odkrycie z pewnością ucieszy Clarissę. Na pustkowiu, gdzie miała zamieszkać, fortepian wydał mi się prawdziwym cudem. Brzmienie instrumentów klawiszowych zawsze było bliskie jej wrażliwemu sercu. Clarissa uwielbiała muzykę kameralną, wprost wielbiła niemieckich mistrzów i posiadała niebywałą wrażliwość muzyczną. Dlatego zostawiłem fortepian pod przykryciem, wśród wniesionych przez moją służbę kufrów, zawierających osobiste rzeczy siostry.

Wyobrażałem sobie zaskoczenie Clarissy, gdy samodzielnie "odkryje" niezwykle instrument i pozwalając sobie na uśmiech, wspiąłem się za nią na piętro. Po ukończeniu wiedeńskiego konserwatorium, moja Clara myślała o karierze pianistki. Niestety, kontuzja nadgarstka i małżeństwo udaremniły jej plan.

Czy można mnie winić, że pozostawiłem Clarissę samej sobie, pod opieką jednej służącej? Czuję, że samotność najlepiej zaleczy rany po nieudanym związku.

Moja siostra nigdy nie miała szczęścia do ludzi. Kiedy przedstawiła mi swojego narzeczonego, od razu miałem złe przeczucia. Zubożały hrabia, Francois Boupont, był zwykłym, polującym na posagi łobuzem. Życie z nim stanowiło dla mojej siostry niewypowiedziany koszmar. Jej chwiejna psychika bardzo ucierpiała. Boupont odznaczał się typowym dla Francuzów brakiem manier. Pijak, awanturnik i hulaka, zadowolony z siebie łajdak, który traktował wszystkich instrumentalnie i z wyższością. Był z niego istny wilk w owczej skórze. Czy raczej we fraku i rękawiczkach.

No, ale odbiegam od tematu. Pozostawiłem Clarissę na wyspie. W chwili mojego wyjazdu takie rozwiązanie wydawało mi się najlepsze. W każdym razie nie sądziłem, żeby powrót do Ameryki, gdzie aktualnie prowadziłem interesy, mógł w czymkolwiek pomóc Clarissie. W Stanach spędziła swój miesiąc miodowy. Były to jedyne względnie radosne chwile krótkiego małżeństwa. Chwile wypełnione muzyką i tańcem.

Sprawy potoczyły się własnym, przerażającym torem. Co do mnie, to do końca pozostałem nieświadomy zmian, które zaszły w psychice Clarissy. Siostra obiecała pisać na mój nowojorski adres listy. Jej korespondencja w pełni świadczyła o dziwnych wypadkach w 1866 roku. Niestety, dotarła do mnie za późno.

Teraz pozostawiam Was po tym przydługim wstępie z listami. Na zakończenie dziękuję za kondolencje po śmierci biednej Clarissy tym wszystkim, którzy je nadesłali.

Thomas Elthorn III

Ashburton,
3 lipca 1866 roku

Drogi Thomasie,

dziękuję jeszcze raz za towarzystwo w drodze do Nowej Zelandii i ponownie powtarzam, żebyś się nie martwił. Myślę, że doskonale się złożyło, że musiałeś wyjechać. Ja również chętnie pozostanę na moment sama. To doprawdy jedyne wyjście, jakie widzę. Przepraszam również za mój rozedrgany styl pisania, lecz taka już jestem.

Zresztą tych kilka dni zbliżyło nas do siebie, nieprawdaż? Będę teraz do Ciebie pisywać regularnie. Jesteś mi obecnie najdroższą osobą na świecie po tym, jak ten pożałowania godny łotr... och... Nie będę go nawet wspominać. Uśmiecham się.

Piszę z miasta, gdzie spędzam obecnie sporo czasu. Panna Riodan wcale tego nie pochwała, czemu nadzwyczaj często daje wyraz. Mój Boże, co za marudna nudziara! Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam w jej towarzystwie! Rozumiem, że jest nieocenioną pomocą w codziennych sprawunkach i być może byłoby mi znacznie ciężiej bez tej pomocy, lecz nadmierna troska, którą mi okazuje, na dłuższą metę mierzi mnie i przyprawia o rozdrażnienie. Praktycznie wszystko, co robię, wymaga jakiejś opinii z jej strony. Nigdy nie posuwa się przy tym do bezpośredniej nagany, to by było nie w jej stylu. Lecz i tak doskonale zdaję sobie sprawę, że uważa mnie za dziwaczkę, ba, może nawet dziewczynę lekkich obyczajów. Nie wiem, czy to miejscowy klimat, czy coś innego, jednak rośnie we mnie przekonanie, że panna Melisa nareszcie pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Zaczynam powoli rozmyślać o tym, aby zwyczajnie się jej pozbyć i wziąć w to miejsce jakiegoś miejscowego służącego, pozbawionego jej krótkowzroczności i okropnego charakteru. Na pewno znajdę kogoś odpowiedniego w Dunedin. Nie, uprzedzając pytanie, nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. Lecz uwierz mi, potrafię być samodzielna i sama zdecydować o własnym losie.

Mam nadzieję, że powody mojego postępowania są dla Ciebie zrozumiałe i że zaakceptujesz moje posunięcie (gdyby do niego doszło). Właściwie po tym, czego świadkiem była panna Riodan jeszcze w Anglii, żyłam w przeświadczeniu, że sam ją odprawisz. Mówię Ci, tej kobiecie nie wolno ufać. Posiada wszystkie cechy klasy, z której się wywodzi. Nie rozumiem, dlaczego ona tu została. Mogłeś zadbać o stosowne wynagrodzenie, aby zamknąć jej usta i zabrać ze sobą w diabły, a potem pozbyć się dobrej panny Riodan raz na zawsze. Wiesz, mój drogi, co mogę mieć na myśli? Nie? A zatem, czy mało

służących traci zarobek z powodu jakichś domniemyanych oskarżeń? Wiem, że byłoby to nie w Twoim stylu, jednak czy nie wymagają takiego drastycznego zachowania zaistniałe okoliczności? Pozostawiam Ciebie z przemyśleniami na ten temat.[1]

Przepraszam, nie powinnam Ci takich rzeczy sugerować. To poniżej mojej godności. Gdyby nie koszt papieru i problem w jego uzyskaniu tutaj, spaliłabym ten okropny list i napisała go od nowa. Nieważne. Miałaś swoje powody. Z pewnością je miałaś. Najwyraźniej uznałaś, że lepiej utrzymać stanowisko, przysparzając mi w ten sposób kłopotów i narażając na to wątpliwej jakości towarzystwo. Na pomówienia i pogardę ze strony panny Riodan, na te jej ciągle przytyki. Zawsze byłeś taki szlachetny i przejęty konwenansami. Tak zostałeś wychowany i nic na to nie poradzisz. Wiem, że przejmujesz się moim losem. Obawiasz o reputację swojej małej Clary. Kto wie, może nawet uważasz, że sama się zdradzę, przysparzając tym samym kłopotów sobie, jak i rodzonemu bratu. Nic bardziej mylnego! Wiedz, że to, co nas łączy, jest naszą wspólną, świętą tajemnicą.

Cóż, czas pokaże, kto miał rację. Ale nie myśl, że robiąc zakupy w mieście, Melisa nie strzępi języka. Pewnie nie zdawałaś sobie sprawy, że to okropna plotkara. Miałam, niestety, sposobność dowiedzieć się o tym od pewnego Anglika, pana Rogera McAbeltona, z którym kochana Melisa podzieliła się uwagami na temat mojego życia osobistego. McAbelton jest jeszcze względnie wychowany i posiada jako taką ogładę. Reszta Brytyjczyków tutaj stanowi dość zdegenerowaną grupkę, pozbawioną zupełnie manier. Kilku z nich, mam wrażenie, uciekło ze Starego Łądu od długów albo może nawet i stryczka.

Mówię Ci, Thomasie. Przejrzałam pannę Melisę Riodan. Uświadomiłam sobie długo tajone przed nami intencje. Niestety! To dwulicowa, ograniczona modliszka. Sama nie wiem, jak to możliwe, że przez ten cały czas ulegaliśmy pozorom i nie zauważyliśmy osobliwego rysu, który zataiła przed nami. Byliśmy ślepi.

Nie martw się, nie będę działała pochopnie. Z moich słów może to wynikać, lecz zachowam daleko idącą ostrożność. Wiem, ile mamy do stracenia, gdyby...[2]

Wszystko przez moje słabe nerwy. Och, jak bardzo zmiana klimatu może wpłynąć na nasze postrzeganie świata! To minie, musi minąć. Chyba po prostu nie nawykłam jeszcze do tego domu. Jest ogromny, za duży dla jednej osoby i pusty. Na górze jest jeszcze jakoś urządzony, ale dół... Tylko ten dziwny fortepian w salonie, stołek do niego i nic poza tym. Myślę, że muszę znaleźć w sobie trochę siły i w końcu wydać pannie Riodan dyspozycję rozpakowania kufrów. Ciągle to odwlekam. Niech się na coś przyda, prawda?

Zauważyłaś obecność tego instrumentu tutaj, gdy oglądaliśmy dom? Na pewno nie. Z pewnością myślałam już daleko. W tych swoich nowojorskich interesach.

Pewną ostoją, przypominającą mi o domu, który zostawiłam, jest pan Husley, miejscowy sklepikarz (wielka szkoda, że go nie poznałeś). Jest tutaj obcy, zupełnie jak ja, i całkiem inny od reszty Brytyjczyków. Od roku prowadzi interes w mieście. To odludek, trzymający się z dala od McAbeltona i jemu podobnych bardziej z wyboru, niżli dlatego, żeby był przez nich nieakceptowany. Jest synem angielskiego emigranta i Egipcjanki. Na cześć matki nadano mu imię Karim, lecz Husley stara się go nie używać. Chyba nie przepada za nim. Pomimo że, jak sam twierdzi, w języku jego matki oznacza słowo „hojny” i jest dla Arabów czymś w rodzaju uświęconego imienia. No i jak doskonale pasuje do właściciela!

Muszę także przyznać, że Husley o wiele lepiej dogaduje się z Maorysami niż z ludźmi, z którymi przecież powinno go łączyć pokrewieństwo, poglądy i język. Panna Riodan, na przykład, serdecznie nie cierpi sklepikarza. W jego obecności przybiera zawsze tę samą, deprimującą i pełną wyższości minę. Doprawdy! Kiedy tylko Husley się pojawia, jej twarz całkiem sztywnieje. Jak można tak gardzić osobą, o której nic się nie wie? To dla mnie absolutnie niepojęte.

Sami tubylcy są śmieszni, mówię Ci. I tacy tajemniczy... Takie małe, mrozące krew w żyłach potworki. Wyglądają zupełnie jak postacie z obrazów Williama Blake’a.

Husley czuje się jak jeden z nich. Widziałam kiedyś, jak tańczył wraz z nimi na jakimś festynie. Nie martw się, nie byłam tam sama. Melisa nie darowałaby sobie, zatem nie odstępowała mnie na krok, choć z wyrazu jej twarzy odczytałam, że wolałaby być wszędzie indziej. Ograniczyła się na szczęście do ponurego, pełnego dezaprobaty milczenia i nie komentowała tego, co widzi. Chyba czuła zbyt wielkie przerażenie. Było z nami także kilku innych białych z Dunedin. Państwo Clancy, George Toole i sir Douglas Rooney, żeby wymienić samych Brytyjczyków. Wszyscy to „serdeczni” znajomi panny Riodan, rzecz jasna. Rooney mówi z wyraźnym londyńskim akcentem, lecz z pewnością jest on udawany, a Clancy’ego powszechnie uznaje się za kobieciarza i podobno cierpi na syfilis, którym zaraził także żonę i wszystkie pokojówki oraz kilka miejscowych dziewcząt. Oczywiście, fatalne małżeństwo nie zdradza się z niczym i powszechnie uchodzi za bogobojną i wierną sobie parę. Znam te wszystkie nowiny od ich „dobrej” przyjaciółki, panny Melisy Riodan! No więc sam widzisz, z kim mam tu do czynienia. Ta kobieta jest absolutnie niewarta zaufania!

Na pewno panna Riodan poi ich wszystkich kłamstwami na mój temat. Widziałam, jak patrzyła na mnie pani Clancy. A jej mąż? Ten prostak wprost pożerał mnie wzrokiem. Z pewnością stanowią na co dzień obiekt powszechnej drwiny.

Tutejsi tolerują nas, Anglików, choć sympatią bym tego nie nazwała. I wcale się im nie dziwię. Wszakże ograbiliśmy Maorysów z ziemi i to w imię

czego? Według idiotycznej, kolonialnej reguły Terra Incognita?! Mamy się za lepszych, ale czy w istocie jesteśmy lepsi? Ci tutaj Anglicy niewiele się różnią od dzikich zwierząt. Banda obmierzłych, ulegających najniższym namiętnościom słabeuszy i ich żon, banalnych i ograniczonych dewotek!

Zagalopowałam się. Wróćmy do tańców, do tego pamiętnego wieczora. Dzicy uginali nogi w kolanach, ustawieni w szeregu. Kilkunastu fascynująco prymitywnych mężczyzn, a wszyscy półnaczy, z błyszczącymi klatkami piersiowymi. Niczym zwierzęta wypuszczone z klatki, a między nimi Husley. To było straszne i oddziaływało na mnie w jakiś osobliwy i przemożny sposób! A jak rozpaczliwie wyli! Głośno, jakby zranione wilki do księżyca. Okropne przeżycie, choć oglądałam to z daleka, w blasku ogniska. Nazywają ten taniec... Haka.

Panna Riodan prawie dostała zawału na ich widok. Przerazenie w jej oczach było bezcenne... Prawie czułam, że za chwilę stłumiony okrzyk wyrwie się jej z gardła. Wprost umierała ze strachu! Dopiero mój nagły głos przywrócił starą żmiję rzeczywistości.

Husley został przez miejscowych przyjęty do ich grona, tyle wynioskowałam na podstawie tego jednego wieczoru. Wierzę, że ozdabia tatuażami swoje ciało i opowiada nago przy ognisku stare podania. Choć to taki przystojny dżentelmen w płóciennym marynarce, z nieodłączną laską i słomkowym kapeluszem, to wyczuwam, że ma niejedną mroczną tajemnicę.

Opiszę Ci go. Wyobraź sobie niezwykle wysokiego i atletycznie zbudowanego, szpakowatego mężczyznę w średnim wieku. Nosi ogromne, okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Trzymają się skrzywionego nosa pana Husleya, czyniąc jego śniade oblicze rasowego Egipcjanina niezwykle szlachetnym. Wysokie, pobrużdżone zmarszczkami czoło i siwe brwi sprawiają, że twarz mojego przyjaciela wydaje się niemalże starożytna. Fizys odzwierciedla dobre maniery pana Husleya. Nigdy nie spotkałam nikogo tak bardzo dystyngowanego i eleganckiego. Jest jakby z innego świata. Smutny uśmiech i rozmarzone spojrzenie każą wierzyć, że jest on przez życie niezwykle doświadczony. Lecz owe przypadki nie wpłynęły znacząco na jego osobowość, która pozostała szlachetna i pełna wdzięku.

Już dość na jego temat. Musisz mi wybaczyć, że się tak rozpisuję, ale cieszę się, że mam tu jakieś cywilizowane towarzystwo.

Wczoraj przez okno na parterze wpadł albatros. Zaczął szamotać się na podłodze, a potem, o nieba! Uległ chyba panice i sam nadział się na jeden z odłamków szkła. Panna Riodan przeraziła się i zaczęła wydawać takie dźwięki, o które w życiu bym jej nie posądziła. Co za żalosna i stara żmija. Teraz panuje tu straszliwy chłód, więc prawie nie ćwiczę gry. Okna w domu są, jak wiesz, przerobione przez pośrednika według nowoczesnego, wiktoriańskiego trendu, a co za tym idzie, stosunkowo duże. Jutro poproszę Husleya, żeby przysłał tu paru swoich Maorysów i polecił im wstawić nowe.

Myślę, że pošlę do niego pannę Melisę Riodan w myśl tezy, że służbę należy sprawdzać. Broń Boże, nie czynię tego ze złośliwości. Wierzysz mi, oczywiście? Już widzę jej minę, krzyk zamierający na jej nieczułych ustach. I może wydam swoją dyspozycję, jak tylko się ściemni. To będzie idealna odpłata za wszystkie kąśliwe uwagi pod moim adresem, nie przeczę. Ale przede wszystkim chodzi mi o danie tej kobiecie nauczki. Moja przyjemność z tego płynąca, jest rzeczą oczywistą, lecz ma drugorzędne znaczenie. To dla jej dobra.

Wiatr cały czas się wzmaga, jakby odpowiadając na odgłos wydawany przez wskazówki kurantowego zegara, który przywiozłam tu z domu. Dziękuję raz jeszcze, że pozwoliłeś mi go zachować. Zawsze będzie mi się kojarzył z naszym walijskim domem i popołudniowymi herbatkami. Niedługo czekają mnie pierwsze sztormy. To takie emocjonujące! Nie martw się, jestem przygotowana. Już rozmawiałam na ten temat z Husleyem.

Szczerze oddana,
Clarissa

Wzgórze Kalmarowe,
5 lipca 1866 roku

Dziwi Cię nagłówek? To jest, zrozum, prawdziwa nazwa tego domu! Husley dowiedział się tego od miejscowych.

Szyba, o której wspominałam ostatnio, musi zostać dostarczona parowcem z Dunedin, a to trochę potrwa. Na razie Maorysi zabilili potłuczone okno deskami. Husley obejrzał dom, a potem, po wszystkim, zapytał mnie, czy chcę w nim coś odnawiać. Odpowiedziałam mu na to, że nie. To dziwne, ale mam wrażenie, że zobaczyłam wyraz szczególnej ulgi, gdy dałam mu taką, a nie inną odpowiedź.

Pewnie się sprzeciwisz mojej decyzji, lecz moim zdaniem nie powinniśmy nic zmieniać ani tym bardziej remontować. Dom na Wzgórzu Kalmarowym musi jeszcze trochę zmarnieć. Myślę, że jestem mu to winna, gdy tak przypatruję się szczątkom minionej chwały, wsłuchując w pełne czci zawołania wiatru świszczącego w czarnych wykrojach okien. Czy Ty także czuleś ten osobliwy i nieokreślony lęk, gdy wpatrywałeś się w martwą skorupę domu, z cieniami rosnącymi dokoła?

No, już dosyć o domu, dosyć o moich impresjach. Napiszę Ci teraz o czym innym. Jak wiesz z poprzedniego listu, moją uwagę od pierwszych dni spędzonych tutaj, zwrócili Maorysi. Zawsze mi się wydawało, że będą podobni do amerykańskich Indian. Myliłam się, lecz nawet nie o to chodzi.

Mam na myśli inny szczegół. Oni we wszystkim słuchają poleceń pana Husleya. Na początku wydawało mi się to całkowicie naturalne, w końcu sklepikarz przewyższa dzikich kulturalnie. Lecz jest coś bardzo osobliwego w ich zachowaniu. Nie potrafię jeszcze określić, co dokładnie.

Co do moich relacji z tubylcami, Maorysi dzielają zaniepokojenie, które w stosunku do nich żywią. Kiedy przyszli naprawić okno, wraz z ekipą czterech mężczyzn ściągnęli z okolicy wszyscy inni.

Wszystkie miejscowe panny podkochują się w Husleyu. Ciągłe wodzą za nim wzrokiem. Myślą, że nie widzę...

Wcale się nie dziwię maoryskim kobietom. Ten łagodny uśmiech błędzący po ustach niejednej zawróciłby w głowie. Sama chyba zaczynam żywić do pana Husleya pewne bliżej nieokreślone uczucia... Tylko się nie martw. Wiem, że podobny związek byłby obyczajowym mezaliansem, zwłaszcza w takiej dzicy jak Nowa Zelandia. I nie chodzi nawet o różnicę wieku. Jestem przecież świeżo upieczoną rozwódką. Nowy romans jest chyba ostatnią rzeczą, którą powinnam mieć teraz w głowie. Zanim więc zaczniesz snuć myśli o moim złym prowadzeniu się... Bądź spokojny, Ameryka nie zmieniła mnie jeszcze w Amerykanę.

Przyznaję, że czuję przyjemność płynącą z obecności mojego pana sklepikarza. Jest taki stosowny i dystyngowany. Nie muszę się także obawiać awansów z jego strony. Twierdzi, że bardzo przypominał mu zmarłą w młodości siostrę. Taki już jest mój pan Husley. To idealny opiekun. I budzi respekt dzikusów, których w innym przypadku trochę bym się bała...

Wczoraj odniosłam wrażenie, że pewna młoda Maoryska, dziewczyna imieniem Mekune, była zazdrosna o to, że pan Husley ze mną rozmawiał! Wyobrażasz sobie?! Ta dzikuska zachowywała się w sposób całkowicie ohydny. Wydawało mi się, choć tego ostatniego nie jestem pewna, że plotkowała o mnie z innymi kobietami. Następnie, kiedy tylko utkwiałam w niej badawczy wzrok, spojrzała na mnie w dość wyzywający i jednoznaczny sposób. Kiedy zaś pan Husley był zajęty, ta pannica obnażyła przede mną jedną ze swoich obwisłych piersi! Wiem, że jeśli byś tu był, zbilbyś ją batogiem do nieprzytomności za tę jawną bezczelność. Bałam się jednak przyznać panu Husleyowi. Zresztą, jak już wspomniałam, nie jestem do końca pewna, czy sobie wszystkiego nie wymyśliłam. Tubylcy zachowują się bardzo dziwnie i nie potrafię rozgryźć, o co im tak naprawdę chodzi.

Nie, nie denerwuj się, nie po to opuszczałam Walię, żeby tracić nienaganną opinię. Po prostu intryguje mnie mój sklepikarz. Jest w nim coś, co jest żywcem wyjęte z powieści Sheridana LeFanu.

A rzeczy, które ma w sklepie?! Powinieneś raczej spytać, czego tam nie ma! Miniaturki zapisanych hieroglifami piramidek, stare papirusy i księgi, figurki, gwizdki, płytki z jakimiś runami, ma nawet zasuszoną główkę polinezyjskiej mumii. I myślisz, że on coś z tego sprzedaje? Miejscowym? Wolne żarty!

Nie martw się, tutejszy wiatr sprawia, że pamiętam, kim jestem i skąd pochodzę. Bezwład uczuć i woli wzbudza uniesienie w nieznanym. Dziwne podniecenie towarzyszy mi niemalże przez cały czas. Daję się więc ponieść, nasycona powietrzem Nowej Zelandii, gdzie rzeczywistość wydaje się nie

mieć przystępu. Słońce ogrzało moją twarz i przypomniało mi się, jak należy żyć. A to Morze Tasmana! Zupełnie jakby pod lustrzaną, błękitno-zieloną wodą lśniło jakieś zakłete, podwodne królestwo. Zabarwione światłem fale poruszają się tajemniczo, a ja uświadamiam sobie, jak niewiele dzieli mnie od pradawnej natury, w której mogę rozpuścić się i zniknąć. W księżycowe wieczory i noce wychodzę przed dom i, bujając się w fotelu z kocem na kolanach, marzę o cudownym pałacu z rafy koralowej... Czuję się jak bohaterka powieści przygodowej. Jest tak pięknie...

Wczoraj wydawało mi się, że widziałam księżycowy powóz śmigający mleczną drogą, który jadąc, strącał gwiazdy w toń wód, gdzie zamieszkiwało ich rozmazane odbicie. Tylko obraz Mekune z pojedynczym, egzotycznym kwiatem w jej pięknych, ciężkich włosach, przedostający się raz po raz do mojej głowy, mąci mój humor.

Ale cóż... Żyję!

PS. Byłabym zapomniała. Zwolniłam pannę Riodan. Tym razem przesadziła. To było kilka dni temu, kiedy wróciła od Husleya. Pamiętasz, pisałam Ci o tym. Wywiązała się między nami kłótnia i stwierdziłam, że mam dość. Dość jej obecności, wymówek, ciągłego poprawiania mnie przy każdej czynności... Tym razem jej bezczelność i arogancja przeszły wszelkie stosowne granice. Musiałam. Kazałam się jej wynosić. Nie wiem, gdzie się potem udała i całkowicie o to nie dbam. Nie widziałam jej jednak w mieście i wcale nie zamierzam szukać w domu któregoś z jej totumfackich. Może zeżarł ją jakiś krokodyl albo rekin. W takim przypadku wierzę, że doczekał się niestrawności, biedne zwierzę.

Nie wiem na razie, co zrobię ze służbą. Wynająć jedną z pokojówek z domu Clancych? Z pewnością biedne stworzenie przyjąłoby tę odmianę z ulgą... Z drugiej strony, jeśli to prawda, co słyszałam o Clancym, dziewczyna mogłaby mnie czymś zarazić... Podobno choroby, jak syfilis, można się nabawić od samego dotyku osoby zarażonej... I czy wiedziałeś, że choruje nie tylko ciało? Z czasem, syfilis dotyka także umysłu. A co, jeśli biedna dziewczyna wpadnie na moich oczach w szal?

Już wiem. Poradzę się Husleya. Albo po prostu zostanę na razie sama. Kto będzie mi miał za złe? Nie ma tutaj nikogo, kto wytknąłby mnie palcem. Rooneyem i ludźmi jego pokroju w ogóle nie należy się przejmować.

Z miłością...

Clarissa

10 lipca 1866 roku

Drogi Thomie...

Wczoraj odkryłam na strychu prawdziwy skarb. W toczonej dziwną skazą skrzyni znalazłam kilka bardzo zagadkowych pudełek. Każde z nich

zawierało staromodne, zjedzone częściowo przez mole ubrania. Prócz garderoby było tam mnóstwo śmieci. Składane cylindry rodem z cyrku, kilka parasolek na słońce i deszcz, stare sztychy i mapy, chyba nawigacyjne. Więc coś ten Rhodes, czy jak mu tam, zostawił po sobie! Barney Rhodes, trzymając się ściśle, był poprzednim właścicielem posesji. Wiedziałaś o nim? Musiałaś znać to nazwisko, w końcu to Ty załatwiałaś formalności związane z domem.

Był jakimś przemysłowcem czy finansistą. Zupełnie jak Ty! Ale wierzę, że na tym koniec podobieństw. Rhodes zbudował dom i umarł wkrótce potem. Posesję zapisał w testamencie tubylcom, ale wskutek pewnych nieścisłości majątek przejął brytyjski rząd. To niezrównany pan Husley opowiedział mi o wszystkim.

Niech sobie przypomnę, co jeszcze znajdowało się w skrzyni... Był tam stary, zapaskudzony pince-nez. Oraz dzienniczek. Zaprosiłam pana Karima na popołudniową herbatkę i zaprezentowałam mu znalezisko. Czułam, że jest nieco zażenowany nieobecnością służącej i zaoferował się w poszukiwaniu zastępstwa. No więc sam widzisz, jak dobrze wychowana to osoba. Ale potem już o tym nie rozmawialiśmy. Były ciekawsze rzeczy... Razem z moim uroczym sklepikarzem zajęliśmy się odczytywaniem zawilego i miejscami, szczególnie pod koniec, nieczytelnego tekstu z początku wieku! Wyobrażasz to sobie? W tajemnicy przed panem Husleyem wysyłam Ci dzienniczek, najwyraźniej pokładowy. Tak, żebyś mógł rzucić na niego okiem. Pan Husley, kiedy mu powiedziałam o moim zamiarze podzielenia się z Tobą sekretem Kalmarowego Wzgórza, z miejsca uznał mój pomysł za nieco niestosowny. Jego zdaniem rodzina Rhodesów z Pensylwanii na pewno chciałaby otrzymać dziennik. Mam co do tego inne zdanie. Stary pan Barney Rhodes był, z tego, co wiem, czarną owcą. Ożenił się w Maroku z jakąś grecką czy egipską tancerką, która po urodzeniu dziecka uciekła od męża z kochankiem. Myślę, że wszyscy inni Rhodesowie woleliby nie wspominać pana Barneya. Poza tym dziennik wskazuje na to, że Rhodes schował się tu, dokładnie jak ja, przed całym natarczywym światem. I wreszcie, mój ostatni i najważniejszy argument. Dziennik dostał się w ręce Barneya Rhodesa. Nie on był jednak autorem zapisków. Sądzę zatem, że Rhodesowie nie mają do książki żadnego formalnego prawa.

Ale dosyć o tym. Dziennik przeczytaj sam. Nie będę Ci go streszczać. Jest ponury, a wiem, że lubisz mroczne historie. Jednak uważaj, ta jest najprawdziwsza w świecie!

Skoro już mowa o ponurych rzeczach... Wczoraj miałam sen. A właściwie koszmar. Nigdy nic podobnego mi się nie śniło. To pewnie wina klimatu. Koszmar był bardzo dziwny, wręcz groteskowy.

Ujrzałam w nim sklepikarza i tę Maoryskę, także. Lecz we śnie wyglądała inaczej. Wydawała się znacznie piękniejsza niż w rzeczywistości, choć na jej twarzy, dokładnie w okolicach ust i brody, dostrzegłam tajemnicze,

przypominające ślimacznicę malowidło, a może nawet tatuaż, którego nie miała w świecie rzeczywistym, a który mocno jej oblicze oszpecał.

Lecz poza tym jednym szczegółem? Była przepiękna, ze swoją posępnie słodką twarzą skierowaną ku mnie. O, tak. Była precudowną, wprost olśniewającą istotą z wielkimi oczami w odcieniu głębokiego brązu i skórą jak heban. Jej spojrzenie wypełniała ponura satysfakcja. Czułam, choć to absurdalne, że ona i Karim są mężem i żoną. Pierś Husleya pokrywała dziwna mata, a biodra mężczyzny osłaniała przepaska. Twarz sklepikarza była pomalowana w białe paski, od których odbiegały trójkąty i koncentryczne kręgi. Wyglądał przerażająco. Jego skóra lśniła morską solą. Mięśnie pana Husleya, zaznaczone pod skórą, były całe napięte. Wyraz oczu obojga wydał mi się bardzo dziwny.

Rozmawiali u stóp obmywanych kipiela skał. Zbliżała się noc. Kamienie okrywały wieńce pięknych, egzotycznych kwiatów, które unosiły się także na powierzchni wody. Nagle zapadł zmrok, a księżyc i gwiazdy nie odbijały się już w tafli.

Pan Husley rysował coś na głazie. Coś jakby kształt ludzkiej głowy z wielkimi, straszliwymi oczodołami i ostrymi kłami. Wyglądało to jak zarys czaszki.

Gdy dokończył, zerwał się porywisty wiatr. Maoryska wykrzyczała jakies słowa. Brzmiały obco. „Make-Make”, powtarzała wibrującym głosem.

Wtem fala uderzyła w oboje, odrzucając ich od skał. Jednocześnie daleko na wydmach rozbłysły ognie. Przez chwilę stały one w miejscu. Potem ruszyły w stronę morza. W tym samym momencie także na falach dostrzegłam podobne światła. Na powierzchni wody, z dala od brzegu, tam, gdzie nie zdołałby zapuścić się żaden pływak. Wyglądały niczym migoczące płomienie pochodni. Były zbyt odległe, aby określić, czy pochodzą z łodzi, czy może ktoś je trzyma, unosząc się na wodzie. A może w ciemności nie dostrzegłam wznoszących się w tamtym miejscu kolejnych skał?

W uszach dźwięczały wibrujące słowa. „Make-Make”. Coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywie... I wtedy się obudziłam.

Opowiedziałam ten sen Karimowi. Bardzo go zdziwił. Po przemyśleniu sprawy, uznał jednak, że zmiana klimatu może powodować podobne koszmary. Nie wspomniałam Husleyowi pewnych szczegółów snu. Wstydziałam się.

Ale Tobie chyba mogę o nich napisać, prawda?

Otóż Maoryska była zupełnie naga. Jej brzuch wystawał ponad linię wody. Był nadęty jak wypełniony powietrzem balon, zasłaniając łono dziewczyny. Coś bezustannie poruszało się pod napiętą skórą. Nie wiem czemu, lecz z osobliwych ruchów wносиłam, że nie jest to ludzkie dziecko.

Nie wiem, co o tym myśleć. Trochę się tego snu wystraszyłam.

Clarissa

11 lipca 1866 roku

Wczoraj, po napisaniu przeze mnie listu, morze ogarnęła pasja. Rzuciło się na prawo i lewo jak zdziczały zwierzak. Całe było w zieleni, a ja myślałam, że zaraz zatopi wyspę. Chlustało w okna deszczem. Z dali dochodził ponury grzmot, wiatr wygrywał werble, uderzając w dach. Spoglądałam z okna na piętrze. Skąły klifów szczyły się w ciemności niczym bryły olbrzymich zębów. Las omiatała ulewa, przemieniając go w ruchomy, zamglony i całkowicie rozmyty pejzaż. Co za pogoda, mówię Ci!

List z wczoraj wyślę może dzisiaj, a może jutro, jak tylko sztorm na zewnątrz przestanie atakować z taką siłą.

Zesłam schodami w kierunku salonu, nim to się na dobre rozpętało. Musiałam upewnić się, że okno zabezpieczone na polecenie Husleya nie przepuszcza wody. W salonie panowały zimno i wilgoć, a pod zabitym oknem utworzyła się pokaźna kałuża. Rozpaliłam kilka świec, starając się ożywić pomieszczenie. Jak we śnie chodziłam od ściany do ściany, wsłuchując się w odgłos cykającego zegara, którego dźwięki wydały mi się zrazu upiorne i wcale nie koily moich nerwów. Szyby poddawały się podmuchom. Otworzyłam jeden z kufrów i po omacku wyciągnęłam jakiś pled. Przykryłam nim drżące ramiona, a potem znowu zaczęłam chodzić to tu, to tam...

Ogarnęło mnie dziwne przygnębienie i senność. Ale gdy spojrzałam w inne, niewybite okno... To było przerażające. Przez moment mi się wydawało, że dostrzegam w nim tę tubylczą dziewczynę, jak stoi na deszczu i patrzy wprost na mnie oczami pełnymi krwiożerczej obsesji. Oczywiście, kiedy przyjrzałam się, twarz i cała sylwetka zniknęły. Podbiegłam do parapetu. Stałam tak przez chwilę, wrosnięta w ziemię. O szyby rozbiły się kolejne fale ulewy, sprawiając, że widoczność spadła do zera. Można było wprost odnieść wrażenie, że dom zatonął i spoczywa teraz na dnie, wytłumiony, cichy. Martwy...

Żeby się uspokoić, usiadłam do fortepianu. Nie dziwię się, że ten instrument tak zaniepokoił marynarzy „Eleonory”, gdy był na jej pokładzie. A Ty? Może przeczytałeś już dziennik. Listy idą do Stanów bardzo długo. Często między otrzymaniem jednego a drugiego mijają miesiące, choć są napisane krótko po sobie. Te statki kursują zbyt rzadko...

Pozwól, że Ci opiszę mój fortepian, bo mam wrażenie, że go zwyczajnie przeoczyłeś. Był przykryty materia, kiedy przyjechaliśmy, więc miałeś prawo go nie zauważyć.

Z daleka wygląda jak każdy najzwyczajniejszy instrument swojego rodzaju, poza tym, że jest masywniejszy i spoczywa na sześciu nogach. Jednak po chwili przypatrywania można dostrzec, że jest jakiś dziwny, rzekłabym, osobliwy. To fortepian skrzydłowy. Jego skrzynia ma zatem kształt ptasiego skrzydła. Wszystkie jego boki są ścięte, choć te zaokrąglenia nie dodają mu

lekkości. Ciężar podtrzymują spiralne nogi, rzeźbione, jak zresztą cały instrument w muszle, spirale i wyczelowane ośmiornice. Taki egzemplarz powinien mieć trzy nogi, z racji choćby samego kształtu. Mój fortepian jest inny. Trzy nogi znajdują się, gdzie powinny, trzy inne rozmieszczone są między nimi. Moim zdaniem, był kiedyś cały pokryty farbą. Jakiego pochodzenia? Pod Bogiem, nie wiem... Ślady malowideł są nadal widoczne w załamach. Między rzeźbami widnieją też postacie ludzkie, w porównaniu z ośmiornicami ogromne.

Powiedziałam, że to postacie ludzkie. Nie jest to dokładnie prawda. Postacie te mają najeżone zębiskami pyski, przypominające dzioby fregaty, a na ramionach wiszą im skrzydła. Ich palce są dziwnie wiotkie, zbliżone wyglądem do macek kalmara. Coś w ich postawie przywodzi na myśl ludzi. No i te twarze! Są żywo podobne do czaszek z mojego snu. Tego, o którym Ci pisałam. Jestem prawie pewna, że musiałam je wcześniej zobaczyć na fortepianie. Stąd późniejsze sny. Sam pewnie wiesz, jak najprzeróżniejsze rzeczy, oglądane z bliska na co dzień, powszednieją, nim zdołamy się im przyjrzeć i zapamiętać świadomie. A potem widzujemy je w snach. Cóż, podświadomość rządzi się swoimi prawami.

Cały fortepian pochodzi jakby nie z tego świata. Dużo tu koncentrycznych kół, charakterystycznych dla sztuki polinezyjskiej. Czy wspomniałam o dziwnym zapachu, który się wkoło niego unosi? Bardzo nieprzyjemna i ostra to woń.

Palce same ułożyły się na klawiszach. Do moich uszu dotarła wygrywana przeze mnie melodia. Tak, jakby moje palce i głowa, nie stanowiły całości. W pokoju zadźwięczało brzmienie „Für Elise” Beethovena. Utwór wydawał się idealnie pasować na tę chwilę. Prawa ręka sama poruszała się na tle rozłożonych akordów lewej. Palce ożywały własnym życiem. I wtedy przyszła kolej na część C utworu, dużo głębszą i mroczniejszą.

Grałam i grałam. Nagle zrozumiałam, że zaczynam gubić tempo. Po jakimś czasie całkowicie straciłam wątek. Moja gra stała się dziwnie wolna i przybijająca. Nie wiem, co mnie opętało. Nie byłam już nawet pewna, jaki utwór wykonuję. Zupełnie jakby palce same uderzały w klawisze. Coraz silniej i silniej. Trach! Trach! Muzyka, którą wydawały struny, przypominała dźwięk organów w Bachowskim Orgelbüchlein. Potem tony stały się jeszcze mocniejsze, bardziej ponure i doniosłe. Smętna i głośna, niczym zawodząca na zewnątrz burza, muzyka przywodziła mi na myśl oszalały kondukt żałobny. Nie mogłam jednak przestać grać. Owładnęło mną dziwne uczucie, jakbym była pijana. Może to nastrój na zewnątrz tak mi się udzielił?

Proszę... Nie przyjeżdżaj. Ja muszę... Muszę to przejść sama. Wiem, że te słowa nie przemawiają na moją korzyść. Jednak tak będzie lepiej. Muszę być sama. Myślę, że to ten dom tak na mnie wpływa. Jakby pozostałość czegoś lub

kogoś bezustannie mi towarzyszyła... Ale to minie. Przecież nie ma czegoś takiego, jak duchy.

Clarissa

13 lipca 1866 roku

Znowu grałam i znowu stało się to samo. Ale to nie wszystko. Już sama nie wiem, co zrobić. Czuję napięcie panujące dokoła. Cały czas jest ciemno. Mrok oblepia każdy przedmiot. Czy ja tracę zmysły? Wicher kołysze drzewami. Przed chwilą znowu uderzył w ścianę. Wszystkie okna ustąpiły. Część pękła już wczoraj.

Na wspomnienie ubiegłej nocy ogarniają mnie dreszcze. Zaczęło się normalnie. Kilkoma uderzeniami w klawisze. Po krótkiej chwili odpłynęłam. Kiedy się obudziłam, byłam cała mokra. Wszędzie w salonie stała woda.

Wspięłam się po schodach i po przebraniu się, położyłam w ubraniu spać. Rano znalazłam mokre plamy i pełno naniesionych glonów, zwłaszcza w okolicy drzwi. Wkoło śladów było względnie sucho (ganek ochronił przed szkwałem schody i werandę). Dziwne.

Staram się nie schodzić, odwlekam tę koszmarną chwilę, jak tylko mogę. Gdy muszę, przebiegam przez salon truchtem i uciekam schodami na piętro, do sypialni.

Clarissa

15 lipca 1866

Wiem, że ostatnio niepokoiłam Cię swoimi listami. Chciałabym, żebyś wiedział, że czuję się już znacznie lepiej. Nieokreślony lęk, który był ze mną przez tyle dni, opuścił mnie. Mam co prawda nieodparte wrażenie, że tubylcy podśmiewają się z mojej osoby, lecz nie przejmuję się tym. Co więcej, w jakiś sposób ulegam fascynacji ich zachowaniem. Zauważyłam, jak milkną na mój widok. Kiedy szłam ostatnio na obiad do miasta, kilku Maorysów stało przed tym małym sklepem z zaniedbaną witryną. Tam zawsze roi się od miejscowych pijaczków. Krzyczeli coś w moim kierunku. Jeden z mężczyzn ruszył w moim kierunku. Cały czas coś wykrzykiwał. Dałam krok do tyłu. Szybko się rozejrzałam, ale na ulicy nie było nikogo białego. Wtem, zupełnie znikąd, wyłonił się przed tubylcem pan Husley. Maorysa wryło w ziemię. Karim zabrał mnie stamtąd. Mężczyźni przed sklepem nie przestali spoglądać na nas spode łba. Szczególnie ten, który mnie napastował. Przerazająca postać. Muszę przyznać, że był najbardziej chudą i osobliwie wyglądającą kreaturą, jaką widziałam w życiu. Pan Husley wyszeptał, że ten człowiek to ojciec Mekune, dziewczyny z moich snów.

Po tym, co się mi przydarzyło w mieście, pan Husley zamknął własny sklep i odprowadził mnie do domu. W drodze zapytał, czy mógłby rzucić okiem na

fortepian, o którym mu wcześniej opowiedziałam.

Poczułam coś na kształt niesmaku. Zrozumiałam oto w jednej chwili, że bardziej go ciekawi instrument niż moje samopoczucie czy los. No i jedynie napomknął na temat nowego służącego. A przecież obiecywał mi podpytać o odpowiednią osobę. A jak przyszło co do czego? Nadzwyczaj szybko zmienił temat, jakby go to w ogóle nie obchodziło. Troska o mnie była więc zaledwie wymówką. Przystałam jednak na prośbę Karima. Z lekkim dyskomfortem, lecz przecież czemu miałabym mu odmawiać? Być może jedynie za dużo sobie wyobrażałam, pod wpływem jego uroku osobistego miałam zbyt wysokie mniemanie o manierach tego, bądź co bądź, półdzikiego mężczyzny... Tak, wiem, pewnie byś nie pochwalił mojej decyzji, nazwał lekkomyślną. I może naprawdę było to nierozsądne.

Dotarliśmy na Wzgórze pieszko. Trochę siąpiło, lecz pogoda stopniowo się poprawiała, ba, nawet słońce wyjrzało spod chmur. Husley do ostatniej chwili usiłował powściągać swoją palącą ciekawość. Cały czas był jakiś zmieszany. Czy to brak panny Riodan tak na niego podziałał? Niektórzy mężczyźni obawiają się być sam na sam z kobietą, lecz przecież mój gość raczej nie przynależał do tego gatunku... Zawsze był pewny siebie, a teraz... Może z powodu jego zachowania, z wahaniem zaproponowałam mu stolik na werandzie, jakby czując podskórnie, że wpuszczenie go od razu do środka to zły pomysł. Chciałam może wyczuć jego nastrój, sama nie wiem. Kobiety czynią takie rzeczy instynktownie i tak właśnie było tym razem. Rozmowa, którą ze mną prowadził przy kieliszku brandy, ciągle krążyła wkoło instrumentu, który przelotnie zobaczył przez okno. I tak, jak zazwyczaj jego pełne taktu zachowanie wydawało mi się być naznaczone dystynkcją, tak tym razem poraziła mnie pewna sztuczność, przebijająca z każdego gestu sklepikarza. Dziwne odkrycie, zważywszy że do tej pory zachowywał się wobec mnie z zadziwiającą swobodą i sam działał niezwykle kojąco, sprawiając wrażenie osoby otwartej i godnej zaufania.

W końcu, po dłuższej chwili nalegania z jego strony, pozwoliłam Husleyowi obejrzeć fortepian. Chyba po prostu chciałam mieć to już za sobą. Gdy tylko znalazł się w pomieszczeniu, natychmiast zapytał, czy mógłby pozostać na chwilę sam. Zaniepokoił mnie nagle zmieniony, pełen wyższości i niemal pogardliwy ton mężczyzny. Tak, jakbym miała mu przeszkodzić w oględzinach swoją obecnością. Samo życzenie wydało mi się niemniej dziwaczne, ale, koniec końców, przystałam na nie, wymawiając się potrzebą napisania kolejnego listu do Ciebie. To było kłamstwo.

Po kieliszku brandy byłam ożywiona i na pewno miałam rumieńce, wiesz, jak zawsze po czymś mocniejszym. Weszłam zatem za moim gościem, pozornie kierując w stronę wiodących na piętro schodów. Natychmiast stracił mną zainteresowanie. Po raz drugi już poczułam do mężczyzny dziwną i silną antypatię.

Nie weszłam na górę, tylko zatrzymałam się na półpiętrze. Wiem, takie zachowanie nie przystoi osobie dobrze obytej, lecz ciekawość i troska o właściwe pobudki tego dziwnego mężczyzny zwyciężyły w pojedynku z wolą i wychowaniem, więc trwałam niczym słup soli. Karim był tak pochłonięty myślami i obserwacjami, że nawet mnie nie zauważył.

Oglądał instrument, mamrocząc coś bezustannie pod nosem. Nachylił się, jakby obwąchiwał skrzynię, a następnie z trudem uniósł jej wieko. Nagle, wciąż wlepiając oczy w fortepian, głośno wrzasnął. Ostro brzmiące słowa nie były mi znane. Drgnęłam, wydając zdławiony ręką okrzyk, a następnie uskokczyłam do tyłu. Ale, o nieba i tego, nie zauważył.

Jawnie spoglądałam, jak krążył dokoła. Mruczał pod nosem, przyglądając się instrumentowi. O dziwo, między tym całym bełkotem usłyszałam również znane mi „Mako-Mako” i coś, co brzmiało jak słowo „Dagon”. Potem antykwariusz stanął obrócony do mnie plecami i ponownie otworzył fortepian, zablokował skrzydło, a następnie bezceremonialnie wyszedł na werandę. Mam nadzieję, że nie dostrzegł przy tym mojej ucieczki w cień. Chwilę odczekałam, a następnie ruszyłam śladem zagadkowo zachowującego się gościa.

Zastałam go przy stoliku. Uśmiechnął się do mnie zupełnie niespodziewanie. Czy ten człowiek miał oczy wkoło głowy? Porwał kieliszek, z którego popijaliśmy wcześniej brandy.

„Mogę pożyczyć?”, zapytał, a potem, nie czekając na moją reakcję, wstał i wrócił do pokoju z fortepianem, mijając mnie w drzwiach.

Podążyłam za nim. Tym razem całkiem otwarcie stanęłam za plecami Husleya. Dostrzegłam, jak mężczyzna zanurza kieliszek w skrzyni fortepianu. Celowo piszę „zanurza”. Gdy bowiem uniósł naczynie, było ono wypełnione ohydną, zieloną wodą, w której pływały drobiny czegoś obrzydliwego, jakiegoś wodorosty, czy inne plugastwo. Pozwolił sobie na cichy, lecz brzmiący dość nieprzyjaźnie śmiech.

„Ciekawe, nie sądzi pani?”, zapytał, nie patrząc w moją stronę, a ja na to odpowiedziałam coś w rodzaju: „Co takiego?”. Po mojej reakcji wzniósł kieliszek jak do toastu i odparł po prostu: „To”. Następnie uśmiechając się, bezceremonialnie upuścił naczynie. Szkło rozprysnęło się na tysiąc kawałeczków. Husley wbił we mnie spojrzenie, które było nie tylko odpychające i obce, ale... Sama nie wiem, jak to powiedzieć, a tym bardziej opisać... Jestem przekonana bowiem, że do tej pory zielone i przyjaźnie patrzące oczy mężczyzny stały się w ciągu sekundy czarne i nieprzeniknione. Staliśmy tak, naprzeciw siebie, a on w dalszym ciągu się uśmiechał. Nic w spojrzeniu mojego gościa nie wskazywało na podobną wesołość. „Straszna ze mnie niezdara”, stwierdził sucho, nie odrywając ode mnie wzroku „Proszę o wybaczenie”, dodał, a ja poczułam napływającą falę mdłości i obrzydzenia. W pomieszczeniu dało się wyczuć coś subtelnego i mrocznego zarazem.

Naprawdę przez moment odnosiłam wrażenie, że on zaraz się na mnie rzuci. Oczami wyobraźni widziałam, jak mnie dusi gołymi rękoma, patrząc tym swoim pustym wzrokiem. „Posprzątam tu”, zaproponował wreszcie ospałym głosem, a ja odparłam, że nie trzeba.

Nic mrożącego krew w żyłach się dalej nie zdarzyło. W końcu wróciliśmy na werandę, aby przy herbacie sporządzonej z miejscowych ziół, niezobowiązująco i w trochę wymuszony sposób, gawędzić. To znaczy, mówił jedynie Karim, ja słuchałam, wbijając wzrok w drewniany blat stołu, wszystko, byleby nie patrzeć w jego twarz, w te oczy... Po jakimś czasie dziwne odczucie minęło, a ja pozwoliłam sobie na kilka ukradkiem posłanych spojrzeń. Tematy się szybko wyczerpały, a Husley zamilkł.

„Wszystko w porządku?”, spytałam, na co on odpowiedział coś zdawkowo. Mówił ze słabym, lekko nerwowym uśmiechem błędzącym po twarzy. Jednocześnie wpatrywał się obcym wzrokiem w błękit iskrzących fal za moimi plecami. „Jest pan zamyślony”, stwierdziłam, na co Husley bez większego związku oznajmił, że fortepian bardzo go interesuje. Musiał zobaczyć na mojej twarzy konsternację, bowiem po chwili natarczywej ciszy, zaczął, ni z tego, ni z owego, zwyczajnie się usprawiedliwiać.

„Przed rokiem miałem przyjemność zobaczyć coś równie zadziwiającego. Były to pozostałości etruskiej parasolki, zaledwie połamany szkielet przedmiotu. Parasol wyglądał, jakby powstał w naszym pełnym cudów wieku, a miał zgoła trzy tysiące lat!”

Ja jednak nadal nie widziałam związku, co natychmiast mu zakomunikowałam. Jego zdaniem fortepian mógł być wytworem maoryskim. Zobaczył mój speszony wzrok. „Wiem, że to niedorzeczne. Ale sama pani rozumie, te zdobienia...”

„Są wulgarne”, przyznałam, zgodnie z własnym osądem.

„Ale... autentyczne”, odparł, a mnie nasza rozmowa zaczęła przypominać pojedynek krótkich, zdawkowych uwag.

Jego zdaniem to nie był żaden akt wandalizmu. Przyjrzał mi się uważnie:

„Musi pani zrozumieć. To niecodzienne znalezisko. Ktoś wykonał ten fortepian tutaj, na wyspie. I to bardzo dawno temu. Niech pani pozwoli, coś pani pokażę”.

Ręką zaprosił mnie do środka, po czym bez słowa wstał. Miałam ochotę pozostać na werandzie. Wiem, co pomyślisz. Sama wystawiłam się na zagrożenie, zapraszając tu tego obcego mężczyznę. A teraz niepokoiłam się o własny los. Mnie także nie przekonały słowa Husleya. Jak można jakąś parasolkę porównać do cuda, które stoi w moim salonie?

Stałam się wobec tego ostrożniejsza. Czy jednak naprawdę miałam przed sobą szaleńca, czy jedynie ekscentryka? W tamtej chwili różne myśli krążyły mi po głowie. Przecież Husley nie zachowywał się wobec mnie z wrogością. Z drugiej strony jego słowa wydały mi się nader osobliwe. Cały czas opowiadał

jedynie o swoich wnioskach. To były przerażające chwile, spędzone tam, w salonie, na wyjaśnieniach, z których tylko część pojęłam, w towarzystwie osoby, która, coraz bardziej to czułam, stała się, pomimo pierwotnych wniosków i mojego zaproszenia, intruzem w moim własnym domu. Mimo to przytoczę tu część jego słów. Kto wie, może Ty bardziej to wszystko zrozumiesz.

„Nie tylko zdobienia są stare, ale i drewno, jestem tego pewny, poddane analizie, wskazałoby na pochodzenie stąd. A jego datowanie? Przedmiot jest stary. Bardzo stary, widzę to na pierwszy rzut oka. Na niektórych klawiszach widnieją dziwne symbole. Widzi pani? Wcale nie wydają dźwięków. Podobne symbole wycięte zostały na tłumikach”.

Husley nazwał te znaki „rongo-rongo”. Twierdził, że są dla Maorysów czymś w rodzaju świętości. Rongo-rongo to pismo znane wśród Maorysów i stanowiące ich pilnie strzeżony sekret. Kiedy jednak zapytałam, co ono znaczy, odwrócił się tylko do mnie plecami i zachichotał nerwowo, mrużąc, że niewielu Anglików coś na ten temat wie. Wydawał się przy tym bardzo z siebie zadowolony, jak naukowiec na progu wynalezienia czegoś rewolucyjnego.

Chcę Ci też wspomnieć o tym, co powiedział mi Husley, zanim ruszył w drogę powrotną. Nie wiem, jak będzie z Tobą, ale mną jego słowa głęboko wstrząsnęły. Stwierdził bowiem, że to całkiem niemożliwe, abym była w stanie kiedykolwiek zagrać na moim fortepianie. Argumentował to tym, że w środku skrzyni znajdowała się woda, a struny były całkiem mokre. Poza tym wspomniał, że część z nich, jak i wszystkie tłumiki, oznaczono bardzo dziwnymi nacięciami. Karim, jak już powiedziałam, znał dobrze te symbole.

Przed chwilą wyszedł, mogę więc w spokoju napisać ten list. Sprawa zaczyna mnie coraz bardziej niepokoić. Tym bardziej, że jasnym jest dla mnie to, jak niewłaściwie oceniłam pana Husleya. On najwyraźniej uwierzył w niedorzeczności wypisane w dzienniku. Jest dzikusem, w nie mniejszym stopniu niż jego maoryscy towarzysze. Jednak myślę, że nic mi z jego strony nie zagraża. Znam osoby jego pokroju. Jeśli już, to jest tylko nieszkodliwym dziwakiem dotkniętym przez miejscowe przesady, nic więcej. Nie sądzę, aby był niebezpieczny, nawet jeśli z jego umysłem czy przekonaniem coś jest nie w porządku. Dlatego zamierzam ograniczyć z nim od tej pory kontakt, jako z osobą, w której towarzystwie nie warto spędzać czasu, lecz myślę zarazem, że za szybko na powiadamianie władz czy listy do psychiatrów. Niech sobie żyje własnym życiem tutaj, na krańcu świata, i wierzy w to, co przyjdzie mu tylko do głowy, o ile będzie się trzymał z dala ode mnie i Kalmarowego Wzgórza.

Clarissa

P.S. Dlaczego nie piszesz? Obiecałeś, że gdy tylko dotrzesz do Nowego Yorku, natychmiast dasz znać. Byłam na poczcie, pytałam o jakąś depezę,

telegram, cokolwiek od Ciebie. I nic. Zupełnie nic. Jak możesz mi to robić? Nie wiesz, że się martwię?

Mam wrażenie, że zostałam sama ze sobą na tym świecie... Obraziłeś się, że nie chcę Cię tutaj? A może tym razem to Ty chcesz mi dać nauczkę, bo zwolniłam pannę Riordan? Przecież pisałam, że to ona zaczęła. Uwierz mi także, że będziesz pierwszą osobą, którą tu zaproszę. Ale nie, Ty pewnie załatwiasz jakieś ważne interesy w Nowym Yorku, jak zawsze... Nie pamiętasz o przyrzeczeniach. Powiedziałaś, że mnie nie zostawisz. Mówiłeś to, gdy dotykałeś moich warg swoimi ustami. Czy tak zachowują się bracia względem swoich sióstr?

A może nie chcesz się mieszać między mnie a pana Husleya? Na wszelki wypadek zapewniam Cię, nic nas nie łączy. Wspominając naszą ostatnią noc razem i to, co powiedziałaś, zachowuję w pamięci Twój obraz. Kocham Cię, braciszku.

22 lipca 1866 roku

Drogi Thomasie,

długo nie pisałam, wiem... Ja... Próbowałam usunąć ten fortepian. Sztorm powtórzył się 19 lipca. Miałam wrażenie, że patrząc z okna, spostrzegłam na plaży kilkunastu półnagich ludzi. Wybiegłam na werandę, nie do końca dowierzając własnym oczom. Ale byli tam, byli wszyscy. Ganek zalewały strugi lodowatego, pachnącego solą deszczu. Usiłowałam ich liczyć i ze zgrozą spostrzegłam, że między nimi był także biały mężczyzna. Jego wysoka sylwetka skojarzyła mi się niemal od razu z panem Husleyem. Dałam kilka kroków poza obręb chroniącego mnie od najgorszej ulewy dachu, żeby tylko się lepiej przyjrzeć. Na moich oczach wszyscy pobiegli w kierunku wzburzonej, ciemnosinej wody. Spienione fale pochłonęły natychmiast kilka ciał, potem następne, aż zniknęli wszyscy. Po kilku minutach od zauważenia pływaków, nie dostrzegałam już nikogo i sama przestałam wierzyć we własne zmysły. A potem nagle pod powierzchnią wody zobaczyłam jasne światła, których w żaden sposób nie potrafiłam wyjaśnić. Jak w moim śnie. Tylko że to już nie był sen. O ile kiedykolwiek nim był.

Ale coś musisz wiedzieć, Thomas. To nie mógł być Husley. W tym samym czasie bowiem Karim jechał do mnie powozem z miasta, zaniepokojony stanem pogody i moim odosobnieniem oraz bliskością morza. Zwyczajnie się martwił o mój los, przejmował tym, że Wzgórze Kalmara może zostać odcięte. Och, jak mogłam go tak źle ocenić! Był taki troskliwy od początku, od pierwszego dnia, gdy pojawiłam się tutaj...

W końcu pogoda popsuka się na tyle, że pomimo szczyrych chęci zawrócił. Gdyby wiedział, jak bardzo się bałam!

Powiesz pewnie, że to wszystko jest niedorzeczne, prawda?

Dzisiejszej nocy znowu zagrałam na fortepianie. Zapytasz, jak to możliwe, biorąc pod uwagę to, co napisałam o wodzie w jego wnętrzu... Wszystko Ci zaraz wyjaśnię, bądź cierpliwy. Otóż pan Husley był u mnie dwa dni wcześniej, w dość pogodny dzień poprzedzający sztorm. Na początku miałam mieszane uczucia z powodu jego wizyty, lecz przystałam na nią, zresztą nie był sam. Towarzyszył mu pan Rooney, z którym, jak się okazało, łączą Karima interesy. Zdaję sobie sprawę z faktu, że to wcale nie powinno uspić mojej czujności, zważywszy na reputację Rooneya, lecz wpuściłam ich do środka. Tak, mnie także przepełniał niepokój. Lecz nieokreślony lęk jest niczym wobec samotności, z którą mnie tu pozostawiłeś.

Z właściwą sobie dbałością Husley wyczyścił wszystkie struny, lecz nie potrafił ponownie nastroić fortepianu. Co dziwne, jego osobliwe zainteresowanie przedmiotem w salonie, znacznie osłabło i prawie nie zamieniliśmy ze sobą słowa, poza kilkoma zdawkowymi, wymaganymi konwenansem uwagami.

Grałam, żeby się uspokoić, bowiem od rana już czułam niepokój, który jedynie wzmógł sztorm.

Od momentu przebudzenia towarzyszył mi dziwny fetor, nasilający się szczególnie w pokoju z fortepianem. Zapach kojarzył mi się z odorem zastawej wody. Nie potrafiłam się na niczym skupić. Kręciło mi się również w głowie.

Kiedy rankiem 21 lipca poczułam smród, okazało się, że nie mam dość siły, aby unieść zagadkowo ciężkie wieko. Niepokój i zapach narastały z taką siłą, że poczułam się w końcu duszona przez ściany własnego domu. Trwająca od trzech dni gorączka uniemożliwiała mi jednak wyjście na zewnątrz. Spacer w stronę miasta, blisko trzy kilometry pieszo, wydawał się ponad moje nadwątlone siły. Ten dzień spędziłam na lekturze Goethe'go, praktycznie nie opuszczając łóżka.

Sztorm rozpętał się na dobre około popołudniowej herbatki, a ja z ociąganiem wstałam z łóżka i zesłam na dół, po szybkiej i niezbyt przyjemnej toalecie. Włosy musiałam jednak umyć, odwlekałam to od kilku dni. Właśnie osuszałam głowę ręcznikiem, gdy we wszystkich oknach rozbłysło białe światło. Zasłoniłam oczy. Blask prawie natychmiast zalał cały dom. Podbiegłam zasunąć zasłony. Lecz światło i tak przesączało się pod drzwiami i przez szpary w materiale. Odsunęłam się z wahaniem od okien. Coś w jednym z nich ujrzałam. Postać, namalowaną przez blask bijący zza pleców intruza. To było okropne. Zupełnie jak na „Eleonorze”... Poczułam, że z chwili na chwilę staczam się w coraz większy obłąd. W kolejnych oknach zobaczyłam podobne sylwetki. Postacie stały z opuszczonymi, obwisłymi ramionami.

Poczułam, że z jakiegoś powodu tajemniczy przybysze nie mogą wejść do środka niezaproszeni. Wzrokiem zlustrowałam pusty pokój. Spojrzenie padło natychmiast na fortepian, lecz szybko odwróciłam oczy. Miałam wrażenie, że słyszę odległą, nieznaną mi muzykę i to chyba w tym momencie upuściłam

ręcznik, po chwili bowiem dostrzegłam go na podłodze. Zaczęłam drżeć, a potem już dygotać. Zęby podzwaniały mi z zimna. Co się ze mną działo? Potrzebowałam usiąść, lecz jedynym w miarę wygodnym siedzeniem zapewniającym mi spoczynek, oprócz wilgotnej, pokrytej plamami podłogi czy niewygodnego fragmentu kufra, był stółek przy fortepianie po drugiej stronie pokoju. Zapadłam w mroczne przygnębienie, a obraz zaczął wirować, kolejny efekt gorączki, jak sądziłam. Coraz więcej postaci pojawiało się w oknie. Usiłowałam odwrócić wzrok. Ze strachu, że to, co zobaczę na zewnątrz, nie będzie człowiekiem, postanowiłam nie odsłaniać kotar.

Opadłam na siedzenie przy fortepianie. Wyciągnęłam dłonie przed siebie, nie poznając ich wcale. Były ohydne, jakby żylaste. Skóra na nich wydała mi się sina, ściętna naprężona. Nie wierzyłam, że to moje własne ręce. To dziwne, ale nie miałam nad nimi kontroli, nie czułam krążeń, a kiedy raz jeszcze im się przyjrzałam, to było tak, jakby należały do kogoś innego, nie do mnie. W dodatku same zaczęły uderzać w klawisze.

Reszta była niczym koszmarny sen. Grałam długo, tracąc poczucie rzeczywistości. Nie wiem nawet, co grałam. Czyżby tę samą melodię, którą wcześniej wydawało mi się, że słyszę? Nie jestem pewna, ale utwór musiał być ponury i głośny. Nie wiem także, skąd go znałam.

Na krótko przed świtem blask zaczął wypierać ciemność i strach wewnątrz mnie. Ktoś podszedł pod same drzwi. Usłyszałam dudnienie ciężkich butów, a po chwili drewno odpowiedziało łomotem na wymierzane mu ciosy pięści i kopniaki. Przerwałam grę. Łomot narastał. Ktoś z całej siły walił. Zażądałam, aby sobie poszedł. Nie potrafiłam jednak wykonać ruchu, aby zaryglować zamek, przysunąć tam jedną ze skrzyń, czy uczynić cokolwiek. Uderzenia wzmogły się. Teraz już brzmiało to tak, jakby ktoś walił młotem. Zesztywniałam, widząc, jak deski poddają się, odskakują razem z farbą. Spojrzałam w okno. Potem na kurantowy zegar. Im bliżej było świtu, tym światła stawały się coraz bardziej mętne.

Nagle sylwetki napały na okna tak, jakby zamierzały je powybić. Sklejone dłonie przywarły do szkła. Stukanie rozbrzmiewało z upiorną regularnością, która wydawała się naśladować cykanie wskazówek zegara. Drzwi trzeszczały, a przez szparę zaczęła wlewać się ohydna, zielona maź. Przypominała wodę z fortepianu.

Światła przesunęły się. Zagrałam znowu, a przynajmniej tak mi się zdaje. Wtem poczułam przyływ mdłości. Nie miałam już siły. Strach pokonywał mnie, brał nade mną górę, dusił. Serce łomotało jak szalone. Jego uderzenia zlewały się z waleniem w drzwi, z odgłosami zegara, z całą tą szaleńczą kakofonią. Musiałam być wyczerpana, trawiony od wielu godzin niepokojem i gorączką umysł nie rozróżniał już prawdy od konfabulacji. Nawet nie wiem, kiedy moja głowa uderzyła w skrzynię fortepianu.

Po jakimś czasie podniosłam wzrok. Usłyszałam wrzask mew. Na zewnątrz było widno. Wsłuchiwałam się ze zdziwieniem w spokojny szum morza. Sztorm się skończył. Przetrwałam. Na strychu znalazłam ogromny łom i po zatarganiu go na dół, spojrzałam na fortepian. Podważyłam wieko. Zajrzałam do pudła. Odkryłam oblepiające go zielone wodorosty, zwisające na strunach i młoteczkach. Ale... Przecież sama widziałam, jak Karim...

Nie powinien grać bez fałszu. Nie było możliwości, abym dożyła z tego przeklętego instrumentu chociaż jeden normalny dźwięk. Nie, gdy był w takim stanie. A jednak. Grałam na nim tej nocy. Brzydziłam się dotknięciem paskudztwa oblepiającego wnętrze skrzyni.

Z wahaniem podeszłam i otworzyłam drzwi. Uderzyło we mnie przenikliwe zimno. Rozciągający się przed moimi oczami widok przypominał krajobraz po bitwie. Nad pustkowiem zawisły potężne, skłębione cumulusy.

Po chwili nie mogłam już znieść szumu morza. Wiszący w powietrzu zapach soli wydał mi się obrzydliwy. Zrzuciłam coś szybko na siebie i pobiegłam do miasta. Do Husleya.

Wiem już, że wszystko, co się dzieje, ma związek z tym przeklętym fortepianem. W domu ma miejsce to samo, co na statku.

Karim trochę mnie uspokoił. Kazał mi pozostać w mieście. Do domu wysłał na moje życzenie kilku silnych miejscowych. Mieli zabrać instrument. Wytargać go poza dom i zostawić nad brzegiem morza. Niech ocean zabierze to, co do niego należy.

Husley zaprosił mnie do małej, niebieskiej kawiarni. A potem odprowadził z powrotem na Wzgórze.

Po Maorysach, którzy mieli zabrać fortepian, nie pozostał nawet ślad. Drzwi do domu pozostawili otwarte. Uderzały o framugę.

Instrument stał na swoim miejscu.

Karim wpadł w szal. Spojrzał na mnie. Zrozumiałam, że jest tak samo zaniepokojony zachowaniem tubylców jak ja. Być może wiedział więcej. Lecz nie zamierzał mnie wciągać w swoje tajemnice. Chciał za wszelką cenę ochronić damę przed niebezpieczeństwem.

Poprosił, żebym na razie została w domu. Tu jest przynajmniej bezpiecznie. Sam postanowił wrócić do miasta w celu sprowadzenia pomocy. „Wrócę niebawem”, obiecał.

Nie mam pojęcia, co teraz nastąpi. Husley nie pojawił się od dwóch godzin. Nie zniosę następnej nocy. A przecież nie pójdę do mojego przyjaciela, bo to nie wypada. Zresztą, boję się iść do miasta na własną rękę.

Piszę ten list bardziej dla siebie niż dla Ciebie. Już nie przeczytasz nigdy mojej korespondencji. Czuję to. Wiem, że listy nie docierają tak od razu. Nie jestem skończoną idiotką. Ale żebyś nie napisał nawet depechy? Nawet wzmianki, zwykłego „Co u Ciebie, Claro?”. Wstydzisz się tego, do czego między nami doszło? To byłoby dziwne. Przecież brata i siostrę powinna

łączyć zażyłość. A może to jeszcze coś innego? Może nasze listy po prostu utonęły?

W miejscu tak dalekim, jak to, w którym jestem, wszystko staje się jednym, przerażającym „gdyby”. Zaczynam już wierzyć, że pozbyłeś się balastu, umieszczając mnie tutaj.

Nie wyślę tego listu. Nie skończę go nawet. Dla kogóż miałabym to zrobić?

Wszystko stracone. Słońce chyli się ku horyzontowi. Oni tu wrócą. Ci z latarenkami zamiast oczu. Już stoją. Widzę ich oczami wyobraźni w czarnym wykroju okna. Stoją w drzwiach... Morze ponownie oznajmia swoim głosem ich przyjście. A potem wypływa te stwory. A ja znowu jestem na statku. Na „Eleonorze”...

* * *

To już ostatni list. Po nim nic więcej nie otrzymałem. Ale to nie koniec. Jest jeszcze dziennik, a raczej jego strzępki. Każdy dostałem w osobnej, pożółkłej kopercie. Wiąże się z tym pewna osobliwa tajemnica. Dotyczy ona zarówno dziennika, jak i listów. Ale o tym za chwilę. Zanim więc Czytelnik oceni moje postępowanie, niech pozna całą prawdę.

21 października, Roku Pana 1821

Dzisiaj na pokład „Eleonory” zaokrętował się dandys, arystokrata z Ameryki, niejaki Barney Rhodes, z ośmioletnią córką. Arystokrata, niech go porwą diabli! Cuchnie tak samo jak każdy z nas po dwóch dniach rejsu. Płyniemy do Nowej Zelandii.

Mężczyzna zabrał ze sobą „fortepiano”. Rzecz wygląda trochę jak pianino, tyle że jest większa i ma inny kształt. Ta smarkuła rzępoli na nim do konkurów we Wiedniu. Mała musi podobnie bez ustanku ćwiczyć. Stary Rhodes jest względem niej surowy jak wszystkie diabły i na długie godziny zamyka gówniarę w tej ich kajucie. Co za brzydactwo! Takież ta mała, jak i jej pianino. Potrzeba było dźwigu i sześciu chłopów, coby uradzić draństwo.

Nawet teraz, kiedy piszę, rzępoli na nim, że aż się chce wszystkim płakać.

Z San Francisco, po zabraniu tej dwójki, wypłynęliśmy nie tak znowu rano. Tuż po zapakowaniu kolosa do grania. Kapitan Franklin rozkazał nam być miłymi względem, jak to określił, „amerykańskiego pana”. Argumenty są takie, że zobaczymy dużą premię w Auckland.

22 października, Roku Pana 1821

Smarkuła jest nieznośna. Chyba któryś z nas będzie ją musiał w końcu ujarzmić. Wyniosła gówniarę! Nosi się wysoko i wszystkich traktuje, jakbyśmy byli jaką jej służbą. A jak na ciebie, chłopie, spojrzysz tymi swoimi żabimi gałami, to cię ciarki po plecach przechodzą. Powiadam do kapitana:

„Franklin, ta mała ma złe oczy, jak żmija albo kocur”. Ale kapitan nie słucha. Dziewczynka jest prawdziwym oczkiem w głowie tego całego pana Rhodesa. Choć muszę przyznać, stary Barney zachowuje się względem niej trochę dziwnie. Na własne gały żem widział. Oschłość miesza się u niego z atakami złości, a oziębłość poprzedzają wybuchy płaczu. Tak, jakby zarazem gardził nią, ale i pilnował. Strzegł jej i się obawiał. Nie wiem, co jest w tym dziecioku takiego niezwykłego. Toż to brzydkie i żółtoskóre, a przy tym wyniosłe i chyba z letka przygłupie.

Były pierwsze spięcia. Ojczulek zagroził staremu Rigssonowi, gdy ten próbował przygadać do małej. Może i dobrze... Pamiętam tego murzynka, co robił za majtka zeszłej zimy na Madagaskarze... Rigss robił mu różne rzeczy, a kapitan gapił się na to przez palce. No i mały czarnuch skończył w końcu z przetrąconym karkiem. Mówili, że to wypadek był. A ja pod Bogiem wiem, jak naprawdę było...

Mała nie przestaje grać.

śledzi. Ślęczy nad tą swoją klawiaturą i...[3]

...jej cholerny ojczulek musi się nad nią znęcać... Jest taka zastraszonej i milkliwa. Czasem z kajuty na dole dobiega coś jakby krzyki... Rigsson zszedł wczoraj, a gdy powrócił, był biały jak duch. Mówił, że słyszał za drzwiami szloch małej. Nagle, kiedyśmy tak stali i gadali, okazało się, że za nami jest pan Rhodes...

Miał łzy w oczach i mamrotał coś, co brzmiało jak: „Wybacz mi, dobry Boże”. Nagle jednak jego oblicze odmieniło się, wykrzywiając złowieszczo. Uniósł coś w ręce, zanim mogliśmy zareagować...

Zbił na oczach moich i wszystkich innych Rigssa, a gdybyśmy go nie powstrzymali, zraniłby starego wiarusa szpadą w twarz.

Po wszystkim Rigsson zaczął rozpowiadać, że widział dziewczynkę pod fortepianem. Miała obnażone, nagie ramiona i poharatane ranami plecy. Jej falbaniasta, zwykle zapięta po szyję sukienka zwisała w strzępach i była cała we krwi...

Na ścianach dostrzegł wąskie, krwawe pręgi. Według Rigssona stary zmuszał małą do zlizywania krwi z własnych ran, na co smarkuła piła ją łapczywie jakby to było mleko matki.

Bardzo przejęliśmy się tym, co powiedział Rigsson. I nie chodziło o to, co mówił, ale w jaki sposób to zrobił. Stary dureń rzadko się w ten sposób zachowywał...

...kiedyśmy go wzięli na dół, wybuchnął płaczem. Próbowaliśmy mu wmówić, że to, co widział, to była jakaś gra cieni. Nikt z nas nie dał mu wiary.

....dał kłam naszym słowom, na to ja mówię: „Franklin, jak długo się znamy?”

Nie uwierzył. Podobni do siebie zawsze wierzą tylko sobie nawzajem. Ale my wiemy swoje. Rany, które badał lekarz pokładowy, wskazują na to, że

Rigsson został wychłostany.

Takiej draki nie widział dotąd nasz stary, poczciwy bryg. A mówiłem od razu, że to pech, taka para na pokładzie.

Smarkuła gra. Gra dalej ten swój ohydny marsz pogrzebowy.

Czy oni są na pewno Amerykanami? Mała, jak z nią Rigss rozmawiał, zaczęła mówić nagle w jakimś dziwnym, obcym języku. Z drugiej strony to dzieciak. Dzieciaki wymyślają różne języki...

2 listopada, Roku Pana 1821

Mój Boże! Ona gra dalej! Kapitan ledwo utrzymuje ludzi w ryzach... Wiedzieliśmy, że ten Amerykanin może być przemytnikiem, ale, mój Panie! Nikt by nie przypuszczał, że to właśnie to! Toż to bezbożność!

Morze osacza nas... Nigdy nie miałem podobnie złych przeczuć... Mewy fruną daleko stąd. Żadna suka się nie zbliży...

Panuje kompletna cisza. Najmniejszego szmeru.

Towarzyszy nam tylko ta ponura kakofonia.

Mała nie przestaje. Jak ona szarpie ten instrument! Ojczulek dawno zabarykadował przed nami drzwi. Słyszeliśmy jego przekleństwa i ten osobliwy płacz. Lecz najdziwniejsze, że to nie dziewczynka ryczała. To był jego szloch, Amerykanina. Przeklinał Boga, wzywając jego imię nadaremno. Potem zaczął wołać samego Diabła. „Asmodeuszu, Lucyferze, Szatanie!” Nigdy żem nie słyszał takiego głosu. Musi być obłąkany...

Pierwszą ofiarą był, rzecz jasna, Rigss. Rankiem wyważył z trzema majtkami drzwi. Nie sądził, że Amerykanin może być uzbrojony. Wszedł do środka. A on wypalił mu w brzuch, a potem odepchnął kopniakiem i zabarykadował się na nowo. Kiedy nadbiegliśmy, było już za późno. Bydlak strzelał, żeby zabić. Rigsson, nawet leżąc w kałuży własnej krwi, myślał, że jakimś cudem to przeżyje. Chwycił za gardło lekarza i prawie by go udusił. Krew lała się wszędzie. Amerykanin zaczął coś krzyczeć ze środka, zanosząc się raz po raz szaleńczym śmiechem, to znowu płaczem. To, co wykrzykiwał, nie było po angielsku. Ani po ludzku. Z daleka odpowiedział mu skowyt.

Następny uratowany urywek jest jeszcze dziwniejszy.

...sześciu po drugiej. Jedna szalupa już odbiła. Światło spod wody ciągle podchodzi. Ciągle bliżej... Piekielnie zimno. Coraz jaśniejsze.... Prawie widać w nim fruujące pyłki. Ale nie robi się od niego cieplej. Wręcz przeciwnie. Coś... Sam zostałem. Słyszę krzyki. Pierwsza szalupa idzie na dno. Druga odbiła, ale marynarze krzyczą już, że chcą z powrotem na pokład. Na to jednak za późno. Istne piekło... Dosyć mam tego. Ładuję strzelbę. Mówiłem, żeby wyrzucić naszych pasażerów na pożarcie tamtym. Idę to skończyć. Całego tego grania też mam powyżej uszu. Broń nabita. Coś słyszę. Coś jest na pokładzie. Dudni, jakby ważyło pół tony. Może to ta rzecz, która wylazła z małej. Idzie po mnie.

Widzę ją przez okno. Boże, te oczy! Pazurami wyszarpuje sobie drogę do mnie!

Z pamiętnika Thomasa Elthorna III
Luźne zapiski na marginesie

Przyszedł czas na tajemnicę, która być może oczyści mnie pewnego dnia w oczach moich bliskich. Na początku nosiłem się z zamiarem zatajenia wszystkiego. Zamierzałem zachować sekret dla siebie jedynie, dbając o dobre imię mojej siostry, Clarissy. Lecz powinność wobec rodziny zmusza mnie w końcu do wyjawienia prawdy. Wybacz mi, słodka Claro. Nie zabierzesz swoich tajemnic do grobu.

Listy i paczki otrzymałem 12 listopada 1866 roku, wraz z depeszą o śmierci mojej siostry, Clarissy, oraz przeprosinami poczty za zaginięcie na blisko miesiąc wszystkich adresowanych do mnie przesyłek, gdzieś w drodze z Ashburton. Kiedy je więc otrzymałem, biedna Clarissa już nie żyła.

Podobno zginęła w swoim domu, który podczas wyjątkowo silnego sztormu 2 sierpnia runął z urwiska. Pozostał z niego tylko fragment fasady. Ciało mojej biednej siostry wyłowiono, a potem przewieziono do Dunedin powozem wynajętym przez tajemniczego dżentelmena, który podawał się na miejscu za jej brata, Thomasa Elthorna, czyli mnie.

Clarissa długo czekała na mój powrót. Czekala, niestety, bez życia. Spoczywając w zimnej piwnicy. Pewnie więc było jej wszystko jedno. Lecz choć nie mogłem jej pomóc, nie potrafię sobie tego wybaczyć.

Kiedy w imieniu Clarissy kupowałem dom, dowiedziałem się od pośrednika o dziwacznych okolicznościach związanych ze śmiercią poprzedniego właściciela. Wątpliwości, które wtedy poczułem, mogły uratować życie mojej siostry. Gdybym, rzecz jasna, ją o nich poinformował, czego nie uczyniłem z niedbalstwa i pośpiechu. Może również z obawy, że historyczna natura Clarissy da znowu o sobie znać, półświadomie zataiłem przed nią wszystko?

Pośrednik, Randy Brock, bez ogródek opowiedział mi historię domu na Kalmarowym Wzgórzu. Barney Rhodes, który przeżył feralny rejs, uciekł przed pomówieniami na koniec świata. Tam wzniósł okazałe domostwo, a po wybudowaniu nie wrócił już do czynnego życia i interesów. Stracił w ten sposób wszystkie oszczędności, a potem pewnego dnia wyszedł na spacer, z którego nie wrócił. Prawdopodobnie spadł do morza podczas szkwału. Okoliczności śmierci były niejasne, a informacje, które przekazał mi zarządca, wzbudziły żywy niepokój. Lecz na siłę uspiłem czujność i uczyniłem to ze wszech miar celowo. Dążyłem do pozytywnego zakończenia spraw mojej siostry. Umyślnie ją tu pozostawiłem. Była dla mnie ciężarem, którego nie uwzględniały moje coraz lepiej prosperujące interesy. Nie potrafiłem się zdobyć na to, aby stać się jej opiekunem i szczerze zając sprawami Clarissy.

Przyznaję. Chciałem na krótki czas odsunąć od siebie Clare. Bywała nieznośna, kapryśna i słaba, a ja potrzebowałem czasu, aby uporządkować swoje interesy oraz zastanowić nad kolejnymi krokami, które muszę względem Clary podjąć. Ktoś mniej czuły wysłałby ją na moim miejscu do sanatorium. Mało takich przybytków znałem? Znałem również podobne przypadki. Ale nie uczyniłbym tego nigdy. Wykazałem się brakiem uczuć, nie przeczę. Lecz nie byłem przecież potworem.

Razem z dokumentami zakupu posiadłości otrzymałem do rąk własnych pudło pełne starych gazet. Między innymi był tam artykuł z jakiegoś amerykańskiego szmatławca, noszący datę 1821 roku. Dotyczył osadzonego w zakładzie zamkniętym w Arkham pewnego starego marynarza, ostatniego żyjącego członka załogi „Eleonory”. Marynarz ten był człowiekiem dość wykształconym i piśmiennym, znał dobrze kapitana brygu i cieszył się jego umiarkowanym zaufaniem, uczestnicząc z nim razem w licznych rejsach. Jego rodzina pochodziła z Massachusetts.

Marynarz ten nosił na imię Guy Sommerset i za zgodą kapitana, Franklina Oackleya, a może nawet na wyraźną prośbę tego ostatniego, prowadził coś w rodzaju dziennika pokładowego, w którym zapisywał liczne notatki, sporządzał mapy i tym podobne. Jego ostatni zeszyt wpadł w ręce Clarissy, odnaleziony na Kalmarowym Wzgórzu.

Dlaczego Oackley sam nie prowadził dziennika? Trudno mi powiedzieć. Może cierpiał na reumatyzm czy inne zwyrodnienie stawów, który to stan ukrywał przed własną załogą lub urzędnikami marynarki Stanów Zjednoczonych? Cóż, pozostały mi jedynie domysły.

Sommerseta znaleziono wraz z pasażerem, przemysłowcem amerykańskim, Barneyem Rhodesem, na pokładzie „Eleonory”, która dryfowała w listopadzie 1821 roku u wybrzeży Nowej Zelandii. Stan obu mężczyzn był niezwykle ciężki. Wyziębienie, skorbut... Do tego stwierdzono u nich omamy i inne objawy demencji, wynikające, jak sądzono, ze stanu fizycznego wyniszczenia. Marynarz nigdy nie doszedł do siebie. Tylko ci dwaj przeżyli. Poza brakującymi szalupami i czterema trupami w kajutach, obaj nieszczęśliwcy stanowili jedyny dowód makabrycznych zdarzeń na „Eleonorze”.

Następny artykuł dotyczył oskarżenia wysuniętego przez pasażera pod adresem marynarza. Otóż, wśród zwłok znalezionych na pokładzie, jedno z ciał należało do córki Rhodesa. Żeglarz miał jakoby wedrzeć się do kajuty, ogłuszyć pasażera, a następnie w bestialski sposób zamordować jego ośmioletnią córkę. Do procesu nie doszło. Biegły sądowy uznał Sommerseta niepoczytalnym. Rhodes apelował. Lecz nie miał już siły wrócić do Ameryki. Przegrał więc proces.

Osiedlił się na stałe w Nowej Zelandii. Zaginął kilka lat później, tuż po dokończeniu budowy domu na Wzgórzu Kalmara. Mówiono, że śmierć córki

całkiem go załamała. Ostatnią osobą, która go widziała, był jego maoryski służący.

Przejrzałem jeszcze raz artykuły. Potem natychmiast spakowałem swoje rzeczy i pojechałem z Dunedin do Ashburton. Pozostawiłem Clarissę na kolejne dni samą, w jej piwnicy. To wtedy podjąłem zamiar napisania listu do przyjaciół w Ameryce. W noc po przyjeździe przyśniło mi się, że spotkałem tę hienę, tego szakala w ludzkiej skórze, Karima Husleya, w jednym z oświetlonych mocno przez księżyc zaułków Ashburton. Patrzył na mnie, a ja nie potrafiłem odwrócić wzroku. Był dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażałem po lekturze listów Clarissy. Jedyne wyraźnie widoczne w blasku miesiąca blizny na twarzy, w szczególności policzkach, wydawały mi się czymś nowym w opisie. W ich położeniu względem siebie istniała jakaś regularność, więc przyszło mi do głowy, że te nacięcia były czymś w rodzaju wykonanych celowo, rytualnych znamion. Z drugiej strony, kto by chciał siebie w ten sposób oszpecić? Z pewnością nie świadomy i cywilizowany Europejczyk.

Wybrałem się do sklepu Husleya, zastając tam zamalowane okna i puste, pozbawione jakichkolwiek śladów wcześniejszej działalności pomieszczenia. Niestety, wyglądało na to, że moje poszukiwania spełzną na niczym. Z pomocą przyszedł mi jednak doktor Abbot, lekarz, który badał ciało Clarissy po jej wyłowieniu. W luźnej rozmowie wspomniałem o sklepikarzu, podając jego nazwisko i narodowość.

– Husley? – Ściągnął krzaczaste brwi.

– Jest pan zdziwiony?

– A sprawiam takie wrażenie, sir? – odparł niechętnie.

– Z całą pewnością. Zareagował pan tak, jakby nazwisko nie było mu całkiem obce.

– Doprawdy? Sam nie wiem. – Nachmurzył się jeszcze mocniej. – Może obilo mi się o uszy.

– Może?

– Taaaak – przyznał. – Jakiś Arab czy nawet Egipcjanin mieszkał w Dunedin. Miał tu swój dom.

Pokręcił głową, jakby usiłował odegnać uporczywą myśl.

– Nie pamiętam.

– To niech pan sobie przypomni! – zawołałem, sam nieco zaskoczony gwałtownością, z jaką to wypowiedziałem. Ale jeszcze bardziej zdziwiony był Abbot.

– Spokojnie, drogi kolego. Przypomnę sobie.

– Proszę o wybaczenie! – Spiałem się, sięgając po chusteczkę. – Ten stres... Chrząknął.

– Rozumiem... Jednak...

– Tak?

– Czy mogę mieć jeszcze jedno pytanie, sir? – Zmienił temat. – Odnosi się do denatki. To znaczy, pana siostry.

– Oczywiście – oznajmiłem.

– Czy pana siostra... Czy ona cierpiała na anemię?

– Kto? Clara?

Skinął nerwowym ruchem.

– Nie... Dlaczego? – spytałem.

– Miała objawy silnej anemii.

– Doktorze... Wróćmy do tego tematu później? Mam istny mętlik w głowie.

– Oczywiście.

Ponownie skinął.

Niestety, szybko zapomniałem o całej rozmowie. Gdybym zwrócił wtedy nieco większą uwagę na sprawę tej dziwnej anemii...

* * *

Wróciłem do Dunedin i podjąłem dalsze poszukiwania. Nie natrafiłem na żaden ślad panny Riordan, zupełnie jakby leciwa kobieta po zwolnieniu po prostu zniknęła. Nikt nic nie wiedział na temat miejsca jej pobytu. Także znajomi panny Melisy, ci, o których wspomniała w swoich listach Clarissa, nic nie potrafili powiedzieć. Co więcej, nie mieli pojęcia o zwolnieniu Melisy, choć faktycznie konkludowali, że nie widzieli starej służącej przynajmniej od kilku miesięcy. Za słabo jednak, stwierdzili jednym głosem, interesowali się sprawami damy z Kalmarowego Wzgórza, aby wiedzieć coś na pewno. Z pewną dozą nieufności podszedłem do tych nowin. Wszakże w swoich listach Clara niezbyt pochlebnie wyrażała się o tym środowisku, a i na mnie żaden z nich, nie wyjąwszy McAbeltona, nie zrobił dobrego wrażenia.

Idąc jednak za radą pana Rogera McAbeltona, wynająłem pokój w miejscowym kurorcie prowadzonym przez nieco bardziej sympatyczne, angielskie małżeństwo.

Pierwszej nocy przyśniła mi się Clara. Stała w oknie, wiatr rozwiewał jej koszulę nocną, a ja zastanawiałem się czy to sen, czy jawa, wpatrując się jednocześnie w miękki zarys jej młodego ciała. W myślach przeklinałem się za podniecenie, które poczułem. Jej ciemne, głęboko osadzone oczy oddawały blask dopalającej się lampy naftowej, lecz podłużną twarz skrywał w większości cień.

– Clara? – Podniosłem się z poduszki i oparłem ciężar ciała na łokciu. Byłem bardziej niż pewny, że śnię.

Posłała w moim kierunku cierpki uśmiech. Miała na ustach karminowy barwnik, co jeszcze potęgowało bladość jej oblicza. Clarissa nigdy nie używała podobnych mikstur, będąc świadoma ich zgubnego wpływu tak na cerę, jak i cały organizm.

Zbliżyła się, podpływając niczym duch, za którego ją w dalszym ciągu uważałem. Włosy dziewczyny lepiły się do policzków.

– Przyszłam do ciebie.

Pokręciłem głową.

– To niemożliwe – wychrypiałem, bardziej do siebie niż do niej. Czułem przeraźliwą suchość w gardle.

– Nie pamiętasz? – Nachyliła się do mnie, zgarniając długie włosy za ucho jednym zdecydowanym ruchem ręki.

– Co mam pamiętać?

Odpowiedział mi uśmiech.

– Dlaczego naprawdę wyjechałeś.

* * *

Następnego ranka podjąłem się poszukiwań Karima Husleya. Sen o Clarze wydawał mi się tak nierealny, że sam nie byłem pewny, czy mi się przyśnił. Do południa błądziłem wśród śmiesznych, niskich domów i wąskich uliczek. Udało mi się przekupić jednego z brzydkich, krępych Maorysów o mocnych szczękach i maleńkich, piwnych oczkach, aby wskazał mi sklepikarza Husleya, lub kogoś, kto go zna. Przyjrzałem mu się, i to nie bez powodu. Twarz mężczyzny zdobił tatuaż, tak zwane moko, który, z tego, co wiedziałem na temat Polinezji, był zarezerwowany jedynie dla wodzów i znamienitych wojowników, i z wolna, zwłaszcza po okresie wojen, odchodził w niepamięć.

Maorys mówił dobrze po angielsku i dlatego zwróciłem na niego uwagę. Miał szerokie, otoczone wizerunkami muszli mięsiste wargi i mokre, kręcone włosy. Pomimo moich wcześniejszych wniosków przedstawił się jako syn zwykłego latarnika. Co nie mniej zastanawiające, od początku wiedział, o kogo mi chodzi.

– Honou Eephe – stwierdził.

– Co to znaczy? – Spojrzałem w zezowate oczy czarnego mężczyzny.

– Obcy – mruknął. – Rozciągający Sobie Uszy. Jedzący Innych Ludzi. Które pan wolisz.

– Wiesz, gdzie go znajdę? – spytałem. Kiwnął z przekonaniem głową.

Zaprowadził mnie do pewnej starej kobiety, mieszkającej przy końcu stromej ulicy Baldwin. Stał tam pomarańczowy, drewniany dom. Maoryska wyglądała, jakby czekała tu od dawna. Siedziała na barwnej, tkanej macie. Patrząc w moim kierunku spod swoich spuchniętych powiek, warknęła coś do chłopaka. Maorys spojrzał na mnie i przetłumaczył jej słowa.

– Honou Eepehe tylko udawał.

– Co to znaczy? – spytałem. Odwrócił się do starej i przetłumaczył. Pokiwała głową i długo mruzczała.

– On był Honou Eepehe dawno temu. Zanim biali przyszli. Był kapłanem Make-Make, kultu tangata-manu. Ale nie był manu i nie był tangata. Nie

szukaj Honou Eepehe. Oni przyszedli z zewnątrz. Wielbią Dawnych. Śpiewają na ich cześć. Zawsze tak było. Bo co śni, nie umiera.

– Nic z tego nie rozumiem – odparłem.

– Tangata-manu – wyjaśnił tłumacz. – Oznacza człowiek – ptak.

Babcia pokiwała głową. Zdałem sobie sprawę z tego, że znakomicie nas rozumie. Nagle przemówiła po angielsku.

– Make-Make chciał darów od swoich dzieci, Menehune, Starszego Ludu. Menehuni są dawnymi żeglarzami Polinezji. Wywodzą się od czerwi zrodzonych przez gnijącą winorośl.

Westchnąłem głośno, zaskoczony jej płynnym, choć nie pozbawionym akcentu angielskim.

– Menehune dawno odeszli, podążyli za Make-Make do morza – stara Maoryska prowadziła swój monolog, niezrażona. – Czasem tylko odwiedzają nasz świat... A wtedy...

Poruszyła się. Urwała, jakby zapomniała, co było dalej. Zmrużyła oczy. Spojrzała na jedną ze ścian.

Starucha zaczęła czołgać się w moją stronę. Szurała kolanami. Dopiero po chwili zrozumiałem, dlaczego tak się dzieje. Nie miała nóg, a tylko dwa zabandażowane kikuty.

– Gdzie znajdę Husleya? – spytałem. Lecz babcia milczała, patrząc na mnie obcym wzrokiem. Nagle wzięła głęboki wdech.

– Umrze moje plemię i umrze nasz język, jeśli nie będziemy respektować Starszych – mruknęła. – Starsi chcą milczenia. Jeśli będą chcieli, żeby coś było wiadome, użyją do tego Głosu Morza.

Po tych słowach zrobiła przeproszającą minę i zamilkła.

Nic więcej nie powiedziała. Na przemian klękałem, wygrażałem jej i laziłem w kółko. Babcia ignorowała mnie, patrząc nieruchomo przed siebie. Pod ścianą stał młody Maorys. Widziałem, że nie pozwoli mi zrobić kobiecie krzywdy. Moje prośby jednak nie poskutkowały.

– Daj spokój, człowieku – mruknął, widząc, jak świdruję starą wzrokiem. – Chodź, zaprowadzę cię na Kalmarowe Wzgórze. Przecież wiem, że chcesz.

Odrobinę bezwiednie wzruszyłem ramionami.

* * *

Zbliżał się wieczór. Morze huczało niepokojąco, przybierając barwy podpalonej zachodem słońca ultramaryny.

– Ona nie chciała nic panu powiedzieć, bo się bała – przemówił ni z tego, ni z owego Maorys.

– Co masz na myśli, chłopcze? – mruknąłem.

– To oni jej zabrali nogi. Odcięli je i wyssali z nich całą krew. Kazali jej patrzeć.

– Kto?

– Tacy jak Husley.

– „Tacy jak”? – powtórzyłem.

Pokręcił głową.

– Husley to nie było prawdziwe nazwisko, sir – oznajmił, obdarzając mnie niepewnym uśmiechem. Jego grube wargi drżały, gdy mówił. – Tak samo jak twarz. Nic, tylko kłamstwa. Poza jedną sprawą. On był z daleka.

– Daleka?

– Tak. Z odległych czasów i miejsc, których nie pamiętasz ty i nie pamiętam ja. Jak wy to mówicie? Z samego źródła. Kołyski świata.

– Kolebki świata.

– Tak – zająknął się. – A teraz tam wrócił. Niech bogowie się zmiłują nad nami, w końcu go nie ma. Teraz będzie spokój. Spokój dla mnie. Spokój dla starszych.

– Odszedł? – drgnąłem. – Kolebki świata? Masz na myśli Afrykę? Egipt?

Przypomniałem sobie jeden z pierwszych listów Clarissy. Pochodzenie tego całego Husleya. O wszystkim mi przecież napisała.

Pokręcił głową.

– Człowieku, ja nic nie wiem o świecie. Ale mam pamięć do dziwnie brzmiących słów. Zawsze mi to powtarzali. Że jak jest coś do zapamiętania, to ja to zapamiętam. Dlatego teraz też przypominam sobie nazwę miejscowości. Birkasz koło Piramid. To stamtąd pochodził.

– Koło piramid?

– Chyba tak. Nie, nie chyba. Na pewno tak. Dziadek Karima był tam handlarzem takich dziwnych zwierząt. Pokazywał nam wszystkim rysunki w książkach. Widniały tam takie straszliwe konie, tylko że miały garby na grzbiecie.

– Wielbłądy?

Kiwnął znacząco.

– Pojechał tam, gdzie jeździ się na tych właśnie wielbłądach. – Brzmienie głosu chłopaka było drażniące i pełne niepewności. – Może pan spytać o Birkasz moją babkę, Madun. Ale ona nie powie. A ja sam wiele nie wiem. Jestem... Jestem młody i nie mam pojęcia, czego się boją starsi. Ale nie powinien pan szukać, sir. Niech pan to zostawi.

Parsknąłem gniewnie.

– Nie zdajesz sobie sprawy o tym, co mówisz, chłopcze.

– A pan sobie zdaje? – odparł, kładąc mi znienacka rękę na ramieniu. Runąłem wprost na niego, gotowy odpłacić mu za tę jego jawną bezczelność.

– Słuchaj, chłopcze! – Zmiażdżyłem jego ohydne usta między palcami i ścisnąłem wargi, czując słodki, zepsuty oddech. – Ja muszę się dowiedzieć, którądy uciekł ten Husley, rozumiesz? Muszę. Na pewno wiesz, którądy popłynął.

– Po co? Będzie go pan ścigał? – zapytał spod opuszczonych powiek. Wyglądał, jakby było mu wszystko jedno. Miał mętne oczy, niczym ktoś, kto za dużo wypił i bardzo przypominał teraz tamtą starą kobietę z pomarańczowego domu.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Może.

Przed oczami stanęło mi leżące w piwnicy nieruchome ciało Clarissy.

– Pomożesz mi – mruknąłem nie znoszącym sprzeciwu tonem. – To albo będą kłopoty. Mam przyjaciół w brytyjskich władzach. Rozumiesz? Wywiozła was wszystkich. Na statkach. Już nigdy nie zobaczycie domu. Wiesz, że mogę to zrobić.

Pokiwał z przejściem głową. W jego oczach o żółtych białkach pojawił się błysk niepokoju, uwolniłem go więc z rąk, przeczuwając, że za chwilę całkowicie zamknie się w sobie.

– Płynął z Dunedin, sir – wychrypiał, wypuszczając z sykiem powietrze. – Na pewno już jest daleko na morzu. Nie ścigaj go. To tak, jak ścigać własny zły los.

– Nie twoja sprawa – uciałem. – Słuchaj mnie lepiej. Uczynię cię bogatym, jeśli mi powiesz. Którędy?!

– Przez Kapsztad. Odpłynął parowcem „Królowa Zambezii” do Kapsztadu. Przez chwilę zbierałem myśli.

– Powiedz, kim on jest? Stara mówiła o jakimś Epe... Mów, co to znaczy.

Zmierzyłem chłopaka wzrokiem, na co on pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nic więcej nie wie. W tej samej chwili za moimi plecami zahuczała fala. Spojrzałem na ocean, odwracając głowę.

Widok na szarpane podmuchami wilgotnego wiatru sine morze był oszałamiający, a sposób, w jaki natura obeszała się z dziełem człowieka, onieśmieliłby największego zwolennika postępu.

Nie to jednak sprawiło, że na moment uwierzyłem w niedorzeczny zabobon, którego ofiarą stała się wąż psychika mojej siostry, Clarissy. Nie z tego też powodu wzdrygnąłem się i postanowiłem pozostawić na zawsze Kalmarowe Wzgórze samemu sobie i jego odwiecznej tajemnicy. Nie zrobiłem tego także z powodu nagłego zniknięcia mojego Maorysa. Młody mężczyzna musiał dać drapaka, kiedy zafascynowany wpatrywałem się w złowrogą ścianę, za którą była już tylko ciemniejsza pustka starożytnego oceanu.

Przez chwilę, gdy spoglądałem na jedyną ocalałą ścianę domu, która także przechyliła się w stronę urwiska i własnego upadku, przez tę jedną chwilę dom, a raczej to, co z niego zostało, wyglądał jak wrak okrętu, połknięty przez morze, a potem wypluty na brzeg.

W tej jednej chwili poczułem samotność płynącą z samego dna morza i czasów, gdy wszystkie lądy leżały jeszcze na jego dnie. W tej jednej chwili głos morza wyszeptał do moich uszu słowa, wobec których wszelka prawda przestawała mieć jakiegokolwiek znaczenie.

2. W STRONĘ KAPSZTADU

Z dziennika kapitana Francisa Jordana
24 stycznia 1867 roku

Obejmując dowództwo nad „Kirke”, uważałem się za wielkiego szczęściarza. Będąc oficerem marynarki Jej Królewskiej Mości od niespełna dziesięciu lat, szybko awansowałem ze stopnia podporucznika, a teraz miałem do dyspozycji swoją pierwszą jednostkę. W dodatku tak nowoczesną i kosztowną. Dwucylindrowy silnik boczno-wahaczowy firmy Forrester z Liverpoolu, o mocy 536 koni nominalnych, pozwalał na osiągnięcie prędkości 12-13 węzłów. Kotły o rurowych płomienicach. Bunkry na 500 ton węgla. Słowem, cud zakuty w żelazo czy raczej stal. Konstruktorem statku był niejaki Samwell Hardy, mało znany publice. Hardy pracował w firmie John Laird Sons & Co, współpracując między innymi przy budowie słynnej „Birkenhead”. Jak wiadomo powszechnie, „Birkenhead” spotkał w końcu okropny los. Przyczyną tragicznej katastrofy był wypadek. Statek wpadł na nieznaczoną na mapie rafę. Czy należy mi się dziwić, że gdy po raz pierwszy zobaczyłem moją „Kirke”, przez plecy przeszły mi zimne dreszcze? Kiedy w 1852 roku wybuchła afera związana z „Birkenhead”, przebywałem na przepustce, niedaleko Simons Town w południowej Afryce. Miałem okazję przestudiować artykuły w kapsztadzkich gazetach, które mówiły o katastrofie i wielkim bohaterstwie brytyjskiej załogi. Jako że zawsze fascynował mnie przemysł okrętowy, śledziłem tę sprawę z zapartym tchem. Muszę przyznać, że niezwykle żałowałem kapitana Salmonda i jego ludzi. Ponad dwustu marynarzy poświęciło się i poszło na dno razem ze statkiem.

No a teraz? Proszę. Miałem za zadanie objąć dowództwo na jednostce, którą z powodzeniem można by uznać za bliźniaczkę feralnego okrętu. Rozpamiętując szkice z gazet, spoglądałem na „Kirke” z uczuciami bliskimi ambiwalencji. Na szczęście nie należę do ludzi nadmiernie przesądnych, zresztą, nie przystoi to osobie mojej rangi. Ktoś inny, słabszy na umyśle, z pewnością uznałby okoliczności za zbyt niepokojące, aby przyjąć ofertę.

To nie wszystko. Otóż miałem popłynąć w stronę Kapsztadu i zgodnie z wytyczonym kursem przepłynąć w pobliżu miejsca zatonięcia „Birkenhead”. Doprawdy, przykry splot wydarzeń i okoliczności. Oficer marynarki nie może ulegać podobnym zabobonom. Istniał w związku z tym jeszcze jeden problem natury, że tak powiem, praktycznej. Co miałem powiedzieć marynarzom? Jako osoba trzeźwo myśląca uznałem, że najlepiej w ogóle nie przywoływać tematu, mając na uwadze prostolinijny charakter moich ludzi. Żywiłem przy tym nadzieję, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem i nie będzie powodów do tego, aby dziwne plotki szerzyły się między marynarzami.

Jak wspomniałem, jestem fascynatem nowoczesnego przemysłu stocznioowego. Znałem plany konstrukcyjne obu łodzi. Hardy wiernie skopiował rozwiązania znane mu z czasów współpracy z Lairdem. Jego parowiec kołowy posiadał konstrukcję, której głównym budulcem była stal. Kadłub zaopatrzone w komory, oddzielone grodziami wodoszczelnymi, które zapobiegały przedostawaniu się wody do wszystkich części statku w przypadku, gdyby kadłub został przebity. „Birkenhead” został zaprojektowany do roli pancernika, lecz w krótkim czasie jego przeznaczenie uległo zmianie. Miał przewozić wojsko do najodleglejszych zakątków Afryki. Aby przystosować go do roli okrętu pasażerskiego, dokonano znacznych przeróbek, które wpłynęły zarówno na konstrukcję, jak i bezpieczeństwo łodzi. Porozcinano wodoszczelne grodzie w taki sposób, aby możliwe było pomieszczenie większej ilości pasażerów i przemieszczanie się. Specjaliści badający sprawę zatonięcia parowca uznali tę nieprzemysłaną modyfikację za jedną z głównych, choć nie bezpośrednich przyczyn katastrofy. Mój statek był pozbawiony tej wady.

„Kirke” wyszła z portu Wellington 5 stycznia 1867 roku, przy silnym północnym wietrze, obierając kurs na południe. Płynęliśmy do Kapsztadu, stolicy Brytyjskiej Kolonii Przylądkowej. Na pokładzie znajdowało się pięciuset pasażerów i członków załogi, z czego trzysta pięćdziesiąt osób stanowiły siły wojska. Było to brytyjskie wsparcie dla afrykańskich sojuszników w ogarniętym zamieszkami regionie Basuto w południowej Afryce. Oprócz tego mieliśmy także dwadzieścia koni transportowanych dla oficerów piechoty służących pod rozkazami majora Bahannana Harpera.

Prawie od razu wpłynęliśmy w nieoczekiwany sztorm. Gwałtowny wicher o sile co najmniej pięćdziesięciu węzłów wiał bez ustanku przez cztery dni, lecz na całe szczęście wysokie fale, które napotykaaliśmy, mogłyby zagrozić każdej innej jednostce, za wyjątkiem mojej. Statek ani razu nie obrócił się bokiem do fali, co nawet dla „Kirke” mogłoby stanowić zagrożenie. Praca była ciężka i niebezpieczna. Ludźmi rzucało po całym pokładzie. Dziobem przecinaliśmy najgorsze fale i pruliśmy do przodu. Załogi nie opuszczała optymizm. Z kolei wszyscy bez wyjątku cywile ukryli się pod pokładem i jęczeli w swoich hamakach. Niektórzy modlili się do Boga, pewni, że mkniemy na spotkanie własnego losu. Dwóch wyło tak głośno, że musieliśmy ich związać i odseparować, aby nie zrobili krzywdy sobie albo innym. Kołysanie statku przyprawiało prawie każdego o mdłości. Sam miałem dość. Nawet doświadczony wilki cierpią czasem na chorobę morską. Ludzie naokoło wymiotowali, jakby było to zaraźliwe.

Przebywając z kilkoma oficerami na głównym pokładzie widziałem, jak olbrzymia płetwa sterowa podnosi się ponad spienione fale, żeby po chwili ponownie w nich utonąć. Lecz moje oczy spostrzegały coś jeszcze w kipieli.

Były to wieloryby. Ich olbrzymie cielska wynurzały się zaraz przy łodzi, jakby zamierzały machnięciem ogona zmieść nas do wody. Na szczęście nic takiego nie miało miejsca i jakimś cudem uniknęliśmy kolizji.

Sztorm zepchnął nas za bardzo na południe, co odczuliśmy poprzez nagłą zmianę temperatury. Jeszcze kilka takich dni, a dotarlibyśmy w rejon antarktyczny. W każdym razie, zesliśmy z kursu. Wiele z posiadanych zapasów uległo zepsuciu. Nasza sytuacja pogarszała się z każdą przebytą milą morską.

Po czterech dniach umknęliśmy poza zasięg strefy najgorszej pogody, jednak z powodu opłakanego stanu fizycznego załogi „Kirke”, zostaliśmy zmuszeni do niezaplanowanego przybicia do brzegu. Nie chciałbym być źle zrozumiany. Wiedziałem, że dowodzę grupą twardych i doświadczonych żeglarzy, jednak docierało do mnie także coś innego. Moi ludzie znajdowali się już u kresu sił. Część cierpiała od chorób, inni odnieśli rany w wyniku działania sił natury. Podjąłem zatem ważką decyzję. Po dwóch kolejnych dniach żeglugi dobiliśmy do portu Dunedin, na Wyspie Południowej.

W porcie pojawił się Anglik. Major Bahannan Harper, głównodowodzący 42. regimentem szkockiej piechoty, która przebywała na pokładzie „Kirke”, pierwszy zawiadomił mnie o tym, że pewien Brytol awanturuje się i grozi nam wszystkim, że jeśli nie wpuścimy go na pokład, gorzko pożałujemy. To należy mu oddać, nieznamy cywil musiał być niezwykle przekonujący, a może po prostu dostatecznie szalony, bowiem gdy Harper pojawił się w mojej kajucie, był blady jak ściana. Takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało.

Oto jak dowiedziałem się o awanturniku:

Najpierw usłyszałem pukanie. Nie czekając na zaproszenie, gość wszedł do środka.

– Majorze? – zapytałem, odrywając się od map nawigacyjnych. Stał przede mną krępy, wąsaty mężczyzna. Spozregłem uginające się pod nim nogi i uważnie się mu przyjrzałem.

– W porcie jest pewien Anglik. Pyta o ciebie.

– Nie znam nikogo w Dunedin.

– Oczywiście, że nie. Ale ten człowiek chce wejść na pokład.

– No i co z tego? To nie jest zwykły statek pasażerski. Wszyscy cywile na pokładzie posiadają na tę okazję listy polecające. Każdy z nich jest mi znany, przynajmniej z nazwiska.

– Mówiłem mu to. Twierdzi, że ma kontakty w admiralicji. Nie przebierał przy tym w słowach, kapitanie.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że ci groził?

Odpowiedziało mi zdawkowe kiwnięcie.

– Coś jest z nim nie tak, Francis – burknął, mnąc między palcami swoje gęste, rude wąsy. Zdradzał obawy zakłopotania.

– Z kim?

– Z nim.

Wymieniliśmy spojrzenia. Muszę przyznać, że polubiłem Harpera, pomimo jego trudnego charakteru i krzykliwego zachowania. Byliśmy do siebie podobni, także fizycznie, i dzielaliśmy niektóre poglądy. No, z tym pierwszym może trochę przesadziłem. Miałem znacznie mniej włosów na głowie i mniej zdrową cerę (efekt częstej zmiany klimatu), przez które to cechy cieszyłem się raczej umiarkowanym powodzeniem u kobiet, mając przy okazji opinię ponuraka i służbisty. Harper zawsze musiał być w centrum uwagi, a w towarzystwie kobiet puszył się jak paw.

– Co masz na myśli, drogi majorze? – westchnąłem.

– Cóż – chrząknął w zwiniętą pięść. – To dość dziwne. Na początku był miły. To znaczy, zachowywał się normalnie. Kiedy jednak powiedziałem mu to samo, co ty mnie, wpadł w złość i zaczął mnie szantażować.

– Szantażować?

– Dosłownie. To dziwny typ. Niesympatyczny. W ogóle nie budzi mojego zaufania. Sam zresztą go zobacz i oceń. Ale moim zdaniem nie możemy go wpuścić.

– Zgoda. – Kiwnąłem głową. – Gdzie on jest?

– Pokażę ci. Czeka w porcie.

* * *

Na nabrzeżu czekał wysoki, ubrany w czarny garnitur mężczyzna. Był w towarzystwie dwójki czarnoskórych, którzy jednak nie zwrócili uwagi, gdy się pojawiliśmy, jako że cały czas byli zajęci wypakowywaniem bagażu ze zwykłego, czterokołowego wozu, z rodzaju tych, jakie widuje się na farmach. Nie wyglądali mi na służących. Ich ubiór zdradzał objawy zaniedbania i był niekompletny, maniery zaś wydawały się żadne. Zwróciłem uwagę na osobliwy i dość ostry zapach, który wisiał w powietrzu. Okropny, kojarzący mi się z zapachem mocnego alkoholu fetor, wyczuwalny mimo bryzy. Major towarzyszył mi, trzymając się nieco z tyłu.

– Co pan sobie wyobraża? – zapytałem Anglika, schodząc po trapie na nabrzeże. Przyłożyłem do ust chusteczkę. Zmierzyłem wzrokiem ubranego jak na pogrzeb nieznanego mężczyznę. Był sam, bez jakiegokolwiek służby, co wzbudziło moje zdziwienie do tego stopnia, że musiało się uwidocznic na twarzy. Jego bagaż stanowiła zwykła drewniana skrzynia wielkości trumny. Dwójka ponurych Maorysów posłusznie wyładowywała pudło z wozu. Oprócz skrzyni miał z sobą jedynie ogromną walizkę oraz skórzaną torbę. Na lekko przetłuszczonych włosach mężczyzna nosił słomkowy kapelusz z szerokim rondem, a przez ramię przewiesił sobie parasol przeciwsłoneczny. Od razu wydał mi się zbyt wysoki i zdecydowanie kościsty oraz blady. Stał sztywno, jak na angielskiego dżentelmena przystało i uśmiechał się nerwowo samym

kącikiem ust, choć jego błękitne oczy w ogóle się nie śmiały. Były mętne, żeby nie powiedzieć smutne i nieobecne. Błądziły, błyszcząc niepokojącym blaskiem, który przywodził mi na myśl chorych na malarię.

Milczał, spoglądając na mnie tak, jakby nie wiedział, gdzie jest ani kogo ma przed sobą.

– Co to za niestosowne groźby pod moim adresem?! – ponowiłem pytanie, odkrywając twarz.

– Niech pan się uspokoi, kapitanie – rzekł ze wzniesioną dłonią, a ja uznałem, że oprócz całego tupetu, człowiek ten musi posiadać nerwy ze stali. – Nie szukam kłopotów. Marynarz, z którym rozmawiałem, potraktował mnie źle. Obcesowo, że się tak wyrażę. Czy wnoszę o jego ukaranie? Skądże znowu. Jego zachowanie było dość typowe dla ludzi tego typu i puszczam wszystko w niepamięć. Myślę, że kara chłosty niczego by tu nie zmieniła.

Sprawdziłem, czy Harper w dalszym ciągu stoi za mną. Nie zareagował na słowa mężczyzny, lecz jestem przekonany, że cały musiał się w środku gotować.

– O czym pan mówi? – Przywołałem na twarz surowy wyraz. Odwróciłem się przy okazji do majora. Szkot mierzył mężczyznę ponuro spode łba. Uwaga przybysza zabiła mnie nieco z tropu. Za dużo sobie pozwalał, nawet jak na cywila. – Jakim typem jest pana zdaniem major Harper, jeśli mogę wiedzieć?

Mężczyzna spojrział na szkockiego oficera.

– Wolalabym porozmawiać na osobności – zaproponował, nie odrywając oczu od majora.

– Harper – mruknąłem. – Zostaw nas.

– Ale ja... – wybąkał Szkot.

– Harper! – powtórzyłem ostrzej. Usłyszałem, jak jego buty stukają o siebie. Zwykle relacje między wojskowymi szarżami nie dotyczyły pokładu i Harper, będąc w gruncie rzeczy inteligentnym mężczyzną, dobrze o tym wiedział. Na „Kirke” byłem jedynym władcą i autorytetem, a ten, kto wchodził mi w drogę, sprowadzał kłopoty nie tylko na swoją głowę, ale na całą załogę.

– Będę na pokładzie – warknął, a po chwili rozległy się kroki.

– No więc? Co pan ma do majora Harpera? – zwróciłem się do Anglika.

– Nic konkretnego. – Pokręcił zdawkowo głową. – Jest dość przeciętny, jeśli mogę to tak ująć.

– Przeciętny?

Westchnął z irytacją.

– To mały człowieczek. W pełnym tego słowa znaczeniu. No, ale czego można oczekiwać po mężczyźnie w spódniczce, prawda?

Nachmurzyłem się.

– Po pierwsze, Harper jest oficerem piechoty, a nie marynarzem, a jego kilt to mundur, z którego noszenia może być dumny. Po drugie, nie podoba mi się pana ton. Nie osiągnął pan tego, co sobie zamierzył – zauważyłem. – Zaczął

więc pan ubliżać i grozić? I wreszcie po trzecie, nie jest pan i wydaje mi się, że nigdy nie był żołnierzem. Zatem proszę nie wypowiadać się w kwestii armii, bo nie ma pan o tym bladego pojęcia.

– Wie pan, kim jestem?

– Nie – odparłem spokojnie. – Ale uważam, że jest pan inteligentny. W każdym razie wie, co robi. Bo gdyby Harper tu został, nie wysłuchałby pana słów z podobnym spokojem co ja. Spuściłby panu staromodne szkockie lanie. I obaj mielibyśmy poważne problemy.

Z tymi słowami posłałem w jego kierunku promienny uśmiech, aby tym mocniej zbić mężczyznę z tropu.

– Twierdzi pan, że ja zacząłem komuś grozić? – Skrzywił się, w ogóle nie tracąc panowania nad sobą. – Jest pan w wielkim błędzie. Jedynie powiedziałem, że opiszę zachowanie tego typu, Harpera, w liście do Admiralicji. Moja rodzina przyjaźni się od lat z Maurice'em Berkeleyem.

– Proszę o wybaczenie, ale Berkeley jest chory i został niedawno zwolniony ze służby – prychnąłem. – No, i jak już wspominałem, major ma swoich własnych przełożonych. Ani Berkeley, ani ktokolwiek inny w marynarce nic tu nie pomoże.

Grałem na zwłokę. Po tych dwóch zdaniach mężczyzny uznałem, że jego groźby są zwykłym blefem. Aż dziwiłem się, że przestraszył nimi Harpera.

– Pan mnie nie rozumie, kapitanie – odparł spokojnie, wzdychając. – Czekam tu już za długo. Ja muszę się dostać do Cork. A wy jesteście moją jedyną nadzieją.

– Proszę pana... Niech pan mnie wysłucha. „Kirke”...

– Nie! To pan niech mnie słucha! – wykrzyknął gorączkowo, a jego oczy rozbłysły obłędem. – Zapłacę każde pieniądze! Rozumie pan? Każde!

– I od tego należało zacząć – mruknąłem na bezdechu, żałując, że nie mam z sobą swojej fajki. Poczulem osobliwy niesmak w ustach. – Źle pan zaczął. Widzi pan, jest pan moim rodakiem. A do tego, co zgaduję, angielskim arystokratą. Z przyjemnością panu pomogę, jednak dopiero pod warunkiem, że okaże się pan jakimś papierami, a następnie wszystko mi wyjaśni. Zacznijmy od pytania, co to za skrzynia. Dziwnie mi się kojarzy. Co w niej jest?

Uśmiechnął się.

– To skrzynia z ciałem kobiety.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Musiałem wyglądać na osłupiałego. Choć wyjaśniało to niezwykły fetor, zaszokowało mnie do tego stopnia, że stałem jak wryty. To było tak, jakby mężczyzna przyznał się właśnie, że sam zamordował tę kobietę, której trupa przewoził.

– Kim pan właściwie jest? – spytałem, by przerwać ciszę.

– Nazywam się Thomas Elthorn. Lecz nazwisko to ma pozostać między nami. Tak samo jak cel mojej podróży i zawartość skrzyni. Wyświadczy mi

kapitan wielką przysługę, jeśli i nasza obecna rozmowa stanowić będzie sekret.

– A jak długo zamierza pan to ukrywać? Ciało będzie się psuło.

– Skrzynia zawiera lód, a ciało zachowano przy użyciu kilku związków chemicznych, między innymi parafiną.

– Lód zapewne już zdołał się roztopić. Nie wezmę tego na pokład. To siedlisko chorób.

Zrobił się bładny jak ściana.

– To, co nazwał pan siedliskiem chorób – warknął po chwili pauzy – to ciało mojej siostry.

– Chce je pan przewieźć na moim statku? – spytałem, wskazując skrzynię.

– To, zdaje się, jest oczywiste.

Uśmiechnął się drwiąco w ten specjalny, jakby celowy i niezwykle irytujący sposób.

– Nikt nie ma wiedzieć, dokąd podróżuję ani co wiozę – rzekł rozkazującym tonem. – Mam na wszystko papiery, proszę więc tak na mnie nie patrzeć. Nie jestem żadnym przestępcą i mówię stuprocentową prawdę. Ciało zabierze pan do ładowni. Macie na pewno odpowiednie miejsce, gdzie się mocno nie zepsuje. Proszę wtajemniczyć maksymalnie dwóch ludzi w sekret ładunku. Wynagrodzę panu, jak i tym dwóm, wszelki trud. Powiedzmy, że opłacę podwójnie wasz żołd i dodam specjalną premię. Ale wymagam dyskrecji. Czy to jasne?

– Jasne? To akurat jest tak jasne jak słońce – burknąłem drwiącym głosem, co, jak sądzę, uszło uwagi Anglika. Tak, to prawda, od pierwszych chwil zniechęciłem tego typu. A teraz moja niewysłowiona awersja do pana Elthorna jeszcze wzrosła. Czułem bowiem, że cokolwiek go skłoniło do podobnej tajemniczości, powinienem się tego obawiać.

Ruszył w moją stronę, wyciągając swoją prawicę. Zmierzyłem wzrokiem jego dłoń.

– To nie jest okręt pasażerski.

– Myślałem, że to już mamy omówione.

– Nie. Po prostu myślał pan, że mnie przekupił – sprostowałem.

– Więc jednak nie zabierze mnie pan?

– Cały czas to jeszcze rozważam – odparłem zgodnie z prawdą. Nasze spojrzenia zderzyły się, a ja zrozumiałem, że wspominając wcześniej o konsekwencjach, Elthorn nie rzucał jednak słów na wiatr. A przynajmniej sam w to wierzył.

– Papiery, panie Elthorn. Najpierw chcę je zobaczyć. Niech pan raczy udowodnić swoje słowa, zanim ja raczę wpuścić pana i pana podejrzany ładunek na mój statek. Jeśli faktycznie może się pan okazać stosownymi dokumentami, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym spełnić pana prośby i swojej wcześniejszej obietnicy.

Uśmiech, którym mnie obdarzył, sprawił, że natychmiast pożałowałem pochopnej decyzji. Był irytujący. Jego sposób wysławiania się, lekko wyдутa dolna warga... Wydawał się nonszalancki i próżny zarazem. Przesiąknięty rodzajem snobizmu, który pamiętałem ze szkoły dla młodych kadetów, odznaczał się wysokim poczuciem własnej wartości.

Przyznaję, pod wpływem jego słów faktycznie zrodziła się we mnie obawa co do konsekwencji, które bym wywołał, zostawiając Elthorna samemu sobie. Nie miałem kontaktów, a wszystko osiągnąłem, opierając o własne zasługi i ciężką pracę, a nie urodzenie czy znajomości z establishmentem. Zaszedłem w ten sposób wysoko, lecz upadek z takich wyżyn mógłby być w dwójnasób bolesny.

Z drugiej strony, pomimo awersji, nadal widziałem w Angliku rodaka i choćby przez wzgląd na jego zmarłą siostrę nie mogłem postąpić inaczej, jak pomagając mu. To była kwestia oficerskiego honoru.

Uzupełniwszy zapasy drewna opałowego, słodkiej wody i żywności wypłynęliśmy z portu Dunedin dnia 12 stycznia.

Niestety, z powodu braku wolnych kajut, zostałem zmuszony do podzielenia się z tym odpychającym, pełnym wyższości mężczyzną swoimi pomieszczeniami. Od tej pory przez cały rejs dzieliliśmy łazienkę i jadalnię, mając na szczęście odrębne kajuty sypialne z prawdziwymi, przytwierdzonymi na stałe do podłoża, wygodnymi łóżkami.

W ciągu dwóch następnych dni, które spędziłem w towarzystwie milczącego, nieco irytującego arystokraty, zdołałem się na nim dość dobrze poznać. Był osobą z jednej strony łatwą do rozszyfrowania, z drugiej zaś trudną w odbiorze. Oschły, a przy tym impulsywny charakter, z pewnością nie zjednywał mu w żadnych kręgach zbyt wielu przyjaciół. Najgorsza cecha charakteru Elthorna polegała jednak na czymś innym. Niezachwiana wiara we własną, niepowtarzalną wartość była dość powszechna u arystokratów.

Na szczęście nie szukał mojego towarzystwa, a ponure chwile ciszy między nami przerodziły się w swoistą rutynę, do której łatwo i z obustronną ulgą przywykliśmy. Także wychodząc na pokład, Elthorn trzymał się na uboczu, przywodząc mi na myśl ducha.

14 kwietnia 1867 roku

Po minięciu wybrzeży Tasmanii znaleźliśmy się w Basenie Południowoaustralijskim. Pokład tonął przez kilka dni w słońcu. Okręt pruł wodę, a z jego wnętrza docierał jednostajny szum maszyn. Nadrobiliśmy czas utracony w trakcie sztormu. Zdarzało się, że w ciągu dnia pokonywaliśmy drogę około 200 do 270 mil morskich. Wywołany pasatem prąd południoworównikowy okazał się niezwykle pomyślny. To były spokojne dni, pełne zachwytu nad wspaniałą aurą. Pogoda nam sprzyjała, a przed nami rozpościerał się Ocean Indyjski, podobny niebu, pokryty grzebieniami fal, w

których migotały jasne snopy słońca. Nad okrętem często przelatywały albatrosy, petrele i faetony.

Sądziłem, że tajemniczy ładunek będzie obiektem plotek. W rzeczywistości prawie zapomniałem o jego obecności na pokładzie. Skrzynia została ukryta w specjalnej pancерnej szafie, umieszczonej niedaleko jednej z wodoszczelnych grodzi. Dostęp do tego miejsca miało zaledwie kilku marynarzy, a kluczem do szafy dysponowałem jedynie ja.

To mniej więcej w okolicy Tasmanii się zaczęło. Byłem wstrząśnięty, gdy usłyszałem, co rozpowiada marynarz Hope. Nigdy nie miałem o nim dobrego zdania. Birbant i awanturnik, cierpiał od kilku miesięcy na powikłania po tryprze. Żałowałem, że dowiedziałem się o tym tak późno. Nigdy nie wpuściłbym go z powrotem na pokład, gdybym znał prawdę, że jest przewlekłe chory.

Hope twierdził, że widział morskiego węża. Przytoczę jego „relację”. Było popołudnie, właściwie wieczór, bodajże 25 albo 26 marca. Hope stał samotnie na warcie, kiedy to ujrzał najpierw coś jakby iskrzące się, silne światło nieznanego pochodzenia. Wyglądało to jak nagły błysk słońca, co o tej porze było całkowicie niemożliwe. Potem dostrzegł w innym miejscu dziwny kształt, sunący w pobliżu łodzi. Przypominał węża morskiego ogromnej wielkości. Przez blisko dwadzieścia minut zwierzę płynęło obok statku na powierzchni i Hope miał okazję dokładnie się mu przyjrzeć. Nikogo w tym czasie nie zaalarmował, ponieważ, pozwolę sobie na dokładny cytat: „wrósł w pokład”. Hope twierdził, że stworzenie miało ogromną paszczę oraz szczękę wypełnioną wielkimi zębami. Stwór był koloru brązowego, z żółto-białym podgardlem, nie miał płetw, a głowę ozdobiła grzywa, która przypominała do złudzenia pęk wodorostów i ciągnęła się po wodzie w ślad za zwierzęciem. Wynurzona część ciała oceniał marynarz na co najmniej dwadzieścia kilka jardów długości.

Oczywiście, nie uwierzyłem mu. Prawie nikt mu nie uwierzył. W porozumieniu z oficerami, Clarkiem i Stone'm oraz majorem Harperem, postanowiłem odseparować marynarza od reszty załogi.

Dwóch innych oficerów było przeciwnych, uważając, że to obniży morale i wywoła niepotrzebny ferment. Podporucznik Bundy radził, aby odnieść się do relacji sierżanta jak do zwykłego przewidzenia. Uważał, że mógł to być węgorz albo rekin i najlepiej byłoby, gdyby Hope publicznie sam się do tego przyznał. To by wyeliminowało ewentualne plotki. Niestety, nie mogliśmy dojść z sierżantem do porozumienia w tej kwestii, a jego upór graniczył z obłędem. Miałem nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. Na niekorzyść relacji Hope'a przemawiała jego reputacja oraz, przynajmniej w moich oczach, fakt, że podczas przesłuchania jego oddech cały czas cuchnął tanim rumem.

Niestety, plotka zaczęła żyć własnym życiem. Historia wywarła przy tym zgubny wpływ na morale. Do końca tygodnia jeszcze dwóch innych marynarzy rzekomo widziało tajemniczy kształt wynurzający się z wody. Tym razem odległość była znacznie , i nawet sami przesłuchiwani świadkowie poddawali w wątpliwość, czy faktycznie widzieli coś nienaturalnego.

Doszło do moich uszu, że sir Elthorn bardzo zabiegał o rozmowę z obłąkanym marynarzem Hope'em, jednak, mając szczególnie na uwadze dobro cywilnej części personelu, surowo zabroniłem spotkania.

Kierując się rozsądkiem, postanowiłem nie zabierać głosu w sprawie tajemniczych obiektów. Nie zatrzymałem jednak kolejnej fali plotek. Raz po raz dochodziły do mnie doniesienia o jakimś osobliwym kształcie zaobserwowanym na wodzie. Aby je zdementować, sam podjąłem się dwóch wart. Wszystko, co zauważyłem, to wielkie zwały zielska unoszące na powierzchni. Wnosząc z ich wyglądu, musiały się oderwać od jakiegoś podłoża, na przykład dna. Moja obserwacja we wszystkich wzbudziła wiarę, że potwory morskie były złudzeniem. Sam doszedłem do wniosku, że znajdujemy się po prostu w pobliżu jakiejś skalistej wyspy, a zwały są oderwanymi od niej glonami albo porostami.

I wtedy przyszedł feralny ranek 14 kwietnia. Byliśmy na otwartych wodach, pogoda piękna, większość załogi spała. Ja już się obudziłem, spoglądając ze swojej kajuty na świt, co weszło mi ostatnio w zwyczaj. Słońce miało właśnie pojawić się nad horyzontem, barwiąc świat złotem i głęboką, rozrzedzoną przez róż i fiolet purpurą, którą ktoś, kto nie jest marynarzem, zna jedynie z płócien artystów... Był to zaiste wspaniały poranek. W życiu bym nie pomyślał, jaki koszmar przyjdzie nam wszystkim przeżyć.

Ale zacznijmy od początku. Przed świtem poprzedniego dnia dwóch kolejnych marynarzy zameldowało, że byli świadkami dziwnego widoku. Osobliwy, pokryty śluzem kształt wynurzył się rzekomo blisko okrętu, zbliżając do niego w zastraszającym tempie. Potwór miał zanurkować pod wodę przy samej burcie. Oczywiście ponownie zbagatelizowałem doniesienia i nakazałem trzymać obu głupców pod kluczem.

Tym razem nie zdążyłem powstrzymać Elthorna przed zadaniem paru pytań. Doszło do krótkiej rozmowy między Anglikiem a jednym z marynarzy. Po przesłuchaniu zachowanie arystokraty uległo zmianie. Mężczyzna sprawiał wrażenie spiętego, jakby czegoś wyczekiwał. Zapytany wprost, jedynie się wzdrygnął, twierdząc, że na nic nie czeka.

Kilka minut po świcie 14 kwietnia pojawił się w mojej kajucie major Harper. Był roztrzęsiony, bliski paniki, głos miał słaby i bardzo płytki oddech. Przez moment myślałem, że jest wypity. Jego niebieski bonnet tkwił zmięty w ręce, kiść piór opadała w nieładzie, a dublet pokrywały niechlujne plamy soli. Prawy rękaw wojskowej kurtki zwisał oderwany, jakby ktoś go siłą szarpnął. Podobny wygląd nie przystoi oficerowi Czarnej Straży, nic więc dziwnego, że

zmierzyłem taksująco stojącego przede mną mężczyznę, jakbym widział go pierwszy raz.

– Na Boga, pan jest pijany? – zasugerowałem, lecz pokręcił z przejęciem głową.

– Co panu jest? – Wpadł do środka Elthorn, którego nagła troska zbiła mnie całkiem z tropu.

– To przez ciebie, diable w ludzkiej skórze! – wykrzyknął gardłowym głosem Harper, a jego obłąkane, błękitne oczy padły na Elthorna. Wskazał sir Thomasa oskarżycielsko. – Wiedziałem to od początku! To się zaczęło, gdy ty się zjawiałeś! Słyszałem, o czym gadałeś z marynarzami! Że sam ich wypytywałeś o światła, choć nie miałeś prawa wiedzieć tego, co oni! Ty... Ty je widywałeś już wcześniej! Ty wszystko wiesz!

– O czym ty gadasz, Szkocie?! Jakie znowu światła?! – Wszedłem między dwóch mężczyzn, pewny, że ich sprzeczka może się przemienić w rękoczyn. – Majorze, weź się w garść! O czym ty, do diabła, mówisz?!

– Widziałem go, Francis – warknął major, a ja spostrzegłem strużki potu oblewające jego wysokie czoło i pobrużdżone śladami po ospie policzki. – Widziałem to coś. To znaczy, najpierw zobaczyłem światło. A raczej światła. Te same, o których ten typ rozpowiadał!

Zauważyłem, że sir Thomas wyraźnie się ożywił.

– Światła? – spytał. – Gdzie je pan widział?!

– A co to cię obchodzi, sukinsynu?! – warknął.

– Harper! – wykrzyknąłem. Dopiero wtedy major trochę się opamiętał.

– Na horyzoncie – mruknął złamanym głosem. – Najpierw jedno. Początkowo wziąłem te światła za jakieś łodzie, ale kutry rybackie nie zapuszczają się przecież tak daleko! A w dodatku za chwilę było ich jeszcze więcej.

– Więcej? – wtrąciłem się. – Czego?

– Światel!

– Mów do rzeczy, Harper!

– Mówię przecież! Widziałem to... To coś. Wynurzyło się z wody. Miało głowę jak krowa, tylko bez dodatków.

– Dodatków?

– No, uszu i rogów. Szyję miało długą na osiem jardów, kiedy podniosło się z wody. Na grzbiecie znajdowała się trójkątna płetwa. Czarna, wyraźnie cienka i wiotka. Całkiem inna niż Hope opowiadał. Mówię ci, kapitanie, to nic, co zna nauka.

– Nie widziałeś go dokładnie – oznajmiłem, nie ukrywając zaskoczenia. Kto jak kto, ale major odznaczał się na co dzień większym rozsądkiem. A tu? Plół same farmazony.

– On chce nas ściągnąć na dno, kapitanie. – Major odwzajemnił moje spojrzenie. Wzrok miał mętny. – Całkiem na dno.

– Kto? – prychnąłem, na co Harper zmierzył wzrokiem Elthorna.

Pokręciłem głową.

– Całkiem ci odbiło, Harper. I gdzie niby ten potwór teraz jest?

Spoglądał na mnie dobrą minutę, wahając się, co powiedzieć.

– Zniknął, Francis. Rozpłynął się w ciemnościach przedświt. Razem ze światłami.

– Razem ze światłami? – powtórzyłem z gorzkim uśmiechem, choć na widok twarzy sir Thomasa poczułem, jak ściska mnie w gardle.

I wtedy to się stało. Krzyk tak nieludzki, że zbudził chyba każdego na statku. Dźwięczał wibrująco i dobiegał z głównego pokładu. Był to kwik przerażonych koni, które stały tam zgromadzone w boksach. Runęliśmy w stronę, skąd dochodził odgłos, brzmiał on bowiem tak, jakby zwierzęta obdzierano ze skóry. Deski wydawały odgłosy głośnego dudnienia. Ludzie wyłaniali się zewsząd, zwabieni okropnym wołaniem, w samych piżamach albo szlafrokach, na wpół zaspani i roztrzęsieni. Konie ocierały się o siebie i wpadały na siebie bokami. Pokład raz po raz ożywał donośnym łomotem ich kopyt. Dwa były tak rozjuszone, że zaczęły z całej siły napierać na boks. Po chwili zauważyłem, że są ranne, ich boki były podrapane do krwi. Natychmiast rozkazałem odciągnąć je od reszty i zepchnąć zwierzęta do wody tak, aby inne wierzchowce nie wyczuły krwi i nie wpadły w jeszcze większą panikę. Wkoło dwóch koni natychmiast zakotłowały się rekiny, rozrywając boki kwiczących zwierząt swoimi zębiskami. Dopiero celne strzały oddane przez żołnierzy uciszyły biedne stworzenia.

– To znowu on! – wykrzyknął ochryplym głosem Harper, a jego błędzący wzrok padł na wodę.

– Harper! – ostrzegłem, ale tym razem mnie nie posłuchał.

– Nie rozumiesz nic, Francis! – Pokręcił głową. – To wszystko przez Elthorna. To przez niego ściga nas morski wąż.

– Brednie – podsumowałem, choć być może powinienem zabrzmieć w nieco bardziej przekonujący sposób. A wszystko dlatego, że po słowach Harpera nadal czułem się zbity z tropu.

Major miał łzy w oczach.

– Jestem pewny! Zwierzęta go czują, tak jak i ja go czuję! Jest zaraz pod wodą!

– Spokojnie, majorze – odparłem, w dalszym ciągu usiłując nadać głosowi zrównoważony ton. – Skupmy się na faktach. To stworzenie podpływa do nas o tej samej porze. Najczęściej rano lub wieczorem, sądząc z tych wszystkich relacji. Czy tak?

– Hope widział go po południu – mruknął dużo spokojniej Harper. Najwidoczniej moje słowa przyniosły zamierzony skutek. Podziały na szkockiego oficera niczym kubeł zimnej wody.

– Tam! – zawołał nawigator Bells, wskazując jakiś cień, który moim zdaniem mógł równie dobrze należeć do rekina. Dopiero po chwili zrozumiałem, że po żarłaczach nie został ślad.

Przez moment wypatrywaliśmy kształtu w wodzie. I wtedy go zobaczyłem. Przez dosłownie mgnienie ujrzałem to, w co po dziś dzień nie wierzę. Było kilkaset jardów przed nami i wedle moich rachub płynęło wprost na łódź. Początkowo szczerze sądziłem, że mamy do czynienia z wielorybem, ale coś, jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że to nie może być żadne znane biologii zwierzę. Kurs monstrum był łatwy do odgadnięcia, a tymczasem prawie wszyscy marynarze wpadli w panikę i na nikim już nie mogłem polegać. W dodatku na pokładzie znalazło się też kilku cywili, ze skandującym szaleńczo nieznanym mi słowem Thomasem Elthornem na czele, i wszyscy robili coraz większe zamieszanie. Zamiast więc się uspokoić i przedsięwziąć jakieś środki zaradcze, każdy krzyczał, jeden przez drugiego. Wrzasnąłem rozdierająco. Rozkazałem zdaje się ostrzelać potwora, czymkolwiek by nie był. Harper pierwszy wyrwał karabin z rąk trzęsącego się jak osika żołnierza i oddał strzał. Do niego dołączyli dwaj inni. Kule gwizdały w powietrzu. Zwierzę było cały czas lekko zanurzone, przez co nie wiedzieliśmy, z czym właściwie mamy do czynienia. Trzy kule karabinowe ześlizgnęły się po grzbiecie, dopiero czwarta i piąta ugrzęzły w masywnym, pokrytym zielonym szlamem ciełe, zmuszając stworzenie do odwrotu. I znowu, oba celne strzały oddał major. Kiedy stwór nurkował, znajdował się już tak blisko okrętu, że nieomal go wywrócił.

– Harper? – zawołałem, mierząc wzrokiem majora. Dostrzegłem, że nie odrywa kolby karabinu od policzka. Wreszcie drgnął, jakby ocknął się z letargu.

– To ty! To twoja wina! – Harper odrzucił karabin, po czym z wściekłością na twarzy runął w kierunku Elthorna. Connel, McGrown i Gamgee odciągnęli ich od siebie.

W ten oto sposób kolejny dobry żołnierz musiał zostać odprowadzony do aresztu. Powoli zaczynało mi brakować odpowiednich miejsc, aby wszystkich tych biedaków przetrzymywać. Elthorn zawzięcie milczał, choć byłem już nieomal pewny, że wie znacznie więcej na temat osobliwych wypadków, które miały miejsce. Nie, żebym podzielał paranoję Harpera.

– To był wieloryb – utrzymywałem uparcie, choć sam nie do końca wierzyłem we własne słowa. – Przestańcie opowiadać brednie.

– Ale kapitanie...

– Wieloryb, słyszycie?! – powtarzałem. Znowu poczułem dziką chęć rozpalenia fajki, choć ostatni raz zapaliłem ją zeszłej wiosny, w Simons Town, po wyjątkowo silnym sztormie, który kosztował mnie czterech ludzi. Moje dłonie drżały, zimne i spocone, podobne do dwóch oślizgłych ryb.

16 kwietnia 1867 roku

Kolejne dwa dni okazały się niezwykle spokojne. Zupełnie jakby nic w ten poranek 14 kwietnia się nie wydarzyło. Nikt przez te dwa dni nie zauważył żadnych tajemniczych świateł. Major Harper również doszedł do siebie, choć nadal uparcie utrzymywał, że doskonale wie, czego był świadkiem. Także pozostali marynarze, poza sierżantem Hope, którego stan jedynie się pogorszył, zostali wypuszczeni z aresztu. Co do Hope'a, pokładowy doktor, sierżant Malone, nie rokował dobrze, a stan psychiczny biedaka odpowiadał choremu wyglądowi skóry, pokrytej przez owrzodzenie charakterystyczne dla stadium silnego trypra .

Około pory lunchu 16 kwietnia coś uderzyło w prawą burtę blisko rufy, z siłą pędzącego pociągu. Wstrząs powalił większość stojących na pokładzie mężczyzn. Rozległy się krzyki. Rzuciłem się do drabinki prowadzącej na jeden z masztów tak, aby zobaczyć, co w nas walnęło. Ponownie poderwało pokładem, a ja straciłem równowagę i zsunąłem się. Do krwi zdarłem skórę prawej dłoni, ale utrzymałem się na drabince. Podciągnąłem się. Bezustanne i dość gwałtowne kołysanie, jak i moje rosnące przerażenie sprawiły, że cały lunch cofnął mi się do ust. Lecz nie przestałem się wspinać, kiedy nagle poczułem bryzgającą dookoła słoną wodę. Wykrzyknąłem coś, co jedynie sam potrafiłem zrozumieć, a potem omiotłem szybko wzrokiem pokład. To, co zobaczyłem, majaczące poza ostrą linią rufy, sprawiło, że prawie zawisłem jedną ręką z masztu.

Ogromny ogon kaszalota wznosił się ponad pokładem, grożąc trzem stojącym tam, przerażonym marynarzom. Zwierzę było oszalałe od ran i całe skąpane we własnej krwi. Dostrzegłem wloty dwóch kul, blisko siebie, wyglądające jak para pozbawionych ślepi oczodołów, pokrytych przez ohydną, czerwoną pianę. Stworzenie uderzyło ogonem, lecz na szczęście minęło pokład, wzbijając tylko w górę potężną masę wody, która przewróciła wszystkich trzech mężczyzn. Potem wieloryb zanurkował, zostawiając czerwony, pieniaący się ślad.

10 maja 1867 roku

Pogoda znowu się popsuła. Był to najlepszy znak, że zbliżamy się do Przylądka Sztormów, jak określa się morze wokół Kapsztadu. Mimo wiejącego bezustannie wiatru, siąpiącego deszczu i wysokich fal, cały czas parliśmy naprzód. Desperacka walka moich ludzi z pogodą trwała blisko tydzień. Pewnego dnia, zanim słońce znalazło się wysoko, od zachodu nadciągnęły gęste, skłębione chmury, przykrywając niebo w taki sposób, że wszystkim nam się zdawało, iż nadciąga noc. Powietrze było naelektryzowane, wiał złowróżbny, ciepły wiatr, zwiastujący nadchodzącą nawałnicę. Rozkazałem umocnić cały ładunek dodatkowymi linami i trwać ludziom na posterunku.

Około pół godziny później na horyzoncie pojawiło się znacznie większe zagrożenie niż zwyczajny sztorm.

7 maja, około godziny jedenastej, majtek Briggs zauważył dwie mini trąby wodne, zbliżające się do „Kirke”. Przerazający widok. Wiatr wsysał wierzchy fal w tubę wirującej wściekle piany. Najgorsze okazało się to, że nasz kurs wiódł prosto między te dwa maleństwa. Jedynie trzeźwości nawigatora Johna Bellsa i mojej własnej przedsiębiorczości zawdzięczaliśmy, że udało się nam jakimś cudem wylawirować pomiędzy trąbami.

Tego samego wieczoru wraz z majorem Harperem odbyliśmy poważną rozmowę z sir Thomasem, przy butelce szkockiej. Pod naciskami moimi i majora, sir Elthorn otworzył się w końcu, przytaczając najbardziej osobliwą historię, jaką przyszło mi kiedykolwiek usłyszeć. Była dziwna, ale to, co mówił mój rodak, nie wydawało mi się pozbawione sensu. W skrócie, jego siostra, Clarissa, mieszkała od jakiegoś czasu w domu niedaleko Ashburton. Tam poznała pewnego mężczyznę o dość egzotycznym pochodzeniu, niejakiego Karima Husleya. Husley uwiódł młodą kobietę i rzucił ją na pastwę maoryskich dzikusów, co doprowadziło do jej obłądzenia, a następnie śmierci. Po tym wszystkim Husley ulotnił się. Sir Thomas wiedział, gdzie go szukać, lecz do niedawna jeszcze nie był do końca pewny, czy zamierza ten pościg wszczynać.

– I chce pan powiedzieć, że ona leży od tej pory w trumnie, w naszej ładowni?! – parsknął Harper. Elthorn kiwnął głową.

– Tyle czasu?! – nie ustępował Szkot.

Ponownie skinął.

– To niedorzeczne! Ciało zaczęłoby wydzielać zapach...

– Nie wierzy mi pan?! – odparł z agresją, która i mnie wydała się zaskakująca.

– Spokojnie – mruknąłem, choć przyznaję, że poczułem zwątpienie w prawdomówność mojego pasażera. Na miejscu Elthorna pochowałbym siostrę w Nowej Zelandii. No i zapach faktycznie powinien być bardziej przykry. Czyżby skrzynia nie zawierała żadnego ciała? Tylko po co Elthorn miałby kłamać?

– Zdaję sobie sprawę z tego, jak to może wyglądać i jak brzmi... – rzekł nagle sir Thomas, zmieniając ton na dużo spokojniejszy. Było to jeszcze bardziej przerażające i osobliwe niż jego wcześniejszy wybuch złości. – Lecz to, co się dzieje, to nie przypadek.

– Jak to? – Harper nachmurzył się.

Anglik pokręcił głową.

– Trudno mi to wyjaśnić.

– Niech pan spróbuje – zaproponowałem, lecz sir Thomas ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie, pokręcił głową.

– Straciłem zbyt dużo czasu. Zbyt długo namyślałem się, co dalej. I choć miałem zamiar pochować moją siostrę w rodzinnym grobie, to musi niestety poczekać.

– Jak to, „poczekać”? Co pan zamierza, sir? – chrząknął niechętnie major. Wyczytywałem z jego miny, że nie do końca ufa naszemu pasażerowi.

– Wsiądę w Kapsztadzie.

– Po co?

– Drań, którego ścigam, płynął z Nowej Zelandii do Kapsztadu. Nie wiem, dlaczego wybrał taką drogę. Ani jak zamierza dotrzeć na północ Afryki, gdzie z całą pewnością zmierza. Ale może ktoś go w Kapsztadzie rozpozna. Liczę na to, ponieważ sam nie widziałem tego łajdaka na oczy.

Z tymi słowami wręczył mi dwie koperty, białą, normalnego formatu i znacznie obszerniejszą, szarą.

– Przygotowałem wszystko wczoraj.

– Co to? – Zmierzyłem wzrokiem koperty, bojąc się wziąć którąś do ręki.

– Szara koperta zawiera listy przewozowe i inne potrzebne dokumenty, druga to list do pana Hamforda Neilla, mojego adwokata. Pomoże panu załatwić wszystkie formalności i wypłaci wynagrodzenie.

– Zaraz, co pan mówi? – Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. – Bierze mnie pan za jakiegoś najemnika?

Skrzywił się.

– Raczej za gentlemana – odparł. – To sprawa życia i śmierci. Neill ma swoją kancelarię pod adresem podanym na kopercie. Co zaś się tyczy wynagrodzenia, sporządziłem weksel opiewający na sumę sześciuset pięćdziesięciu funtów. To pana dwukrotne roczne pobory plus premia.

Zmierzyłem mężczyznę wzrokiem.

– Co pan zamierza? – wydusiłem z siebie.

– Poszukać Birkasz. To tam ten bydlak zmierza.

– Przecież Birkasz jest po drugiej stronie kontynentu! Jak...

– Znajdę statek – przyznał. – Poradzę sobie. Niech się pan kapitan nie martwi. Zresztą, to w gruncie rzeczy wyłącznie osobista sprawa.

– Osobista sprawa?

– Tak, osobista.

– Więc chce pan powiedzieć...

– Tak. Podjąłem w końcu decyzję. Zamierzam ścigać człowieka, który przywiódł do ruiny i śmierci moją siostrę – wyznał dziwnie ściśniętym, jakby nieswoim głosem. Było w nim dużo dumy i pogardy dla niebezpieczeństw. Te słowa uczyniły go w naszych oczach prawdziwym człowiekiem honoru. A zarazem skończonym głupcem.

– To co? Spełni pan moją prośbę i umożliwi pościg? – zapytał, a w jego oczach i głosie dostrzegłem błysk nadziei. Kiwnąłem jedynie głową, dość niechętnie i niepewnie. Lecz on przyjął to za dobrą monetę.

– Ma pan jakieś inne poszlaki oprócz nazwy miejscowości? To trochę mało – zauważył Harper.

– Najpierw spróbuję w Kapsztadzie. Mam nadzieję na jakiś trop i odrobinę szczęścia. A jeśli to zawiedzie, to cóż... – oznajmił głosem, który wydał mi się odrobinę zbyt senny. – Pojadę do Birkasz.

– Jest pan pewny decyzji? – spytałem, na co skinął głową.

– Jeśli mogę przeciąć mu drogę jeszcze w Kapsztadzie, chcę wykorzystać tę szansę.

– Marnie to widzę – wtrącił Bahannan Harper.

Przez moment Anglik wpatrywał się w Harpera swoim nieobecny, rozmarzonym wzrokiem, tak, jakby alkohol zbyt mocno uderzył mu do głowy.

– A to dlaczego? – spytał w końcu z suchym uśmiechem.

– Wyłożę to panu najprościej i najdelikatniej, jak będę umiał – mruknął Szkot. – Ten Hurley czy Husley, musi być prawdziwym potworem w ludzkiej skórze. Jest bezlitosnym i bezwzględny mordercą. A pan? Miał już pan z kimś takim do czynienia?

Elthorn naiwnie wzruszył ramionami, a ja doszedłem do przeświadczenia, że mimo szlachetnych pobudek jego wyprawa w ogóle nie została przemyślana.

Harper pokręcił głową.

– Niech pan mnie posłucha, panie Elthorn. Ja wiem, o czym mówię. Będzie pan miał do czynienia z bestią w ludzkiej skórze. Kimkolwiek jest ten Husley, moim zdaniem narkotyzował dziewczynę i wywołał wszystkie te wizje, o których pan opowiadał, jednocześnie usiłując się do niej zbliżyć, udając przyjaciela. Jaka oślizgła żmija jest zdolna do czegoś takiego?!

– No i? – spytał Elhorn, a niechęć w jego głosie jeszcze się pogłębiła. – Do czego pan zmierza?

– Nie powinien go pan ścigać sam. Niech pan to lepiej zostawi ludziom wyszkolonym do takich zadań.

– To znaczy?

– Wojsku.

Śmiech, który wypełnił kajutę, był ostry i tak nieprzyjemny, że ciarki przeszły mi po plecach.

Zdażyłem już raz zmienić zdanie na temat odrobinę wyniosłego, lecz nie pozbawionego honoru i poczucia obowiązku człowieka, którym stał się w moich oczach Thomas Elthorn. Niestety, jego obłąkańczy śmiech sprawił, że natychmiast poczułem ochotę, aby znaleźć się w innym pomieszczeniu.

– Wy nic nie rozumiecie – rzekł w końcu. – Armia nigdy go nie znajdzie. Nie jego.

– Skąd ta pewność? – zaperzył się Harper. Skrzyżował ramiona i spojrzał na sir Thomasa z rosnącą dezaprobatą. Elthorn pokręcił zdecydowanie głową.

– Pan mnie źle zrozumiał. Nie zamierzałem nikogo obrażać. Po prostu uważam, że macie ważniejsze sprawy na głowie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie szukałby po całym świecie jednego człowieka.

Stary Szkot wydawał się udobruchany. Lecz tylko przez chwilę.

– Chcę zobaczyć ciało – rzekł. – Inaczej nie uwierzę.

– To wykluczone. – Raz jeszcze, w sposób zupełnie nieoczekiwany, sir Thomas zmienił ton. Był teraz pełen rezerwy.

– Dlaczego?

– Nie wie pan? To moja siostra. Jej stan...

– Rozumiem – Harper zmierzył mnie znacząco wzrokiem.

– Powinien pan podróżować ze służbą – zasugerowałem. – Major ma rację. Kto pana obroni, jeśli faktycznie odnajdzie pan tego mężczyznę i on okaże się niebezpieczny?

Wywołałem w ten sposób jedynie kolejne skrzywienie ust mojego gościa.

– Nie lubię służących i nigdy nie miałem takiego służącego, któremu mógłbym zawierzyć życie – odparł z przekąsem. – Myślę, że wtedy jedynie bardziej bym się o siebie martwił. Wie pan, jakiego pokroju ludzie najmują się do takiej pracy, prawda, kapitanie? Ich chciwość nie zna granic.

– Muszę się z panem nie zgodzić, Elthorn – chrząknął znacząco Harper. – Jest wśród nich wielu Irlandczyków i Szkotów, a to ludzie, na których można polegać.

– Służąca mojej siostry, panna Melisa Riodan, którą pozostawiłem, aby opiekowała się Clarissą, nie okazała się osobą godną zaufania. Gdy Clara była w potrzebie, ta kobieta ją zawiodła, znikając bez słowa. W wojsku to się chyba nazywa opuszczeniem posterunku. Irlandzkie korzenie to nie wszystko, panie Harper

– Zostawmy spory, panowie – powstrzymałem rozmówców wyciągnięciem ręki.

– Nikt się już nie spiera. – Uśmiechnął się pobłaźliwie major. – Elthorn, przyznaję, że od początku nie darzyłem pana sympatią. To chyba zrozumiałe. Ale jest pan Brytyjczykiem jak i ja. Afryka zaś to koniec świata dla każdego cywilizowanego człowieka. Moją powinnością, jak każdego na moim miejscu, jest panu pomóc. Dlatego proszę przyjąć z moich rąk ten prezent, sir Elthorn.

Po czym wy dobył z kabury niewielki rewolwer kapiszonowy z czterema lufami.

– Proszę się nie martwić, mam jeszcze drugi w kajucie – dodał. – Ten to niezłe cacko. Nazywają takie „pieprzniczka”. Ładuje się ją z przodu lufy. Pod tym względem jest trochę przestarzała. Z przyjemnością wręcę panu jeszcze opakowanie kul. Pana misja jest niebezpieczna, a Kapsztad to wielkie i w dalszym ciągu dzikie miasto.

Roześmiali się na te słowa obaj i to w taki sposób, jakby byli długoletnimi przyjaciółmi.

Elthorn ostrożnie wziął broń do ręki. Zachowywał się tak, jakby zaraz miała wypalić.

– Dziękuję – odparł, wzdrygając się. – Nie bardzo jednak wiem, co miałbym z tym zrobić. Proszę się też o mnie nie martwić. Prowadziłem interesy w koloniach. Znam nieco Afrykę...

– Nie taką Afrykę pan zna, proszę mi wierzyć.

Elthorn mimo to oddał broń, kręcąc głową.

– Naprawdę nie.

Harper odepchnął ręce sir Elthorna.

– Na miłość boską, co pan myśli? To nie jest pomoc, którą może pan odrzucić. Afryka to dziwny i dziki kraj. Proszę, niech pan to zrobi dla mnie, sir. Proszę spojrzeć. Wystarczy przycelować i mieć nadzieję, że lufa skierowana jest w inną stronę, niż pan stoi. Niech pan to weźmie. Będzie się pan czuł bezpiecznie. Niech mi pan uwierzy, że nie robię tego dla niego. Trzy lata temu moją narzeczoną porwali i przetrzymywali przez miesiąc Zulusi. Bardzo to przeżyła, tak samo jak ja.

Byłem zaskoczony, że Harper wspomina tę historię. Choć przywoływał ją dość często podczas rozmaitych towarzyskich okazji, strasząc opowieścią głównie płec przeciwną, w tym wypadku miał zdaje się inny powód.

– Odbiliście ją? – mruknął Anglik.

Harper kiwnął głową.

– I cztery inne kobiety. – Major zmiął wąż między palcami. – Ale Eliza zmieniła się po tym wszystkim. Musiałem zerwać zaręczyny, a ona wróciła na zawsze do Londynu.

Sir Thomas po chwili namysłu skinął głową.

– Przykro mi – przyznał. Błysk w oku Bahannana umknął uwadze naiwnego arystokraty.

* * *

Dziesiątego maja dostrześliśmy na horyzoncie wyniosłą sylwetkę Góry Stołowej nad Kapsztadem. Granatowa toń morza wcinająca się w połąć rozległych dolin i góry spowite purpurowymi mgłami to obraz, jakiego nie sposób zaznać gdzie indziej w świecie. Zimny prąd Benguelski mieszał się z prądem ciepłym, Mozambickim, przez co woda wydawała się zlepkiem dwóch błękitów, jaśniejszego i ciemnego. Eskortowani przez armadę małych żaglówek dobiliśmy do portu, szczęśliwi, po tylu niebezpiecznych przygodach. Tutaj rozstaliśmy się z ekscentrycznym Anglikiem, życząc mu powodzenia w jego dalszych poszukiwaniach.

Muszę tu z pewnym zażenowaniem przyznać, że obaj wraz z Harperem odczuwaliśmy coś na kształt ulgi, gdy zegnaliśmy Thomasa Elthorna. Stary major zostawił mu swoją broń, a także dołączył drugą butelkę szkockiej, dając

do zrozumienia, że na pustyni noce wcale nie są tak ciepłe, jakby się zdawało, a i dni o tej porze roku mogą zaskoczyć niską temperaturą.

Nasze wątpliwości co do Anglika wkrótce miały się jedynie pogłębić, otworzyliśmy bowiem trumnę. Skrzynia zawierała, zgodnie z tym, co powiedział ekscentryczny pasażer, trupa młodej, niezwykle urodziwej kobiety. Dziewczyna sprawiała wrażenie śpiącej, a nie martwej. Po oględzinach zrozumieliśmy dodatkowo, że ciało wykazuje stężenie pośmiertne, właściwe dla zwłok osoby zmarłej nie dalej jak trzy, może cztery godziny wcześniej. A to, biorąc pod uwagę okoliczności, było rzeczą niemożliwą.

Nie była to prosta decyzja, lecz podjąłem ją wspólnie z majorem. W noc po wypłynięciu, w tajemnicy przed resztą załogi, postanowiliśmy wyrzucić ciało do morza. Wiatr świszczał niepokojąco, a mnie się wydawało, że dochodzi moich uszu rozlegający się gdzieś w dali złowróżbny chichot, który przywodził mi na myśl odgłosy hien. Z kolei Harper zwrócił moją uwagę na coś, co w ciemności wyglądało jak blada, trójkątna twarz z zapadniętymi oczami, co jednak po chwili obserwacji okazało się zwojem niedbale rzuconej liny. W myślach obiecałem sobie zrugać kogo trzeba za bałagan, który nieomal wywołał u mnie zawał serca.

Wszystko było bardziej proste, niż sądziliśmy. Woda natychmiast przyjęła diabelską rzecz, a nam przez moment wydawało się, że możemy spać spokojnie.

Tej samej nocy miałem koszmar. Znowu usiłowaliśmy pozbyć się ciała. Noc była mroczna, znacznie ciemniejsza, niż to było w rzeczywistości. Wiał chłodny, niepokojący wiatr, a niebo i gwiazdy przykryły gęste chmury, utrudniając widoczność. Na szczęście mieliśmy z sobą latarnię.

– Słyszałeś? – drgnął Harper, a ja poczułem, jak ciągnie ku sobie skrzynię.

– Daj spokój – wyszeptałem. – To nie czas ani miejsce. Lepiej przyłóż się do koordynacji naszych ruchów. Ta ślicznotka jest zaskakująco ciężka.

W uszach rozległ się cichy, złowróżbny śmiech, a tuż po nim smętne zawodzenie, którego nie potrafiłem z niczym porównać ani w żaden sposób określić jego natury, czy umiejscowić.

– Ona jesssst moja... – mruknął niesamowity, melodyjny głos. Spojrzałem w stronę, skąd dochodził, lecz ujrzałem jedynie burtę i zwoje liny. W ciemności rozbrzmiewało także dudnienie końskich kopyt. Zwierzęta były niespokojne, jak przed sztormem, choć morze wydawało się ciche.

Uważnie prześledziłem wszystko z latarnią w rękę. I wtedy ją ujrzałem. Ciemność pochłaniała sylwetkę i jedynie głowę, czy raczej twarz widziałem. Oblicze było trupio blade, trójkątne jak u wilka, nozdrza w osobliwy sposób cofnięte i zadarte do góry, że nieomal odsłaniały chrząstkę, a oczy zapadnięte tak głęboko, że nie sposób było ujrzeć białek. Na ustach dostrzegałem ślady bardzo czerwonego barwnika, a może nawet krwi. Moja obserwacja trwała

do momentu, gdy z ust majora podniósł się paniczny krzyk, który chwilę potem przerodził się w jęk, gdy ta istota, trudno bowiem nazwać ją człowiekiem, odsłoniła mięsiste, pokryte posoką dziąsła, i wyszczerzyła ostre jak u psa kły.

– Połózzzzzzcie cccciało na zzzzzziemiii...

Spełniłiśmy polecenie, wyczekując, co dalej.

3. NINA

Z pamiętnika Thomasa Elthorna III
Kapsztad, 12 maja 1867 roku

Po wpłynięciu do Kapsztadu znowu zostałem pozostawiony sam sobie. Nie żebym narzekał. Elthornowie zawsze byli samotnikami. Ojciec, gdy jeszcze żył, nigdy nie utrzymywał licznej służby, ja sam nie posiadałem guwenera, bynajmniej nie z powodu skąpstwa rodziców, lecz z ich wewnętrznego przekonania, że obecność osoby spoza rodziny i pozostawienie jej zajęcia tak ważnego jak edukacja młodzieży, jest w rzeczy samej targnięciem się na naszą prywatność. Stąd moja nauka spoczywała w całości na barkach matki, kobiety o nieprzeciętnej urodzie i uzdolnieniach. Także służba domowa była ograniczona do absolutnego minimum, a w razie specjalnych okazji, jak święta czy inne uroczystości, rodzice po prostu wypożyczali osobę z agencji.

Trochę inaczej rzecz miała się z Clarą, lecz to akurat wywołane było głównie przez chorobę matki i jej niemoc w zapewnieniu mojej siostrze potrzebnej edukacji. Odbiegam jednak od głównego tematu. Rzecz w tym, że nigdy nie nauczyłem się podróżowania ze służącym przy boku. Nie szukałem także towarzystwa nikogo na pokładzie „Kirke”. Pasażerowie wydawali mi się infantylni, jak każdy, kto szuka ryzyka i przeżyć poza rodzimą Anglią, upatrując w dobrze zorganizowanych wycieczkach czegoś ekscytującego.

Z kolei marynarze, nawet oficerowie, nie byli dla mnie równymi partnerami do konwersacji. Może dlatego, gdy opowiadałem kapitanowi historię Clarissy, ominąłem najbardziej ekstrawaganckie fakty. Było to dobre posunięcie, zważywszy fakt, że i tak spotkałem się z dużym sceptycyzmem i niedowierzaniem. Nie mam jednak za złe kapitanowi Jordanowi, jako że jego profesja wymaga przytomności umysłu i nie wolno mu poddawać się meandrom fantazji.

Swoją drogą to dziwne, sam do niedawna miałem się za osobę skrajnie praktyczną, wręcz pragmatyczną. A teraz? Gonię z jednego końca świata na drugi za widmem człowieka, którego nigdy nie widziałem na oczy. Cóż, Clara była wszystkim, co miałem, całą moją rodziną i tylko w ten sposób mogę uczcić jej pamięć. Postawiłem sobie za cel dopaść drania winnego jej śmierci, a następnie przyprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości.

W założeniu miałem zatrzymać się w mieście jedynie przelotnie, lecz znalezienie odpowiedniego statku, który podążałby w górę Zatoki Stołowej, nastreczyło mi tak dużego kłopotu, że mój pobyt nieoczekiwanie się przedłużył. O dziwo, szybko udało mi się zlokalizować „Królową Zambezi”, która nadal stała w porcie. Jej kapitan, Lars Boekken, dość niemrawy Holender, zaprosił mnie na łyk mocnego rumu i, słono opłacony, opowiedział

mi wszystko, co wiedział na temat Husleya. Karim wydał mu się antypatyczny praktycznie od pierwszego dnia żeglugi (zabrzmiało to cokolwiek dziwnie w ustach tego oschłego marynarza). W zasadzie zamienili z sobą może kilka uprzejmych zdań, to wszystko. Załoga również nie polubiła pasażera, a on sam trzymał się z daleka. Husley wysiadł w Kapsztadzie. Wypytywał kapitana Larsa o przewodnika w planowanej przez siebie wyprawie do Karru. Boekken nie był w stanie mu pomóc, więc Karim wysiadł i zaczął na własną rękę szukać pomocy. Gdy wrócił po upływie dwóch dni, był z nim przewodnik, podejrzanie wyglądający człowiek o bliżej nieokreślonym kolorze skóry. Husley wyjawiał Holendrowi, że znalazł go w dzielnicy portowej, po czym zabrał bagaże i wraz z przewodnikiem zniknęli. Według tego, co udało mi się ustalić, w mieście Husley spędził może kolejny tydzień, a potem słuch po nim całkiem zaginał.

Był to dość słaby trop, a jednak go podjąłem. Co jeszcze mogłem uczynić? Po pierwsze, sam potrzebowałem odpowiedniego przewodnika. Lecz w moim przypadku wybór był trudniejszy. Musiał to być wszakże ktoś, kto stosunkowo biegle rozmawia w jakimś europejskim języku.

Zacząłem się więc poważnie zastanawiać, czy może warto by było poprosić o pomoc jakiegoś urzędnika brytyjskiego. Major Harper twierdził, że tak właśnie powinienem uczynić. Lecz ja miałem obawy i w związku z tym odmienne zdanie w tym temacie. Tutejsze władze mogłyby mieć coś przeciwko mojej eskapadzie, zwłaszcza gdybym przedstawił sprawę od początku do końca. Kierując się więc rozsądkiem oraz potrzebą zachowania swojej wyprawy w tajemnicy, zamierzałem możliwie jak najdłużej utrzymywać pobyt w sekrecie. Ewentualność skorzystania z pomocy brytyjskich urzędników wiązała się z rozlicznymi formalnościami, których chciałem uniknąć. Władze, kierując się dobrem ogólnym, zadawałyby mnóstwo krępujących mnie i niewygodnych pytań. Ich ingerencja mogła doprowadzić całą podróż do fiaska. Znając metody, którymi posługują się władze na terenie kolonii brytyjskich, miałem wszelkie prawo snuć podobne przypuszczenia.

Musiałem się dowiedzieć czegoś o przewodniku Husleya. Wynająłem więc pokój w hotelu w samym środku Waterfront, niedaleko portu jachtowego i zacząłem poszukiwania od kilku miejscowych barów, bez efektu. Po odwiedzeniu czwartej z kolei speluny, postanowiłem spędzić popołudnie na odpoczynku. Standard hotelu nie należał niestety do najwyższych, lecz nie tego przecież szukałem. Z drugiej strony poczułem obawę o własne bezpieczeństwo, gdy zauważyłem osobliwe zachowanie czarnoskórego personelu. Śmiałość to za mało powiedziane. Podczas kolacji spostrzegłem, że miejsca dla klientów zajęła obsługa, która głośnymi i ordynarnymi okrzykami oraz śmiechem skupiała na sobie uwagę całej sali.

Krążyło tu także sporo czarnych prostytutek. Opuchnięte oczy kobiet wypełniał grzech, a ciężkie piersi poruszały się w rytm ich pełnych zwierzęcej gracji kroków, podobnie jak charakterystyczne, odstające pośladki. Wszystko to czyniło ubraną przeciw kobietę jakby na wpół rozebraną. Barwne spódnice i pióra zdobiące okazały biust przyciągały spojrzenie w nie mniejszym stopniu, co ociążały, pełen erotyzmu ruch szerokich bioder. Jedna z tych czarnoskórych dźwigała w zawijce śpiące niemowlę. Twarz dziecka była niezwykłą, senną kopią oblicza matki. Mięsiste wargi i opuchnięte oczy uzupełniały podłużny fizys, nadając mu ordynarny wygląd.

Nie miałem przed sobą kobiet, to były zwierzęta. Te kobiety, nie, poprawię się jeszcze raz, te potwory w kobiecej skórze, zachowywały się publicznie w nader lubieżny i pozbawiony wstydu sposób, z aroganckim uśmiechem śledząc każdego w zasięgu ich wzroku.

Podczas tego samego posiłku, wprost ze stołu, znikła moja srebrna zastawa i byłem zmuszony jeść dalej rękoma, jak jeden z tych nieokrzesanych czarnych. W rozmowie z właścicielem hotelu, kolejnym leciwym Holendrem, usłyszałem, że nie potrafi sobie poradzić z napływającą z północy ludnością murzyńską, ani tym bardziej z własnym personelem.

Prześcieradło w moim pokoju okazało się pomięte i zapewne nie zmieniono go od czasu poprzedniego gościa. Pierwsza noc była tak samo straszna jak kolacja. Nie tylko dzieliłem pokój z małą, krzykliwą małpką, która krzątała się w pobliżu balkonu, odpowiadając swoim skrzekiem na odgłosy wydawane przez spacerujące ulicą ibisy. Z racji panującej w kraju Przylądka zimy, wraz z nadejściem wieczoru temperatura gwałtownie spadła, z 58-60 do 38-32 stopni Fahrenheita. Wstałem, podchodząc w kierunku osłoniętego słomianym dachem balkonu. Stało tam przykryte baldachimem krzesło. Ulicami krążyły nie tylko ibisy, ale i znane mi już z hotelu hotentockie ladacznice, których skóra do tego stopnia przypominała heban, że upodabniała je do cieni obleczonych w kwiaty. Owe afrykańskie Wenus, Saatrije Baartman współczesnego świata, były dla mnie wielką zagadką. Czy naprawdę ich organy rozrodcze, owe „hotentockie fartuchy”, o których wspominał John Barrow, były tak nienaturalne i rozrośnięte? Nie miałem pewności. Podobno przerost warg sromowych był wywołany jakimiś barbarzyńskimi zabiegami upiększającymi, z których słynęły prymitywne afrykańskie plemiona. Nie spieszyło mi się sprawdzać, jako że nie miałem się nigdy za amatora taniej egzotyki.

Jedna z tych kobiet stanęła pod moim oknem i zaczęła mnie nawoływać, podkreślając każde słowo gestem wyrażającym pijacki wigor i hardy charakter. Na szczęście rozumiałem z jej okrzyków prawie tak niewiele, jak z głośnego „haa-haa-haa-de-dah”, wydawanego przez ibisy. Gardło ladacznicy wypełnił osobliwy i wulgarny język, tak jakby wykrzykiwała do mnie słowa pełne nienawiści i pogardy. Stanęła w świetle księżyca, chwiejąc się na boki.

Jej oblicze... Sądzę, że mogła mieć najwyżej czternaście lat, lecz w jej smutnych, sennych oczach nie dostrzegłem ani krztyny niewinności.

Nie policzę, ile razy tej nocy przekładałem głowę na poduszce. To jednym, to drugim uchem wychwytywałem nocne dźwięki miasta. Przez typowy uliczny zgiełk, złożony z pijackich lub po prostu wściekłych okrzyków w chyba ośmiu różnych językach, turkotu wozów, rżenia, trzasku bata oraz miarowego stukotu kopyt, docierała tajemnicza gra fletów, rozbrzmiewających w tak osobliwy sposób, jakby ktoś zamierzał mnie tymi dźwiękami zahipnotyzować. Nad samym ranem śniłem o Clarze. Nachylała się w moim kierunku, aż jej usta napotkały moje. Nasze języki poruszały się w ślad za sobą, a po chwili zdjęły mnie okropne torsje, gdy zamiast śliny posmakowałem metalicznej i gęstej jak olej krwi.

Rankiem głowa pulsowała mi przeraźliwym, tęnym bólem, na który nie pomogła ani mocna kawa, ani świeże powietrze.

Ignorując złe samopoczucie, późnym popołudniem wybrałem się na spacer. Zabłądziłem na jeden z bazarów, gdzie aromat korzeni mieszał się z zapachem perfum i kwiatów, a brzęk monet i wyrobów z mosiądzu rozbrzmiewał z osobliwą czystością. Rozmyślałem o życiu białych w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata.

Dałem się porwać urodzie okolicznych kamienic. Piękno klimatu, przypominającego do złudzenia aurę śródziemnomorską, uleczyło mnie z migreny. Zaułkami przemykali ludzie, psy i koty. Głowa w końcu przestawała boleć, zatem zadzierałem ją jak tylko mogłem najwyżej, by dojrzeć zakamarki ażurowych balustrad, balkoników wykutych w żelazie i koronkowych wykończeń. Zapędziłem się dość daleko w stronę śródmieścia. Malownicze domy okrywał głęboki cień. Pamiętałem przestrogi majora Harpera, by w dużych afrykańskich miastach nie spacerować po zmroku – jest to bowiem zbyt niebezpieczne. Zacząłem rozglądać się za taksówką, ale po chwili dałem spokój. Nie mogłem liczyć nawet na riksę. Otaczały mnie krzewy o mięsistych liściach i wszędobyłskie palmy. Oraz domy. Piękne, choć odrobinę zrujnowane, pokryte stiukiem i w dużej mierze opuszczone. Pomimo stanu, w jakim się znajdowały, w niczym nie przypominały lepianek, które zapamiętałem z okolic portu. Ich kształt opowiadał o minionej świetności, chwale dawnych lat i nieżyjących już właścicielach. Rozejrzałem się, ulegając przemożnemu wrażeniu, że nie wiem, gdzie jestem. Wąska uliczka musiała pamiętać czasy holenderskie. A teraz pokrywał ją jedynie tłumiący moje kroki kurz.

Nagle usłyszałem, jak ktoś woła do mnie po angielsku. Nie zrozumiałem, co dokładnie krzyczy. Obróciłem się, dostrzegając nie dalej jak kilka jardów od siebie smukłą sylwetkę. Drgnąłem, niemal doznając palpacji serca, gdy zaczęła się jeszcze bardziej zbliżać. Myślałem przecież, że ulica jest pusta, a

tymczasem napotkałem nie tylko człowieka, ale i osobę znającą mój język. Czy to oznacza, że byłem śledzony?

– Jest pan szalony, monsieur, skoro szuka drogi na Karru. Tam nic nie ma, tylko piasek, trawa i słońce. – Usłyszałem melodyjny głos, zabarwiony pewnym trudnym do określenia akcentem. Postać spojrzała do góry i wskazała coś niezwykle tajemniczym ruchem smukłej dłoni.

– Z kim mam przyjemność? – spytałem, patrząc na chłopcę sylwetkę, ubraną w luźne spodnie i pomietą koszulę w kolorze khaki. Twarz okrywała delikatna chustka z barwnego batiku, zwisając w dół płaskiej klatki piersiowej. Męski strój safari mógł wprowadzić mnie w błąd, podobnie jak częściowo odsłonięty dekolt i zaczesane do tyłu kędziory czarnych jak węgiel włosów. Mogłem odnosić wrażenie, że mam przed sobą jasnoskórego, młodego mężczyznę, a w rzeczywistości rozmawiać z kobietą.

– Odpowiesz mi? – spytałem, nie mając pewności, jakiego użyć zwrotu.

Jedyną odpowiedzią było jednak badawcze spojrzenie.

– Mam na imię Nina. Nina Dubois – odparła, odsłaniając delikatnie śniadą twarz o charakterystycznym, arystokratycznym profilu, z wysoko sklepionymi kośćmi policzkowymi i pełnymi ustami. Mówiła głębokim, niemal męskim głosem. Jej angielski miał delikatny francuski akcent. Posłała w moim kierunku cierpki uśmiech, nic więcej.

Miała wysokie czoło, dodatkowo odsłonięte przez suche, pokryte zdaje się piaskiem włosy, sterczące do góry w nieładzie. Opalizujących niczym dwa kawałki ametystu oczu nie ozdobił żaden makijaż. Spojrzenie samo z siebie przyciągało wzrok. Oczy Niny były wielkie, błyszczące i wykrojem przypominały migdały. Mierzyły mnie zagadkowo, jakby usiłowały odgadnąć moje myśli.

Miała także niezwykle długą i szczupłą szyję, co odkryłem dopiero, gdy pozbyła się szala.

– Co pani tu robi? Jak...

– Szłam za panem, monsieur, gdy tylko spostrzegłam pana na bazarze.

Jej otwartość i bezpośredni ton były nie lada zaskoczeniem.

– W takim razie dlaczego mnie pani śledzi? – spytałem nieco niegrzecznie, bowiem żadne inne pytanie nie przychodziło mi do głowy. Zadziwił mnie jej akcent. Delikatnie łamała słowa, wypowiadając je z twardością przywodzącą na myśl Niemkę, a nie Francuzkę czy też Algierkę.

– Wypytywał pan o przewodnika, którego wynajął wysoki człowiek nazwiskiem Husley. Miesiąc temu, tak? Sądząc z pana miny, naprawdę potrzebuje pan przewodnika. – Ściągnęła brwi. – Tylko czy warto wybierać się na Karru dla jednego człowieka? To pana przyjaciel, monsieur?

– Czemu to panią obchodzi? – zignorowałem jej uwagę.

Uśmiechnęła się, wkładając ręce w kieszenie, z dość naturalną nonszalancją.

– Ja byłam przewodniczką Husleya – odparła. – To ja go zaprowadziłam na Karru. Pana też mam tam zaprowadzić, monsieur? Co wy chcecie tam zobaczyć? Gazelę?

– Mam wrażenie, że jedną mam już przed oczami.

– Słucham? – Ściągnęła brwi.

– Mam na myśli gazelę.

– Pan żartuje.

– Może.

– Może – odparła, dobitnie powtarzając moje słowa. – A jak już jesteśmy przy „może”... To może to nie najlepsza droga? Dlaczego nie wybierze się pan w podróż koleją? Wy, Europejczycy, nie lubicie się przecież męczyć, prawda? Koleją dotrze pan przynajmniej do Wellington. Zobaczy pejzaże lepsze niż w Karru.

Zmierzyła mnie taksująco wzrokiem, a ja milczałem, skonsternowany jej pytaniami.

– Dużo pani zadaje tych pytań – zauważyłem.

Odpowiedziała mi skinieniem głowy.

– Pani jest przewodnikiem?! – parsknąłem. – Naprawdę?

Prychnęła z nieskrywaną niczym pogardą.

– Trudno w to uwierzyć, co? – odparła. – Przypomina mi pan tamtego mężczyznę, którego zaprowadziłam na Karru – Pokręciła głową. – Pan mnie w ogóle nie słucha, monsieur.

– Ależ słucham. Z zapartym tchem. W jakim sensie go pani przypominam?

Wzruszyła ramionami.

– Zachowujecie się podobnie. Wy, nawiedzeni Europejczycy, wszyscy szukacie taniej podniety. Pustynia jest miejscem pełnym kłopotów, nawet jeśli to tylko Karru. Ale jeśli szukasz kłopotów, doradzam Saharę. Albo przynajmniej Kalahari. Tam można zginąć, pożartym przez lwy. W Karru tymczasem żadnych lwów już nie ma. Biali je wytępili.

– A co tamten mężczyzna pani powiedział? Czego właściwie szukał?

Kolejne obojętne wzruszenie ramion.

– Niech mi pani powie – usiłowałem ją zachęcić.

– To nie był pana przyjaciel. – Zmrużyła oczy.

Pokręciłem z namysłem głową.

– Nie, nie był. Czy to coś zmienia? Niech mi pani powie, czego chciał.

– Powiedział, że szuka drogi do Karru – odparła. – Chciał zobaczyć wizerunki naskalne plemienia Xan. Twierdził, że musi je naszkicować do książki. Tak przynajmniej mówił na początku. Ale żadne malowidła go nie interesowały, tylko żywi ludzie. Zapytał, czy go zaprowadzę. Czy znam Karru. A ja na to spytałam: „Po co się narażać na trud podróżyowania pieszo albo końmi?” No, co pan powie na to?

Tym razem to ja wzruszyłem ramionami.

– A wie pan, co on mi powiedział? Żebym nie zadawała pytań. On płaci, ja prowadzę.

– I co? Zgodziła się pani?

– Powiedziała mi, że poprowadzę go na Karru tak, jak chce. Ale jeśli choć raz zacznie marudzić albo sprawiać kłopoty, natychmiast wracamy.

– Jak na nowo poznanego mężczyznę, dość odważnie go pani potraktowała.

– Może. Zawsze jednak postępuję bezpośrednio. Nie lubię owijania w bawełnę. A co z panem? Też jest pan wytrwałym zbieraczem rysunków?

– Niczego nie zbieram – odparłem ponuro.

Zmrużyła swoje zjawiskowe oczy.

– On coś panu zrobił.

Nie potwierdziłem, ale i nie zaprzeczyłem.

– Powiem panu, jak będzie, monsieur. Jeśli pan przetrwa podróż przez pustkowie i nie będzie narzekać, jak każdy Europejczyk, może pomogę panu znaleźć tego człowieka, którego pan szuka. Choć według mnie jest pan kolejnym wariatem.

– Skąd pani wyciąga podobne wnioski? – spytałem, nie wierząc własnym uszom. To było niezwykle spotkanie. Ta osobliwa, posługująca się dziwnym językiem kobieta miała by mnie przeprowadzić przez pustkowie? Nie odrywała ode mnie wzroku, a ja usiłowałem zgadnąć, w jakim może być wieku. Poddałem się złudzeniu, że może mieć równie dobrze dwadzieścia jak i czterdzieści lat. Nigdy nie miałem do czynienia z kobietą równie pociągającą, co pozbawioną kobiecości w jej najbardziej klasycznej formie.

– Nie wyciągam żadnych wniosków. – Skrzywiła się. – Po prostu widzę. Pan jest osobą, po której natychmiast wszystko widać. A ja umiem obserwować ludzi.

– Jest mi winien pieniądze – skłamałem.

– Aha – odparła, a ja odniosłem wrażenie, że mi nie wierzy.

– Jak dobrze zna pani okolicę Karru?

– Czy to ma znaczenie? Może bardzo dobrze, a może bardzo słabo. Ma pan wybór? Niech pan przyzna. Gdzie znajdzie przewodnika mówiącego w pana języku?

Tu mnie miała. Dość niechętnie pokiwałem głową. Wiedziałem, że będę zmuszony przystać na jej warunki, jakiegokolwiek by nie były.

Zabrałem ją do małej, zadymionej restauracji mieszczącej się w pobliżu mojego hotelu. Tam wysłuchałem od początku do końca historii życia Niny i trochę się o niej dowiedziałem. Zwracała się do mnie bez przerwy „monsieur”, jakby wiedziała, że działa mi to na nerwy. Rozmawiała swobodnie z obsługą i paliła papierosy, jeden za drugim. Piliśmy gęstą, gorzką herbatę, rozmawiając o naszej podróży. Nie zdradziłem się bardziej, niż musiałem. Ustaliliśmy, że użyjemy koni. Gdy rozmawialiśmy, odczułem

wyraźnie, że panna Dubois nie wierzy w powodzenie mojej wyprawy. Pytana o trasę, odpowiadała wymijająco. Wszystko brzmiało w jej ustach tak romantycznie i bajkowo, jakbyśmy byli bohaterami powieści przygodowej, których nie może spotkać żadne nieszczęście.

Nina miała bogate życie, przynajmniej jak na osobę w jej młodym wieku (twierdziła, że ma niespełna dwadzieścia cztery lata). Przypominała mi trochę moją siostrę, skonkludowałem, spoglądając na nią, gdy mówiła i paliła jednocześnie papierosa. Urodziła się na wyspie Faros niedaleko Aleksandrii w marcu 1842 roku jako córka panny Isabelle Dubois, francuskiej emigrantki i tureckiego kamerdynera, nieznanego z nazwiska. Po wywołaniu mezaliansu wśród arystokracji Aleksandrii, gdy za namową męża panna Isabelle przyjęła muzułmanizm, para zbiegła na wyspę Rodos w Grecji, gdzie zamieszkali, żyjąc głównie z oszczędności należących do matki Niny. Przebywali w pustym domu, właściwie pozbawionym wygód, w odosobnieniu, które wydawało się być po ich myśli. Ojciec dziewczynki, pochodzący z ubogiej inteligencji, był osobliwym, pełnym namiętności młodzieńcem, którego zachowanie wywarło wielki wpływ na córkę. Isabelle Dubois we wszystkim mu ustępowała, a mężczyzna był apodyktyczny do tego stopnia, że nie pozwalał córce ani swojej żonie wychodzić poza obręb posiadłości. Mimo skromnych dochodów zmusił matkę Niny do wynajęcia guwernantki, a kiedy nie starczyło funduszy, sam zajął się edukacją dziewczynki. Nauczył ją tureckiego, francuskiego oraz łaciny i greki, a także podstaw angielskiego.

Dorastanie w odosobnieniu wpłynęło bardzo na osobowość młodej dziewczyny. Stała się samotniczką i marzycielką. W pojedynkę krążąc po bibliotece, poznała Baśnie Tysiąca i Jednej Nocy i podstawy religii jej ojca – islam. Turek, który nigdy nie ukrywał, że wolałby mieć syna, nakłonił Ninę do noszenia krótkich włosów i przebierania się za mężczyznę.

Po tym, jak ojciec zmarł na dyzenterię trzy lata temu, sytuacja Niny i jej matki zaczęła się stopniowo pogarszać. Panna Isabelle Dubois i jej turecki kochanek nigdy nie zalegalizowali związku, co w oczach społeczności zarówno białej, jak i wśród muzułmanów, było niezmiernie gorszące. Brak mężczyzny przy boku i kurczące się oszczędności, wszystko to sprawiło, że dwie kobiety musiały opuścić Rodos. Przeniosły się najpierw do Aleksandrii, a gdy tamtejsze władze wyraziły sprzeciw wobec łamiącej zasady zdrowego rozsądku buntowniczką, za którą uznały pannę Isabelle, panny Dubois wyjechały do Tunezji. Ich pojawienie się w Tunisie z kolei wywołało sprzeciw tamtejszych przywódców religijnych, jak i francuskich urzędników i wkrótce okazało się dla Isabelle Dubois jasne, że nie mogą zostać z córką na północy. Niestety, w tym samym czasie u samej panny Isabelle Dubois pojawiły się objawy czerwonki, choroby, która zabiła ojca Niny. Młoda dziewczyna zdecydowała się w pojedynkę opuścić Tunis. Popłynęła statkiem na południe.

Nigdy więcej nie zobaczyła już Rodos ani Aleksandrii, tak samo jak matki, która zmarła w kilka tygodni po wyjeździe Niny.

20 maja 1867 roku

Konie kosztowały mnie majątek i zacząłem martwić się, czy starczy nam funduszy, aby dotrzeć na północ. Panna Dubois „uspokoila” mnie stwierdzeniem, że funty i papiery dłużne są tu tyle warte, co jakikolwiek inny papier. Kupiłem cztery wierzchowce, w tym dwa araby, po jednym dla siebie i panny Dubois, oraz dwa luzaki, które obciążyliśmy częścią ekwipunku, głównie bukłakami wypełnionymi słodką wodą, miskami i suchym prowiantem, konserwami, a także dwoma zakupionymi przeze mnie łamanymi dubeltówkami, ładowanymi od tyłu. Zabraliśmy z sobą puszkę z kawą i dżem oraz butelkę brandy. Rankiem, nim wyruszyliśmy, rozbiliśmy na próbę dwa niewielkich rozmiarów namioty należące do Niny. Zatęchłe śpiwory przetrzepaliśmy, wysypując z nich piasek. Było chłodno, a nawet mroźnie, lecz Nina miała na sobie jedynie galabiję, długą, wąską tunikę, kojarzącą mi się z męską koszulą nocną, oraz brązowy burnus, ozdobiony cekinami płaszcz z obszernym kapturem, który noszą na co dzień mieszkający na północy ludzie pustyni. Gdy jechaliśmy wzdłuż glinianych chat, zamieszkanych przez hodowców owiec i kóz, nie zauważyliśmy żywego ducha. W dali zaszczekał pies. Przez kilka kolejnych dni przemierzyliśmy obszar obsadzony wioskami biednych pasterzy, gdzie byliśmy witani z mieszaniną niechęci, lęku i ciekawości. Niewielkie osiedla kojarzyły mi się z opowiadaniem o Dzikim Zachodzie. Dalej mieliśmy już jedynie ponurą, otwartą przestrzeń, ograniczoną wysoczyznami oraz wydrami i odległą, jakby ożywioną w drżącym powietrzu ścianą wiecznie zielonych lasów. Naszym towarzyszem przez dwa dni był kołujący wysoko nad głową orzeł czarny. Poza tym wokoło jedynie nadjedzone przez owce kępy trawy i trochę kolczastych krzewów. Nic więcej.

Myślałem, że jest muzulmanką. Zwróciłem uwagę na to, że przez tych parę dni, które spędziliśmy razem, Nina nigdy się nie modliła. Nawet ranem, o wschodzie słońca, która to pora jest dla muzulmanów niezmiernie ważna. Moje podróże w interesach na północ Afryki, do Egiptu i Tunezji, nauczyły mnie, jak zachowują się wyznawcy islamu. Widziałem, jak klękali obrócenymi twarzami do słońca i w pozycji sedzda witali dzień. Panna Dubois nigdy tego nie robiła.

Teren coraz bardziej przypominał pustynię. Rozległą płaszczynę uzupełniał obraz wysokich wzniesień, których wierzchołki wyglądały niczym ścięte olbrzymim ostrzem. Wydawały się być blisko, lecz panna Dubois dała mi do zrozumienia, że w Karru tak już jest, że wszystko wydaje się być na wyciągnięcie ręki, choćby i dzieliło cię od tego miejsca wiele mil. Zaskakujące, ale prawie natychmiast po tym, jak pojawiała się słońce, a z nim nasze cienie,

powietrze stawało się tutaj nieznośnie duszne i suche. Pewnym zaskoczeniem był dla mnie brak gorąca, którego się spodziewałem. Temperatura wahała się w granicach 60 stopni w dzień i stopniowo, choć bardzo powoli, rosła. W nocy spadała natomiast do 38, czasem nawet poniżej. Byłem zadowolony, że zabrałem ze sobą ciepły sweter ze szkockiej wełny.

Osiedla ludzkie skończyły się. Całą drogę od ostatniej osady towarzyszyły nam za to smukłe, podobne do gazeli antylopy, biegnąc równolegle z naszymi wierzchowcami. Około południa mineliśmy kopce termitów, przypominające miniaturowe miasta, wzniesione w samym środku solnej skamieliny utworzonej na wyschniętym bagnie. Płaszczyzna pokryta spękanymi skorupami ustąpiła po godzinie miejsca wspartym na porostach łańcom piasku, a po kolejnej godzinie z okładem, czerwonym wydmmom. Wzgórza, upstrzone przez wyschnięte kępy trawy i drzewa akacjowe o rozłożystych, żółkniętych od słońca liściach, wydawały się poruszać. Kurz cały czas nas omiatał, że nawet batikowe chusty nie pomagały. Znajdowałem piasek dosłownie wszędzie, w kieszeniach spodni, załamaniach ubrania, we włosach i nosie. Drażnił skórę i wdierał się w oczy, powodując podrażnienie i łzawienie.

Oszczędzaliśmy jedzenie. Wieczorem usmażyłem placki z mąki zmieszanej z wodą, które zagryzaliśmy dżemem. Panna Dubois bardzo mnie za nie pochwaliła. Bez przerwy oblizywała palce, mamrocząc między kęsami. Z całą pewnością obce jej było zachowanie, które przystawało prawdziwej damie. Mimo to pociągała mnie. Tajemnicze Karru, blask jej oczu i nocne niebo sprawiły, że poczułem nastrój tego ponurego, ale i urokliwego miejsca. Światło tuż przed zachodem słońca stawało się zaskakująco miękkie, a niebo przybierało setki odcieni koloru pomarańczowego. Z uwagą śledziłem zmiany, które zachodziły nad naszymi głowami, zdając sobie sprawę, że zachowam ten obraz w pamięci. Gdy zaś wzeszedł księżyc, gwiazdy wkoło niego wydawały mi się zamrożonymi kawałkami lodu, wysypanymi w takiej ilości, że nie sposób było je zliczyć.

– Więc gdybym wybrał pociąg, zobaczyłbym podobne widoki? – spytałem. Panna Dubois uśmiechnęła się znacząco, co wystarczyło za odpowiedź.

Już pierwszego wieczoru ujrzeliśmy na horyzoncie lunę od ognisk Buszmenów. W ich świetle ziemia wydawała się lśnić siną poświatą. Płomyki pogubione w zaroślach i stłumione dźwięki bębnów miały nam towarzyszyć przez całą noc, a przynajmniej tak utrzymywała moja przewodniczka. Każde z nas spędzało ten czas we własnym namiocie, z obawy przed groźnymi ukąszeniami i innymi niebezpieczeństwami. Mniej więcej o północy, gdy nie mogąc zasnąć, kręciłem się z boku na bok, usłyszałem, jak coś delikatnie stuka o płachtę mojego namiotu. Po chwili zrozumiałem, że nie może to być wiatr. Chwyciłem lampę naftową i skierowałem w tamtym kierunku światło, przesycając otoczenie jej blaskiem i prawie natychmiast odkrywając

nachylony, w moim mniemaniu złowieszczo, cień jakiegoś człowieka. Przechyliłem się na swojej macie w stronę plecaka i wyszarpnąłem stamtąd kupioną na pchlim targu, ozdobioną paciorkami kaburę. Poczułem się pewniej, gdy wymacałem kolbę mojego rewolweru. Drżącymi palcami nasypałem prochu, ale kiedy usiłowałem wsunąć kulkę, wyleciała mi z rąk i potoczyła się po kocu. Przykucnąłem, jako że wewnątrz namiotu niepodobnym było stać, trzymając broń w pogotowiu, zdecydowany w razie czego udawać, że rewolwer jest nabity. Po zaledwie chwili konsternacji schowałem go głęboko pod matę i przykryłem kolanem. To nikt obcy.

– Co pan tam ma, monsieur? – Usłyszałem zdecydowany, nieco szorstki głos. Płachta odsłoniła pochyloną do środka sylwetkę Niny. Stała zgarbiona w wejściu, jej oczy migotały w świetle mojej lampy. Miała na sobie jedynie tunikę, pod którą dostrzegłem mimowolnie zarys sterczącego pod wpływem zimna sutka. Złote frędzle obrębiające szatę oddawały blask płomienia, przez co cała jej sylwetka wydawała się miękka jak mleko. Zamiast wysokich butów do konnej jazdy, stopy obuła w sandały. Mimo chłodnej nocy nie założyła spodni, a jej uda raz po raz rozchyłały tunikę. Miała zjawiskowe nogi i nie obawiała się ich pokazywać. Zrozumiałem, że jest dzika niczym amazonki, o których czytałem w powieściach, gdy byłem w wieku Niny. Nie miała w sobie nic z cech charakteru, których można by oczekiwać od białej kobiety. I chyba to najbardziej mnie w niej pociągało.

– Powinien pan przyciąć knot – zaproponowała, spoglądając na moją lampę, po czym przykucnęła obok mnie. – Inaczej zakopci pan klosz.

Bliskość jej ciała podziałała na mnie pobudzająco.

– Co pani tu robi? – Zerwałem się, choć nie byłem przecież w stanie wstać na równe nogi. W rezultacie przewróciłem się jak długi. Stłumiła ręką parsknięcie, na co ja z trudem pohamowałem w sobie chęć spojrzenia w jej twarz. Zerknąłem jedynie kątem oka. Pot umył oblicze Niny, aż błyszczała, choć noc była chłodna.

– Martwią mnie te tańce Buszmenów. – Migdałowe oczy dziewczyny pobiegły w bok. Mrużyła je jak kot, choć wyrażały niepokój, a nawet troskę. – Są nadzwyczaj śmiali. Zwykle się tak nie afiszują, gdy jestem na ich terenie.

– Mówi pani tak, jakby to oni powinni odczuwać przed panią lęk – oznajmiłem z przesadą. – Jakby była pani dla nich jakimś dzikim łowcą, którego należy się bać.

Odpowiedział mi tajemniczy uśmiech, który wydawał się znaczyć wszystko.

– No więc?

– Co więc?

– Czy Buszmeni się pani boją?

– A czy mają powód?

Nasze spojrzenia spotkały się.

- Nie będę w to grał – odparłem.
- Konie też są niespokojne – wyliczała.
- Nie słyszałem koni.

Pokręciła głową.

– Jest pan głupcem, monsieur. Wielu białych, tak jak pan, nie docenia mieszkańców Karru. To błąd. Buszmeni potrafią być niebezpieczni.

– Chyba nie wierzy pani w to całe „abrakadabra”? To zwykłe czarne dzikusy.

– Znają się na truciznach.

– Co z tego. Nie otrują nas na odległość.

– Chyba że użyją strzałek – zauważyła, a po chwili prychnęła. – Myli się pan, monsieur. Wszyscy się mylicie.

– Kto?

– Anglicy. Jesteście nauczeni lekceważyć resztę świata. Nie rozumiecie, jak trudno stać się solą tej ziemi w ciągu kilku zaledwie pokoleń. Dla Afryki jesteśmy jedynie krótkim rozdziałem, akapitem, który minie, jak wszystko inne.

– A pani to niby wszystko rozumie?

Kiwnęła znacząco.

– Można nie być stąd, ale jeśli wrośnie się w ziemię Przylądka, jest szansa, że w ten sposób zrozumie się jej obyczaje i stanie się jej częścią. Trzeba jednak szanować tych, którzy byli tu wcześniej. A nie nazywać ich dzikusami.

– Rozumiem.

– Doprawdy?

Sam musiałem przed sobą przyznać, że plotę głupoty, a panna Dubois ma poniekąd rację. Przynajmniej w obliczu wszystkiego, czego byłem ostatnio świadkiem, nie mogłem tak po prostu obronić swoich argumentów. Choć trudno mi było przyswoić tę prawdę, świat, w którym żyłem od kilku miesięcy, w ogóle nie mógł uchodzić za poukładany czy logiczny. I sam do tego doprowadziłem moimi absurdalnymi poszukiwaniami. Kogo, czego naprawdę szukałem? Ilekroć zadawałem sobie podobne pytania, przed oczami miałem oblicze Husleya z moich snów, jego hipnotyzujące oczy... Zupełnie jakby były jedyną adekwatną odpowiedzią na wszystkie wątpliwości, które mnie nurtowały. A przecież „spotkałem” go jedynie we śnie. To była tylko moja fantazja. Nic więcej.

– Kim pani tak naprawdę jest, pani Nino? – spytałem.

Odpowiedziało mi jedynie wymuszone milczenie.

– No więc? – ponowiłem pytanie. – Nie powie mi pani? A może wierzy pani w to wszystko? W tę całą magię? W Karru? W Buszmenów?

Przez chwilę spoglądała mi w oczy, namyślając się.

– Ten człowiek, którego sprowadziłam tu wcześniej? Wierzył we wszystko.

– Husley?

– Tak. Nazywał się Karim Husley. Był pod tym względem nieco mądrzejszy od pana.

Wniosek nasunął się sam.

– To tego tutaj szukał. Ich obrzędów. Ich magii. To wydaje się do niego pasować.

Pokiwała głową.

– Dużo pan wie, ale zarazem nic pan nie wie – mruknęła tak, jakby dobrze знаła mojego przeciwnika. – Ja się ich nie boję. Tak samo jak Husley. Ja ich po prostu znam. Strach rodzi nienawiść. To wielka siła, wie pan? Buszmeni mają powody, aby bać się białych, aby ich nienawidzić. Wie pan, co zrobili pierwsi Holendrzy, gdy tu przybyli? Zapolowali na nich. Ze skór buszmeńskich kobiet i dzieci uszyli sobie torebki na tytoń. Buszmeni to zapamiętali.

– To było dawno temu – zaprotestowałem, czując się oszołomiony jej bliskością i zapachem. Klęczyliśmy obok siebie, niemal na wyciągnięcie ręki. Nie, nie była to woń perfum, zrozumiałem po chwili, ani nic choćby podobnego do perfum. Raczej coś zwierzęcego, jak piżmo wymieszane z delikatnie słodkim zapachem potu. Włosy stanęły mi dęba.

Wraz z dość osobliwym wrażeniem, poczułem się w jakiś sposób zagrożony obecnością tej pewnej siebie i niezmiernie dziwnej kobiety. Dlaczego przyszła tu, udając kruchą i wystraszoną, doprawdy nie wiedziałem. Jej zachowanie przeczyło słowom. A może miała inny cel?

– Dawno temu? Coś panu powiem, panie Angliku. Oni pamiętają to „dawno temu”. – Kiwnęła znacząco, choć zauważyłem, że zaczęła unikać mojego wzroku. – Opowiadają o tym przy ognisku. Wierzą, że słowa pełne nienawiści nabierają w ten sposób mocy. Oni nienawidzą białych. Pana, mnie, wszystkich.

– Co zatem radzi mi mój przewodnik? – zapytałem delikatnie kpiącym tonem. Spiorunowała mnie spojrzeniem.

– Po prostu skróć knot – odparła w końcu, a ja odniosłem wrażenie, że zrezygnowała z zamiaru, który miała. Odwróciła się i skierowała w stronę wyjścia, gdy nagle stanęła w wejściu do mojego namiotu. Była odwrócona plecami, tak że mogłem podziwiać smukłość nóg.

– Podzielimy się wartami – rzuciła półgębkiem. – Ja pierwsza. Ale najpierw mi powiedz, gdzie trzymasz strzelby?

Rzuciłem okiem w kierunku miejsca, gdzie leżały dwie zawinięte przeze mnie w płótno żaglowe dubeltówki, a potem poprowadziłem tam wzrokiem Ninę.

– Wie pani, jak ich używać? – zapytałem naiwnie, na co Nina prychnęła w odpowiedzi z ledwie skrywaną niechęcią.

Wiedzieliśmy, że będziemy mieli problemy z wodą. Maj był w Afryce porą suszy. Zwierzęta przeżywały trudny czas, bez przerwy poszukując wodopoju i pożywienia. Jeśli skończy się woda, a była to jedynie kwestia czasu, byliśmy zdani na studnie. Gdybyśmy mieli szukać naturalnego wodopoju, woda mogła być zatruta. Moim zdaniem, ryzykowaliśmy także spotkanie z drapieżnikiem, choć Nina utrzymywała, że w okolicy od ponad trzydziestu lat nie widywało się już lwów.

17 maja rano, gdy prowadziliśmy konie przez wysokie trawy, coś wpełzło mi w nogawkę spodni. Miałem uczucie, jakby oblaży mnie mrówki, a potem coś mnie ukłuło nad łydką. Ból był ostry i obezwładniający, lecz minął prawie od razu. Ogarnął mnie za to paniczny lęk. Rzuciłem się w trawę i zerwałem ze stopy wysoki but. Przez moment dostrzegałem rojące się w środku odnoża. Odrzuciłem trapera daleko od siebie. Po chwili zobaczyłem, jak wypęła z niego coś, co przypominało mierzającą około dziesięciu cali stonogę. Pełzające stworzenie zniknęło prawie natychmiast w zaroślach suchej trawy. Zauważyłem, jak żdźbła ustępują gwałtownie, lecz nie zobaczyłem, co to właściwie było.

– Nic panu nie jest? – Nina podbiegła do mnie i przyklęła. W jej dłoni rozbłysło ostrze noża. Odsunąłem się, wzdrygając ze strachu.

– Co pani zamierza?!

Złapała mnie mocno za kostkę. Poczułem, że jej palce, niczym stalowe szpony, unieruchamiają moją nogę. Zmierzyłem Ninę wzrokiem, tym razem z coraz bardziej rosnącym przerażeniem. Była silna jak mężczyzna. Ostrze zupełnie bez ostrzeżenia rozcięło nogawkę spodni.

– Hmmm... – Przyjrzała się śladzie po ukąszeniu.

– O co chodzi?! – warknąłem, gotowy wyrwać się z jej uścisku.

– Sama nie wiem. – Schowała nóż w pochwę przypiętą do skórzanego pasa.

– Mogę wyssać jad. Ale nie wiem, czy to pomoże. Zależy to bowiem od tego, co pana ugryzło.

Oblizwała wargi, na co naszło mnie wyjątkowe obrzydzenie.

– Pani sobie żartuje.

Zerwała się na równe nogi.

– Nie, to nie.

– Zaraz, chwilę! – Usiłowałem ją powstrzymać.

– Słucham? – Rozbłysły jej oczy.

– To pani nie wie, co to było?

Pokręciła głową.

– Wygląd rany nic mi nie mówi.

– I pani twierdzi, że umie przetrwać na pustyni?! – wykrzyknąłem.

Przez chwilę spoglądała na mnie z cieniem politowania w wielkich oczach.

– Posypiemy miejsce ukąszenia sodą oczyszczoną. Odkazi to ranę. A jeśli chodzi o pana ostatnią głupią uwagę: tylko Buszmeni mogliby na podstawie

wyglądu rany cokolwiek powiedzieć. Wie pan, ile gatunków jadowitych zwierząt tutaj żyje?

– Idźmy więc do Buszmenów!

Znowu odpowiedziało mi to samo osobliwe spojrzenie.

– To wykluczone.

– Dlaczego?!

– No, chyba że mam tam pana zostawić.

Jej ostatnie słowa zamknęły dyskusję. Soda natomiast w ogóle nie pomogła. Miejsce natychmiast zaczerwieniło się, a w ciągu godziny spuchło tak mocno, że musiałem jeszcze bardziej rozciąć nogawkę. Miałem też problemy z chodzeniem, pomagałem więc sobie drągiem, wkładając go niczym kulę pod pachę.

– To mogło być wszystko – przyznała. Miałem wrażenie, że się przy tym złowroźnie uśmiecha, rozkoszując moim nieszczęściem.

– Od skorpiona poprzez liczne jadowite węże – dodała z pogodą w głosie, jakby stroiła sobie ze mnie żarty. – Dowiemy się na szczęście wkrótce, co to było. Jak tylko pojawią się kolejne symptomy.

– Symptomy?! – Wzdrygnąłem się.

– Mhmm... Symptomy. Jeśli to na przykład żmija sykliwa, to wystarczy sto miligramów jadu, żeby uśmiercić dorosłego człowieka. Zgon następuje zwykle w przeciągu czterech dni, więc niedługo się dowiemy, czy to była ona.

– Cooo? – zawołałem.

– A co pan myślał? – Wzruszyła ramionami. – Teraz i tak nie da się nic zrobić. Trzeba było łapać i odciąć głowę tego stworzenia nożem. Wtedy mielibyśmy być może jego jad. Można by było na przykład zrobić odtrutkę. Teraz to jest jedno wielkie „może”. Nie wiemy, co to, nie wiemy, czy ukąszenie jest śmiertelne. Choć z drugiej strony, może martwimy się na zapas. Może to nic groźnego. Cóż, dowiemy się niedługo.

Wzruszyła dość obojętnie ramionami i tak, jakby to wcale nie była poważna sprawa, poklepała mnie po ramieniu, a potem bez słowa ruszyła w stronę koni.

Gorączka zaczęła się po południu i nasiliła następnego dnia. Bardzo cierpiałem z powodu wysokiej temperatury, jak i ciągle dręczącego mnie uczucia pragnienia. Obrzęk był nie do zniesienia. Zacząłem miewać zawroty głowy i wymiotowałem jak kot, przez co podróż, nawet wierzchem, była niemożliwa. Swoją drogą, zdaniem panny Dubois, ruch jedynie wzmacniał działanie jadu. Drugi dzień spędziłem więc, leżąc plackiem w swoim namiocie. Miałem niepokojące sny, w każdym widziałem twarz Husleya w zaułku, jego skupione, hipnotyzujące oczy, kojarzące mi się ze spojrzeniem drapieżnego kota. Potem przyszły inne sny, prawdziwe koszmary, gdzie panowały zupełnie inne prawa niż w realnym świecie. Słyszałem szum fal, a w oddali dostrzegłem sylwetkę wieży mieniącej się pod nieokreślonym,

pustym niebem. Przy wejściu do wieży, obramionym jakimiś napisami w nieznanym mi języku, dostrzegłem Ninę w przebraniu Beduina. Jej oczy płonęły złowrogą czerwienią tak, jakby coś spalało je od środka.

Kiedy się obudziłem, odkryłem, że panna Dubois wykopała przed wejściem płytki rowek i wysypała go popiołem z ogniska. Zapytana nie wytłumaczyła, dlaczego to zrobiła, a jedynie uśmiechnęła się znacząco. Kolejnej nocy jakieś zwierzęta podobne do lisów, z czarnymi plamami na grzbiecie i brązowymi bokami, dobrały się do naszych zapasów wody. Nina odgoniła je kilkoma strzałami z dubeltówki, lecz było za późno.

– Szakale – oceniła. – Nie wrócą już, chyba że po twojego trupa, monsieur.

Wychrypiałem, prosząc ją o manierkę z wodą.

– Ma pan minę jak umierający. – Skrzywiła się.

– Bo chyba nie jest ze mną najlepiej...

Długo mi się przyglądała, zanim powiedziała:

– Został pan ugryziony przez niegroźną skolopendrę. Jej jad paraliżuje, ale nie zabija. Ugryzienie boli tak samo jak opuchlizna. Ale to nie skorpion ani żmija.

Wyciągnęła rękę, gładząc mnie po włosach.

– Będziesz żył, Thomasie Elthorn, choć, niestety, pozostaniesz słabeuszem.

– Skolo – co? – spytałem, wznosząc się na poduszce. Cofnęła z wahaniem dłoń.

– To taki stawonóg. Za najdalej dwa dni ustąpią wszystkie symptomy. Które, nawiasem mówiąc, nie powinny być aż tak poważne. Gratuluję występu. Nadaje się pan do teatru.

– Jest pani pewna? Ale jak? Skąd?

– Widzę nadzieję w oczach, monsieur. To dobrze.

– Od początku wiedziałaś. Ale nie rozumiem, jak... Jak to możliwe!

– Jak mówiłam, monsieur. Będzie pan żył.

Swoim, jak sądzę, normalnym zwyczajem poklepała mnie po przyjacielsku po ramieniu.

– No, chyba że nie znajdziemy wody – dodała.

Miała rację. Było coraz trudniej. Na tym pustkowiu znalezienie studni, mimo ich obecności, nie stanowiło łatwego zadania. W okolicy znajdowały się też inne zbiorniki, tak zwane „studnie buszmeńskie”, w ogóle nie przypominające tych, które znałem. Gdy zobaczyłem je po raz pierwszy, nie wiedziałem, do czego służą. Były one wykonane z rurek trzciny, zasypanych piaskiem. Ich poszukiwanie wiązało się z pewnym ryzykiem. Należało zbliżyć się do siedziby dzikich, zdaniem panny Dubois, groźnych i nieprzychylnych białemu człowiekowi. Z tego, co sam zdołałem zaobserwować, czarni faktycznie nie byli do nas mile usposobieni. Ale niebezpieczni? Tego bym o nich nie powiedział. Niektórzy dorośli sięgali mi ledwo do piersi.

Pewnej nocy, gdy niebo było częściowo przykryte chmurami, szukaliśmy studni w niemal całkowitej ciemności, jedynie w blasku pochodni. Towarzyszył nam mrozący krew w żyłach śmiech hieny. Nigdy nie słyszałem niczego podobnego, zwierzę chichotało jak człowiek i krążyło wokół nas, a my widzieliśmy jedynie śledzące nas, płonące pomarańczowe oczy, odbijające nikły blask księżyca i gwiazd. Panna Dubois stała z nabitą dubeltówką i czekała, kiedy ja obszukiwałem zarośla. Była zaniepokojona i milcząca. W końcu poddaliśmy się.

29 maja

Rankiem zaskoczyło nas pojawienie się dwóch Buszmenów. Byli wyjątkowo niscy, niespełna półtorametrowi i mieli pomarszczone, żółtawe twarze. Podpierali się oszczepami, żując jednocześnie coś intensywnie. Nagle jeden z nich wypluł to, co miał w ustach. Przypominająca mięsną miazgę czarnoczerwona masa wydała mi się ohydna. Zwłaszcza że pozostawiła na zębach dzikusa obrzydliwy nalot.

Mężczyzna wskazał Ninę grotem oszczepu i wychrypiał coś niezrozumiałe w charakterystycznym, przypominającym mlaskanie języku. Panna Dubois zerknęła na mnie speszona. Buszmen zaś kontynuował swój wywód, akcentując go co jakiś czas dość agresywnym wykrzywieniem twarzy albo potrząsaniem broni.

– O co chodzi? – spytałem, zniecierpliwiony i poirytowany zachowaniem pary dzikusów. Robili dziwne miny, jakby napili się czegoś kwaśnego i tupali bosymi stopami w miejscu, wzbudzając tumany kurzu. – Rozumiesz ich, prawda?!

Moja przewodniczka spojrzała na mnie, jakby się wahała, czy mi cokolwiek powiedzieć. Zaszokowany zrozumiałem, że zna ich mlaszczący język. Starła się nie spuszczać oczu z tubylców, gdy objaśniała kolejne wypowiedane zdania. W jej głosie nie wyczuwałem strachu czy jakichkolwiek innych uczuć, jeśli o tym mowa.

– Chodzi im o mnie. Nie wiem za bardzo, dlaczego, ale uważają, że naruszyłam teren objęty ich tabu. Zabraniają nam iść dalej.

– Przez ciebie?

Słabe kiwnięcie głową.

– Podobno obserwowali nas cały czas. Te ogniska, które widzieliśmy... Zaklinali tak zwane oa, aby nas przegnać z Karru.

– Oa?

– Zgadza się. Nazywają mnie Obayifo, ludzką modliszką, jedną z Gawa, córką Khaun i różnymi innymi nieciekawymi wyzwiskami. Mówią, że nie chcą mnie przy swoim ognisku, a Gue pluje na mnie ze swojego Domu, ale nie jest to miła woda i nic od niej nie rośnie. Tak właśnie powiedzieli.

– Córką czego?

Obróciła w moją stronę twarz. Nie sposób było z niej wyczytać, co myśli.

– Khaun to według Buszmenów sprawczyńi cierpień i wszelkiego zła.

– No dobrze. Co z tego wynika? Nie pozwolą nam przejść?

– Powiedzieli, że jeśli się nie wycofamy, spotka nas nieszczęście. Ich czarownik już zamienił się swoim ka z szakalem i w jego skórze sprawił, że straciliśmy wodę. Potem poprosił innego czarownika, swojego przodka, aby nawiedził nas pod postacią hieny. Nie umknijemy przed nimi, mówią. Boją się nas i nie pozwolą nam dalej iść. A jeśli się im sprzeciwimy, mają trucizny i czary.

W momencie, gdy to powiedziała, drugi z dzikich zaczął coś głośno wykrzykiwać, a potem zamierzył się oszczepem tak, jakby chciał cisnąć nim w Ninę. Odruchowo zasłoniłem dziewczynę własnym ciałem, na co niedoszły zabójca zaczął chichotać złowrogo. Na szczęście opuścił broń.

Nina bez ceregieli wycelowwała do mężczyzn z dubeltówki. Śmiech natychmiast przycichł. Dzicy zmierzyli ponurym wzrokiem moją towarzyszkę. Widziałem, jak pomimo wcześniejszego zachowania, ręce dziewczyny drżą. A zatem miała jednak jakieś uczucia. Obawiała się, choć dobrze to skrywała. Zdawałem sobie sprawę, że broń nie jest nabita. Wymamrotała coś do Buszmenów, z trudem wymawiając każdą głoskę.

Pierwszy z mężczyzn wychrypiął coś ponuro, a potem skrzywił w niezwykle komiczny sposób tak, że cała jego twarz wraz z ustami naciągnęła się. Obnażył krzywe, osobliwie szerokie zęby i dziąsła, po czym obaj wycofali się, nie odwracając do nas plecami.

Panna Dubois spojrzała na mnie. W oczach stanęły jej łzy, a głos zdradzał niepokój, choć usiłowała opanowywać emocje. W końcu ręce poddały się i opuściła strzelbę. Cała zaczęła dygotać.

Zaprowadziłem ją z powrotem do namiotu i powiedziałem, żeby usiadła.

Spełniła moje polecenie, a potem wzrokiem zmierzyla mnie tak, jakby widziała moją twarz po raz pierwszy w życiu. Nasze dłonie złączyły się, ciała zastygły, jakby w oczekiwaniu na kolejny dotyk. Wyczuwałem, że drży.

– Po śmierci matki przestałam praktykować jakąkolwiek religię. Potem to się zmieniło. Wróciłam na islam pod wpływem mężczyzny – wyszeptala drżącym głosem. – Był starszy ode mnie i bardziej doświadczony. Uwiódł mnie oczywiście i przez rok po śmierci mojej matki żyliśmy jak mąż z żoną. Lecz sufici z jego zakonu uznali mnie za zagrożenie i wysłali zabójcę, młodego muzułmanina, aby się mnie pozbyć. Zamach powiódł się tylko w części, bowiem zginął w nim mój ukochany zamiast mnie. Pamiętam minę zabójcy. Była bardzo podobna do twarzy tych dwóch Buszmenów. Tak samo pełna gniewu i strachu.

– To wtedy rzuciła pani islam raz na zawsze? – spytałem po chwili namysłu.

Kiwnęła głową.

– Nikt wcześniej w taki sposób nie groził mi śmiercią – wyszeptała po francusku. – Ci ludzie to fanatycy. Zabiliby mnie, gdyby mogli, choć wcale mnie nie znali. A wszystko dlatego, że jestem kobietą i Europejką.

– Jedynie z pochodzenia – zauważyłem.

– Może. Ale jakie to ma znaczenie? – spytała i przez chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami.

Powietrze wydawało mi się przejrzyste jak kryształ. Bez ostrzeżenia nasze orzeźwione nie dającym zbyt wiele ciepła, porannym słońcem ciała przyłgnęły do siebie, a usta odkryły swoją obecność. Zamknąłem oczy i wiedziałem, że ona uczyniła to samo. Zatopieni w długim, mokrym pocałunku smakowaliśmy tę chwilę i swoje wargi. Poczulem, że gryzie mnie w usta i drgnąłem. Szybko jednak poddałem się jej, tej szaleńczej chwili, jak i zapachowi potu, którym pachniało pomięte ubranie dziewczyny.

– Oni nie pozwolą nam dalej iść, Tom – wyszeptała zawiedzionym głosem. – Wypędzą nas stąd za wszelką cenę. Sprawią, że całe Karru obróci się przeciw nam.

– I co się wtedy niby stanie? – spytałem, mam wrażenie, że odrobinę zbyt ostrym głosem. Kipiałem ze złości, choć sam nie do końca wiedziałem, dlaczego tak się dzieje. Dotknąłem koniuszkiem palców wargi rozciętej zębami dziewczyny i poczułem zawroty głowy. Może nie minęło jeszcze działanie jadu skolopendry, pomyślałem.

– Boję się tego miejsca. – Opuściła spojrzenie, patrząc na swoje stopy. – Jest ogromne, ciągnie się na wiele mil. Jest dzikie.

– Wierzysz w banialuki o zmienianiu się w zwierzęta i czary? – Przyciągnąłem jej twarz za brodę, zmuszając, by skierowała na mnie oczy. Były niesamowite. Skupiały na sobie cały mój wzrok. Nic jednak nie odpowiedziała.

– Odpowiedz. – Zmusiłem ją.

– Husley wierzył. Więcej niż wierzył.

– Co to ma znaczyć?

– Wszystko. Ja wiem, kogo przyprowadziłam do Karru.

– To dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

– Ty też wiesz, kim on jest. I też nic nie mówiłeś. Co by dało, gdybym ci powiedziała? Pytałbyś dalej. Podejrzewałbyś mnie o rzeczy, których nie zrobiłam. O wiedzę, której nie mam.

– Na przykład, że celowo mnie zwodziłaś?

Przez chwilę mierzyła mnie z uwagą, jakby usiłowała odgadnąć moje myśli.

– Wiem, że to bardzo zły człowiek.

– A jednak go tu przyprowadziłaś.

– Zapłacił mi za to.

– Czego on szukał w Karru?

Pokręciła nerwowo głową.

– Nie mogę. Ja...

– Czego?! – warknąłem.

– Chciał się spotkać z wiedźmą z ludu Xan – wyrzuciła z siebie. – Wskazałam mu, gdzie ona mieszka. Chodziło o jakiś amulet, który posiadała. Ale wiedźma nie chciała oddać swojego talizmanu. Więc zabrał go siłą, a starą udusił. To dlatego Buszmeni chcą naszej śmierci. Odkryli ciało wiedźmy. Ona... Ona mieszkała samotnie, na szczycie wzgórza. Myślałam, że pomogłam ją zabić.

– Bo pomogłaś.

Zaprzeczyła.

– Nie jestem morderczynią.

Chwilę się namyślałem nad sensem jej słów.

– Czemu dopiero teraz mi to mówisz?

– Chcę ci pomóc. Nie wiem, dlaczego go szukasz, ale nie wierzę, że chodzi o pieniądze. To coś ważniejszego.

– Więc mi pomóż.

– Husleya tu nie ma – oznajmiła po chwili wahania. – Wypłynął z Langebaan razem z amuletem.

– Więc pozwoliłaś mi wierzyć...

Złapałem ją za ramiona i potrząsnąłem.

– Jak mogłaś mnie tak oszukać?! Pozwoliłaś mi wierzyć, że on tu jest!

– T... Tak – mruknęła łamiącym się głosem. Spojrzała na mnie, a jej oczy całkiem zaszyły mgłą.

– Dlaczego? Kazał ci. Prawda?! Zapłacił za zwodzenie mnie.

Pokręciła głową.

– On nie wie, że ktoś go szuka. To ja. Potrzebowałam gotówki. Wybacz, nie wiedziałam. Sądziłam, że jesteś po prostu naiwnym Europejczykiem, który chce odzyskać pieniądze. Ale wiem, że to nieprawda. Nikt nie zadałby sobie tyle trudu dla...

– Skąd wiesz? Skąd możesz to wiedzieć?! – prychnąłem.

Pokręciła z zapamiętaniem głową.

– Zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić, dobrze? Co będziesz chciał.

– To nie pomoże – rzuciłem cicho.

Nie wiem, kiedy, ale nasze usta złączyły się po raz drugi.

– Nie o taką pomoc mi chodziło. – Oderwałem wargi od jej warg. – W każdym razie nie w taki sposób. Nie tutaj.

– A gdzie?

Posłała w moją stronę nierozumiejące spojrzenie.

– Płyn ze mną na północ, Nina – mruknąłem, gładząc jej włosy. Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Jakby ktoś inny włożył mi te słowa w usta.

– Północ? – Ściągnęła brwi. – Po co?

– Muszę go znaleźć i zaprowadzić przed oblicze sprawiedliwości. Masz rację. Husley nie jest mi winien żadnych pieniędzy. On kogoś mi odebrał. Kogoś bardzo dla mnie ważnego.

– Twoją żonę – oznajmiła zamiast zapytać. Pokręciłem głową.

– Nieważne kogo. Posłuchaj, zrobimy tak: wrócimy do Kapsztadu, a potem popłyniemy statkiem za Husleyem. Zostawimy to miejsce, skoro tak cię przeraża. Zostawmy Karru.

Była to pojedyncza chwila niejasnego uniesienia. Jednak te nieprzemyślane słowa miały mnie w przyszłości drogo kosztować. Później wyjaśniałem to sobie w taki sposób, że zabierając z sobą Ninę, uzyskam pewność co do wyglądu Husleya i to mi ułatwi poszukiwania. Lecz w tamtym momencie jedyne, co się dla mnie liczyło, to jej rozmarzone spojrzenie. Nie chodziło mi o Clarissę, Karima Husleya czy cokolwiek innego. Czułem się tak, jakbym spełnił najskrytsze marzenia Niny o powrocie do domu i tylko to miało dla mnie znaczenie.

Muszę jednak przyznać sam przed sobą, że twarz Niny nie była jedyną, którą miałem przed oczami. Gdzieś tam kołatało się w głowie wspomnienie snu z udziałem pana Husleya, mężczyzny, którego nigdy nie widziałem w realnym świecie.

Trwało to zaledwie mgnienie, a potem oblicze dziewczyny odmieniło się, stało się na nowo srogie i nieprzystępne, przywracając mnie i moje myśli prawdziwemu światu. Odnosiłem wrażenie, że zaraz mnie odepchnie ze złością w oczach. Tak, jakbym miał przed sobą zupełnie inną, obcą osobę.

– Najpierw musimy wydostać się stąd – zauważyła ze złowrogim przekąsem, po czym wstała, dając sygnał, że czułości właśnie się skończyły.

Do Czcigodnego
Abu Ali Mansura Tariku al-Hakima,
zwanego bu Amr-Allahem,
kalifa kalifów, przywódcy Wieczystych,
Przedwiecznego syna Sechmet,
władcy Wszechświata

W imię Boga współczującego i wybaczącego,

jako że wypełniłam prośbę mi powierzoną, którą, o Czcigodny, złożyłeś na barki moje i odnalazłam Śmiertelnika, który jest Tobie drogi, wiedzona przezornością i mądrością właściwą Twojej córce i kochance, ślę list odpowiadający na wszelkie pytania, które w swej przenikliwości pragnąłbyś mi zadać.

Oto opis zdarzeń, które do tej pory miejsce miały. W przebraniu udałam się do Starożytnego Miasta, gdzie odszukałam łódź, zanim wyszła z portu i wszystko przygotowałam. Niewiele brakowało, a utracilibyśmy bezpowrotnie Clarissę. Niepostrzeżenie przemknęłam na pokład statku. Już pierwszej nocy

po wypłynięciu dwóch marynarzy usiłowało pozbyć się ciała. Głupcy myśleli, że się im to udało. Lecz nie mogłam ich puścić żywych, za dużo widzieli i wiedzieli. Dopilnowałam, aby łódź wraz z całą załogą pochłonął Przylądek Sztormów, ciało niewiasty zaś zabezpieczyłam do dalszego transportu. Śmiertelnik, zgodnie z wolą Twą, Panie, zostawił rodzoną siostrę na pastwę losu i sił, o których nie miał pojęcia, że istnieją. Clarissa Elthorn przemierza w momencie, gdy piszę te słowa, ocean i wkrótce ujrzysz ją na własne oczy. Doprawdy, wybrałeś wdzięczne naczynie dla Naszej Pani, o Czcigodny. Przyniesie to chwałę Wiernym, zdobędziemy pochwały, względy i hojną nagrodę. Od zepsucia chronią ciało potężne czary i naczynie to jest gotowe, aby zasiedliła je dusza Pradawnej.

Gdy zadbałam o ciało, następną rzeczą było doprowadzenie do spotkania z Niewiernym. Zdobyłam jego zaufanie do tego stopnia, że nie zadawał żadnych pytań. Powiodłam Niewiernego wzdłuż kotliny Karru tak, aby dać Tobie czas na podróż i wytchnienie od Anglika. Niestety, w Karru napotkaliśmy przeszkodę ze strony Dzikich z ludu Xan. Lud ten jest natury mrocznej, a przy tym posiada wiedzę o naszym pochodzeniu. Dalszy marsz przez kotlinę nie był możliwy. Stałby się przyczyną mej hańby oraz potępienia, moc bowiem w Dzikich jest silna i ma nad nami władzę. Powodowana koniecznością, aby zdążyć przed świętem Naszej Pani i w ten sposób zamknąć cykl Przemiany zgodnie ze Świętym Kalendarzem, usiłowałam plan wprowadzić w życie. Niestety, wypuszczenie skolopendry i ukąszenie Niewiernego zdało się na nic. O wiele więcej pomogło zbliżenie się do niego. Raczyłam się jego ustami, lecz nie czerpałam z tego wielkiej przyjemności ani nie piłam jego krwi.

Śmiertelnik nic nie podejrzewa, a hipnotyczną sugestią, którą nad nim roztoczyłeś, nie sposób poznać na pierwszy rzut oka. Jego nikczemną głowę wypełniają koszmarne sny, które za sprawą Twojej mocy, o Panie, będą go dręczyć w nieskończoność, aż stanie przed Twym obliczem. Ze snów tych Śmiertelnik nie zamierza mi się zwierzać albo też pamięć za dnia łagodnie się z nim obchodzi. Przebywamy aktualnie z powrotem w Kraju Przylądka, skąd za dwa dni mamy się udać w stronę Aleksandrii. Oby pan Elede nie zawiódł naszych nadziei i przygotował sarkofag do transportu.

Wracając do zdarzeń, które po dziś dzień były sekretem dzielonym między nami, czas jest właściwy, aby dokonało się to, co musi się dokonać. Niech ukkał ocenia, czy dobrze postąpiliśmy, czyniąc użytek z ciała Pani. Ta, która jest Okiem Re, Panią Zachodu, Królową Nieba, Władczynią Gwiazd, Złotą Boginią, Złotym Okiem, Panią Czerwonej Góry, Turkusową Panią, nagrodzi nas lub ukarze, niech spełni się więc Jej Wola. Jak Allah objawił księgę Mahometowi w jaskini Al-Hira za pośrednictwem anioła Dżibrila, tako my ujrzeliśmy w starożytnym mauzoleum Kaum asz-Szukafa prawdziwą postać Pradawnej i dzielimy się tą wiedzą poprzez sny. Teraz pozostaje jeno odnaleźć pieczęć, która jest Kluczem. Z pieczęcią i amuletem Re, którego pilnowała

wiedźma Xan otworzymy sarkofag, a następnie nakarmimy Panią krwią Niewiernych. Gdy zaś powstanie, zdradzi nam wszelkie sekrety, które sama posiadała, gdy zasypiała snem podobnym do śmierci. Wraz z Tobą, Mistrzu, przyzwiemy duchy i zaklniemy anioły, pojąc je krwią i jadem. Nasi wrogowie są przekonani, że poszukujemy sarkofagu Hathor – Sechmet z Dendery, nie mogą już zatem zaszkodzić naszej Misji. Jeśli tylko Elede spełni swą rolę, niedługo zdobędziemy ciało, które tak długo pozostawało poza naszym zasięgiem. Niech błogosławiony będzie dzień, gdy odkryliśmy sekret ukryty w Kaum asz-Szukafa.

Cały ten opis przekazuję przez Zaufanego, niczego umyślnie nie tając. Śmiertelnik nic nie podejrzewał w związku z moim zniknięciem na blisko dwie godziny – tyle bowiem zajęło mi odnalezienie mojego łącznika. Wyjaśniłam, że potrzebuję tego czasu na zakupienie stosownego ubrania, co Niewierny przyjął ze zrozumieniem i pokorą. Czuję, że wkrótce będzie moim niewolnikiem, powolnym woli mojej, a wtedy dokończę to, co Ty, Czcigodny, zacząłeś.

Żywię nadzieję, że relacja moja na coś się przyda i będę mogła w spokoju kontynuować swą misję, wiedząc, że między mną a Czcigodnym jest pokój i miłość, i przebaczenie, których tak gorąco pragnę.

Już niedługo, Ukochany, spotkamy się ponownie tam, gdzie znalazłeś mnie tyle lat temu, wyciągając z ciemności Świątyni. Szukałam w niej zapomnienia, w smutku, który wypełnił me ciało wraz z chwilą, kiedy nie okazałam się godna Twojej łaski. Lecz wtedy spłynęła na mnie jasność wielkiego przebaczenia i raz jeszcze przytulileś mnie do swego serca. Oby Allah utrzymał Cię w zdrowiu i dał wszelkie przymioty ducha, potrzebne w wypełnieniu naszej Świętej misji.

Wierna służebnica Czcigodnego
niegodna światłości Pradawnej Sechmet,
Khalud Kora

P.S.: Jesteś pewny, że pieczęć z Dendery będzie pasować do naszego sarkofagu? Wiadomo mi, że utworzono kilka sarkofagów, opierając się jedynie na opisie i skradzionej z Dendery pieczęci, lecz czy są one na pewno takie same? Cały czas budzi to moją wątpliwość. Obyśmy nie utknęli przez zbytnią pewność siebie. Bez właściwej pieczęci wszystko obróci się w niwecz.

Z pamiętnika Thomasa Elthorna
notatka sporządzona 28 czerwca

Z Kapsztadu wyszliśmy 24 maja, kierując się drogą morską w stronę Aleksandrii. Powitały nas zaskakująco spokojne jak na Przylądek Sztormów wody. Jak już wcześniej wspomniałem, martwiła mnie od jakiegoś czasu

finansowa strona wyprawy. Na szczęście wiedziałem, że w Aleksandrii skontaktuję się ze starym przyjacielem ojca, kapitanem Abrahamem Bixbym, obecnie wysoko postawionym pracownikiem konsulatu. Bixby miał pomóc mi zgromadzić fundusze na dalsze poszukiwania, pomóc w wymianie waluty i wprowadzić w sytuację panującą w kraju. Byłem zarazem przekonany, że zdobędzie dla mnie mapy potrzebne do odnalezienia Birkasz.

Parowiec „Cromwell” był luksusowo wyposażony. Pomieszczenia reprezentacyjne wyłożono orzechową boazerią i czerwonym sukniem w kratę. Aby nie prowokować niepotrzebnych plotek, Nina przebrała się w muzułmańską abaję i przybrała imię Si Abdullah Saddi, podając za tunezyjskiego znawcę Koranu, w podróży do Aleksandrii. Nigdy poza własną kajutą nie zdejmowała z głowy związanej agajem kefiji, dodatkowo wiążąc w niej szyję tak, aby nikt nie mógł rozpoznać, że jest w rzeczywistości kobietą, a nie urodziwym młodzieńcem. Na szczęście dla niej, prawdziwi wyznawcy islamu powstrzymywali się od podróży, w czasie przypadającym na post. Panna Dubois i ja wynajęliśmy osobne kajuty i pomimo pewnego napięcia między nami, nie wracaliśmy do wcześniejszych wydarzeń.

Nie doszło do zbliżenia ani choćby powtórzenia czułości, które zdarzyły się wcześniej. Być może tak było lepiej. Nie potrzebowałem dodatkowo komplikować sobie życia ani wikłać w przelotny romans, tym bardziej z typem kobiety, którą w każdym innych okolicznościach omijałbym szerokim łukiem. Jednak nie ukrywam, że coś ciągnęło mnie do Niny w sposób, który nie do końca pojmowałem. Zachowywała się na przemian zimno i wylewnie, raz tryskała emocjami, aby po chwili przemienić w sopel lodu. Wysyłała sprzeczne sygnały, co w gruncie rzeczy zawsze intrygowało mnie w kobietach.

Dręczyły mnie nadal złe sny, lecz nie zwierzałem się z nich, nie wiedząc, na ile mogę zaufać tej osobliwej i, w gruncie rzeczy, obcej kobiecie. Wiele spraw z jej życiorysu zastanawiało mnie. Tajemniczy kochanek, przejście na islam, historia z fanatycznym zabójcą i wreszcie okoliczności naszego spotkania. Także to, co wydarzyło się wcześniej, groźby dzikich pod jej adresem, nawet ogromna wiedza, jaką posiadała na temat języka Buszmenów i samych dzikich, wszystko to budziło aż nazbyt wiele wątpliwości. Ale czy przypadkiem Nina nie myślała podobnie o mnie?

Kapitana statku widziałem jedynie przelotnie, gdy wpatrywał się w Atlantyckie ze swojego mostka. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wydał mi się ze wszech miar antypatyczny i wyniosły, a jego brzydka twarz i chorobliwa, ospowata cera przywodziły mi na myśl suchotnika albo alkoholika.

Trzeciego dnia okazało się, że w kole napędowym pękła łopata i prędkość miała w najbliższym czasie spaść do około sześciu węzłów. Możliwa była naprawa, lecz do tego czasu byliśmy skazani na żółwie tempo. Wiązało się to

niestety także z koniecznością dłuższego postoju w najbliższym porcie. Wspólnie z panną Dubois postanowiliśmy rozejrzeć się za innym okrętem płynącym w kierunku Aleksandrii. Na szczęście naprawa okazała się całkiem prosta, a uszkodzenie łopatki mniej poważne, niż na początku sądzono. Po usunięciu usterki prędkość ponownie wzrosła.

W mniej więcej drugim tygodniu rejsu miało miejsce wydarzenie, które w sposób zasadniczy zmieniło moje relacje z panną Dubois. Wracalem właśnie z restauracji, w głowie szumiało mi porto, które tam wypilem, aby poprawić sobie nastrój. Wnętrze mojej kajuty wypełniało miękkie światło świec, co zauważyłem jeszcze na zewnątrz, spozierając w okrągły bulaj. Kiedy zaś otworzyłem drzwi kluczem, zdałem sobie sprawę, co się tam dzieje i wprost drgnąłem z przejęcia. Poczulem, jak krew zaczyna żywiej pulsować. Blask świec, ustawionych w prawie każdym kącie pomieszczenia, padał na błyszczące, śniade ciało. Nie bez powodu wspominam ciało, choć kobieta była przytomna, a głowę w białej kefiji oparła na dłoni, z kolei zgięty łokieć kładąc na poduszce. Jej twarz okrywał nikab i widziałem jedynie oczy, posyłające w moim kierunku nieme zaproszenie. Wiedziałem, że to ona. Jej migoczące w blasku świec źrenice powiedziały mi resztę, śmiejąc do mnie zaczepnie. Spojrzałem, usiłując ogarnąć wzrokiem jej smukłą sylwetkę. Sutki dziewczyny malowały się ciemne i sterczące na środku drobnych, ledwie zaznaczonych piersi. Była nieogolona pod pachami, a i pod kształtnym, umięśnionym brzuchem wyraźnie rysował się ciemny trójkąt. Z jakiegoś nieznanego powodu wzmogło to jedynie moje podniecenie.

– Salam Alejkum, Si Saadi. – Uśmiechnąłem się, składając razem ręce jak wyznawca islamu do modlitwy albo dziękczynienia.

– Salam alejkum al. Salam warahmat Allan wa bakaratu – odparła, bez cienia akcentu.

Postanowiłem podjąć rzucone jej bezczelnym zachowaniem i bluźnierczymi słowami wyzwanie oraz bawić się chwilą, choć nie nawykłem do podobnej ekstrawagancji.

– Obraziłabyś wielu wyznawców Koranu takim zachowaniem. Chcieliby twojej śmierci. Tym razem w męczarniach.

– Za mój wygląd, czy uprawianie miłości przed zachodem słońca?

– I za jedno, i za drugie. I jeszcze przez kilka innych rzeczy.

– Na szczęście ich tu nie ma, a słońce niedługo zajdzie. – Usłyszałem spod maski, a po chwili rozległ się nieprzyzwoity chichot. – Za to jesteś ty. Czy także chcesz moich męczarni? Jeśli nie, chodź tu do mnie, Angliku. Nasyć się mną. Ramadan Karim.

4. PIECZĘĆ

Zapiski Luciena Magona z kairskiego Muzeum Starożytności, dotyczące wypadków w drodze do Kairu.
Część pierwsza

Z uwagi na moje obecne położenie i okoliczności z tym związane postanowiłem prowadzić dziennik, który posłużyć mi może w przyszłości jako źródło dowodów odnoszących się do wydarzeń, w jakich biorę udział. Czynię tak, aby zabezpieczyć się od pomówień, które uniemożliwić mogą moją dalszą naukową karierę. Innym powodem jest chęć opisanie zdarzeń, mających miejsce po zakończeniu wyprawy Lepsiususa. Miałem przyjemność i zaszczyt uczestniczyć w tejże ekspedycji. Nazywam się Lucien Magon i jestem, a raczej byłem, najmłodszym pracownikiem kairskiego Muzeum Starożytności w Bulak. Zdaję sobie sprawę, że pozycja, w której się znajduję oraz moje dość osobliwe wyjaśnienia, mogą potencjalnemu Czytelnikowi utrudnić obiektywne podejście do mojej relacji. Żywię wszelako przemożną nadzieję, że napotkam osobę bądź osoby skłonne przeanalizować w sposób pozbawiony emocji to, co opiszę. Ktoś powinien z całą pewnością podjąć stosowne działania, mające na celu powiązanie historii przeze mnie przedstawionej z resztą dokumentacji. A zatem z zeznaniami konduktora i innych członków załogi pociągu, z notatkami i obszerną dokumentacją doktora Basharti, w szczególności zaś z pamiętnikiem pana Thomasa Elthorna, który także uczestniczył w opisanych przeze mnie wypadkach. Pamiętnika nigdy nie widziałem na oczy, wiem jednak, że takowy istnieje i potwierdza moją wersję zdarzeń, i to w całej rozciągłości.

Władze wspomniały o ataku grupy wrogich Beduinów i rozlewie krwi, o panice wśród pasażerów, a także wypadku ze zwierzętami przewożonymi w pociągu. I to wszystko jest prawdą. Lecz zatajono inne ważne zdarzenia, dużo bardziej osobliwej natury. Właśnie te, niniejszym oświadczeniem, zamierzam ujawnić.

Jak wspomniałem we wstępie, byłem członkiem ekspedycji do Górnego Egiptu, zorganizowanej pod kierownictwem słynnego pruskiego egiptologa, Karla Richarda Lepsiususa. Tylko ja reprezentowałem muzeum, a mój udział możliwy był jedynie za sprawą listu polecającego od dyrektora Muzeum, Auguste'a Mariette'a. Nie miałem złudzeń. Nie zostałem wybrany ze względu na osiągnięcia. Znałem język niemiecki, zaś z racji małego doświadczenia i wieku nie stanowiłem dla moich przełożonych żadnego zagrożenia. Wiedziałem, dlaczego dyrektor postawił właśnie na mnie. Moja rola polegała głównie na pilnowaniu Prusaków. Mariette od początku nie wierzył w ich dobre intencje i określał często „wandalami archeologii”. Z kolei Prusacy

pozostawiali mi wyłącznie nudne kwestie organizacyjne, którymi sami nie zamierzali się zajmować, jak zaopatrzenie czy transport.

Wyprawa zmierzała do Suez, lecz dotarła zaledwie do wschodniej części delty Nilu. W tym czasie Prusy znalazły się w stanie wojny z Austrią. To był koniec. Stałem przed trudnym wyborem. Mogłem wrócić do Kairu, nie osiągnąwszy nic, bo wszystkie odkrycia (w tym najsłynniejsze, dotyczące steli z Kanapos) Prusacy przypisałiby sobie. Pewnie tak właśnie bym uczynił, ratując resztkę własnej godności, ale, no właśnie, ale...

Przypadkiem natrafiłem na pewien, pozał się Boże, pchli targ, w jednym z licznych, sueskich portów. Podejrzanie wyglądający żydowski handlarz oferował tam masę bibelotów, lecz pomiędzy nimi wyłowilem coś naprawdę niezwykłego. Kupionym przeze mnie przedmiotem była niewielka, okrągła pieczęć. Sprzedawca zachwalał dysk jako rzecz rzekomo wielkiej wagi, lecz, prawdę mówiąc, podobnie wyrażał się także o reszcie swoich bezwartościowych suwenirów. Pieczęć wzbudziła moje zainteresowanie dość osobliwą inskrypcją, wykonaną w języku koptyjskim. Brzmiała ona „Dendera” i była, moim zdaniem, formą wtórnego wandalizmu, bowiem sama pieczęć, sądząc z przedstawień wyrytych na niej, należała do czasów znacznie odleglejszych, być może poprzedzających nawet Stare Państwo.

Jeśli się nie pomyliłem, była to słynna Pieczęć z Dendery, której znalezienie równało się być może odkryciom największych tajemnic Górnego Egiptu.

Długo zastanawiałem się, co dalej. Gdybym pokazał mój przedmiot Mariette’owi, wynik mógł być dwojaki. Albo odsunąłby mnie od badań, albo, co gorsza, zbagatelizowałby znalezisko. Żadna z możliwości nie wydawała mi się do przyjęcia.

Koniec końców postanowiłem wykorzystać położenie, w którym się znalazłem. Kto, jak nie ja, odpowiadał za opiekę nad Prusakami? Moim zadaniem było dostarczyć ich bezpiecznie do Aleksandrii, skąd planowali wypłynąć w drogę powrotną. To dałoby mi czas, aby poprosić pana Karla Lepsiususa o szczegółową ekspertyzę dysku. To zarazem pozwoliło na dokładne przemyślenie ekspedycji. Następnie, co przyznaję z lekką dozą zmieszania, zamierzałem urwać się gdzieś w Aleksandrii tak, aby Mariette nic nie podejrzewał. Postanowiłem wymyślić jakąś historyjkę o porwaniu przez Beduinów, która tłumaczyłaby moje tak długie zniknięcie. Byłem gotowy na kłamstwa. Wszystko w imię nauki i ambicji.

Gdy pokazałem znalezisko panu Lepsiusowi, potwierdził moje przypuszczenia na temat tego, że pieczęć może być wyjątkowa. Wiele można było mówić na temat trudnego charakteru Karla Lepsiususa. Był ekscentrykiem i opętańcem, despotą, który z dużą dozą sceptycyzmu podchodził do dokonań swoich kolegów po fachu, lecz własne badania traktował dość jednostronnie i nie potrafił odnosić się do nich z choćby odrobiną dystansu. Jednocześnie jednak jego wiedza robiła niewiarygodne wprost wrażenie. Analityczny

charakter słynnego egiptologa sprawiał, że mimo skłonności do egocentryzmu Lepsius nie pozwalał sobie na naiwne wnioski. Był naukowcem doskonałym, czerpiącym ile się da z wiedzy i długoletniego doświadczenia. Jeśli czegokolwiek się od niego nauczyłem, to drobiazgowości. Carl Lepsius traktował każde znalezisko z należną mu uwagą, nieważne jakich było rozmiarów, czy z którego okresu pochodziło.

Świątynia Hathor, czy też Sechemet w Denderze, była owiana legendą. Wiedziałem na ten temat sporo z opowieści dyrektora Mariette'a, który przebadał dokładnie wszystkie dostępne sale. Miasto było pradawnym ośrodkiem kultu, znanym już w okresie Starego Państwa. Utraciło ono w toku egipskich dziejów swoje znaczenie, aż w okresie ptolemejskim odrestaurowano Denderę i znacznie ją rozbudowano. Podejrzewam, że to właśnie z tych czasów pochodziła inskrypcja na mojej pieczęci.

Lepsius nie podejrzewał, ile wiem. Nie miał też na mój temat zbyt dobrego zdania. Przez praktycznie całą wyprawę traktował mnie niczym tanią siłą roboczą. Z drugiej strony, nie dziwię mu się. Czy podjąłby próbę odebrania mi mojego skarbu, gdyby nie konieczność rychłego wyjazdu? Doprawdy, nie wiem. I nie ma to dla mnie większego znaczenia.

Domyślałem się, z której części świątyni może pochodzić dysk. Mariette podzielił się dokładniejszymi wynikami swojej pracy z zaledwie kilkoma osobami z grona pracowników muzeum, pragnąc zostawić publikację badań na ten temat na przyszłe lata. Muszę z przyjemnością powiedzieć, że w tej grupie byłem i ja.

Jedno z pomieszczeń, które badał Mariette, wzbudziło jego konsternację. Miało wymiary 4 na 1 jarda. Jedyne przejście prowadziło przez wąski otwór przypominający dziurę wykopaną pazurami psa. Pomieszczenie było niskie, duszne i wypełnione wonią zaschniętego moczu. Czytałem uwagi Mariette'a na temat wyglądu komory:

Na ścianach dostrzegamy postaci ludzkie, tuż obok pęcherzowatego kształtu przedmiotów, przypominających niesłychanej wielkości bańki.

Wewnątrz tych, „baniek” znajdują się faliste węże. Ich zwężające się końce prowadzą do kwiatu lotosu, który nawet bez specjalnego wysiłku wyobraźni można zinterpretować jako oprawkę bańki.

Coś niby kabel prowadzi do skrzynki, na której klęczy bóg powietrza. Bezpośrednio obok, jako symbol siły, stoi dwuramienny „filar dźeł”, w postaci pionowego słupa z czterema równoległymi, poziomymi belkami w górnej części, interpretowany jako kręgosłup Ozyrysa. Z jednej strony filar również łączy się z wężem.

Uwagę zwraca podobny do pawiana demon z dwoma nożami w dłoniach, które interpretuje się jako ochronną i strzegącą moc. Pośrodku pomieszczenia kamienny sarkofag czy może ołtarz, wymiaru 0,5 na 2 m, pozbawiony w przeważającej części ozdób, czy możliwości manipulacji w celu otwarcia. Jedyne ozdoba – przedstawienie głowy Byka – Apisa w centralnej części, budzi moją konsternację.

Głowie brakuje złotej tarczy słonecznej nad głową, pierwotnie powinna ona być osadzona między rogami. Moim zdaniem, pośrodku winna znajdować się pieczęć o promieniu trzech cali francuskich, powiązana z sarkofagiem miniaturowym wizerunkiem filaru dżed, przebiegającym przez całą powierzchnię dysku i sarkofag.

Odcisk rewersu pieczęci na samym sarkofagu pokazuje, że dysk zawiera wizerunek snopu księżycy, podobny do tego z cmentarzyska świętych byków Apisów w Sarapeum, w którego środku wryta jest gwiazda Starszych Bogów, płonące oko węża w środku ognistego pentakla.

Mariette był bezradny wobec reliefu, który ujrzał w ciasnym, nieoświetlonym pomieszczeniu, podobnie rzecz miała się wobec sarkofagu oraz ołtarza. Wspominał coś o „pomieszczeniu kultowym” czy „pomieszczeniu do przechowywania przedmiotów kultowych”, wreszcie „archiwum”. Lecz spójrzmy na fakty. Dlaczego do środka można było się dostać jedynie przez niewielką dziurę? Również z przedstawieniami na ścianach dyrektor nie umiał sobie do końca poradzić.

Dysk, który posiadałem, pasował do opisu zaginionej pieczęci. Co jednak robiły tam byki – Apisy, powiązane raczej z Ptahem? Cóż, na to można było znaleźć odpowiedź u historyków greckich. Plutarch pisze, iż święty byk nie został powołany do życia w sposób naturalny, lecz przez promień, który przyszedł z nieba, od Starszych Bogów. Tego rodzaju poglądy znalazły swoje potwierdzenie na jednej ze stel, które Auguste Mariette znalazł w Sarapeum. Na temat Apisa było tam napisane: „Nie masz ojca, zostałeś stworzony przez Niebo.” Również Herodot cytował taki przekaz:

„Egipcjanie mówią, że promień z nieba spływa na krowę i z tego rodzi ona Apisa.”

Krowa z dyskiem słonecznym nad głową od zawsze symbolizowała boginię Hathor.

* * *

Gdy dotarliśmy do Aleksandrii, miało miejsce pewne osobliwe zdarzenie. Otóż otrzymałem depezę. Przyniósł ją pewien chudy, nubijski chłopiec. Nadawcą telegramu był Mariette, a treść wprowadziła mnie w zakłopotanie. Poprzedniego wieczoru urządzono imprezę pożegnalną, a ilość schnappsów, które zmuszony byłem wypić, powaliłaby konia, to jednakże nie tłumaczy, dlaczego tak bezkrytycznie podszedłem do telegramu zamiast coś podejrzewać.

WRACAJ NATYCHMIAST DO KAIRU [STOP] WIEM O PIECZĘCI [STOP] GRATULUJĘ SUKCESU [STOP] DO ZOBACZENIA [STOP] MARIETTE [STOP]

Depezę dostarczono w dzień, gdy Prusacy wypływali, więc od razu, nie czekając, skierowałem swoje, jak myślałem wtedy, uzasadnione pretensje pod adresem kierownika załogi. Była to wszakże jedyna osoba, która mogła

powiadomić Auguste'a Mariette'a o moim znalezisku. Staralem się możliwie delikatnie wypytać dyrektora pruskiej wyprawy. Niestety, nie byłem nigdy dobrym dyplomatą. Oczywiście, jak mogłem się spodziewać, Lepsius zaprzeczył, jakoby informował dyrektora o moich poczynaniach czy planach i wydawał się szczerze dotknięty moimi, jak to określił, „insynuacjami”. Wyraził jednak wielkie zaniepokojenie faktem, że otrzymałem telegram. No bo jeśli nie on, kto mógł donieść Mariette'owi, co zamierzam? Z drugiej strony Lepsius nie miał interesu w donoszeniu na mnie. Nie musiał zachowywać lojalności wobec dyrektora, co więcej, czułem podświadomie, że chętnie zagrałby Mariette'owi na nosie. No i jeszcze jedna sprawa. Nubijczyk znalazł mnie w hotelu, w którym wynajęliśmy pokoje na ostatnią noc. Nikt, nawet my, nie miał jeszcze do wczoraj pojęcia, że tam będziemy. Jestem tego pewny, jako że sam zajmowałem się rezerwacją.

Chłopak, który dostarczył wiadomość, zniknął, zanim w ogóle mogłem zareagować. Widziałem go przelotnie w hotelowym hallu. Drobny, chudy chłopaczek z zabrudzonym fezem, ubrany w poplamione spodenki i bez butów na stopach.

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru byłem gotowy do drogi. Pociąg odjeżdżał z dworca Nadmorskiego, którego różowy budynek zdawał się tak nagrзany, że od ścian biło ciepło. Słońce chyliło się już za horyzontem, lecz jego dysk nadal górował nad miastem, czerwony niczym krew i wino. Kończył się Ramadan, co było widoczne na ulicach i przed bramami świątyni, gdzie gromadzili się miejscowi. Peron wypełniały tłok i duchota. Pod pachami i na klatce piersiowej czułem wilgoć, a moją koszulę pokrywały mokre ślady potu. Czekałem jak kołek na pracownika hotelu, który miał dostarczyć bagaże. Czułem się źle, wypity alkohol sprawił, że gorzej znosiłem wysoką temperaturę. Pociłem się jak świnia i miałem przeświadczenie, że mój oddech jest kwaśny i cuchnie.

Nawet bliskość lazurowego morza i obecność wysokich palm nie podnosiła mnie na duchu. W myślach przeklinałem Mariette'a, choć w duchu coś mnie ostrzegało. Niepokoił mnie ton depezy, a raczej jej osobliwy optymizm. Pierwszy raz zetknąłem się z taką wylewnością dyrektora, który w innych okolicznościach najpierw osobiście przebadalby dysk, a potem dopiero gratulował. Widać w tym było rękę Lepsiusa. To było jedyne możliwe i logiczne wytłumaczenie, które przyjmowałem pomimo zapewnień Prusaka, że nie miał z tym nic wspólnego. To jednak nie wyjaśniało nastawienia dyrektora, po którym spodziewałem się raczej, że całkiem mnie odsunie od sprawy. Zresztą, może faktycznie taki miał zamiar. Musiał mnie wszakże najpierw zachęcić do powrotu do Kairu.

Dworzec ogarnięty był przez tłum i parę unosząca się dokoła niczym mgła nad jakimś europejskim krajem. Kalejdoskop powłóczystych szat, kapeluszy, fezów, turbanów i kefiji wypełniał przestrzeń dworca. Pod butami chrzęścił piasek, a do ubrań i ławek, ustawionych rzędami, przywarł kurz. Wkoło roilo się od dorożek, służący wykrzykiwali komendy w przynajmniej czterech językach albo pchali się z bagażami wielkości małych szaf. Za nimi sunęli turyści poprzebierani w przewiewne ubrania z lnu i słomiane kapelusze. Angielski mieszał się z francuskim i niemieckim, nad głowami wznosiły się nieprzynoszące za dużo pożytku koronkowe parasole. Z tyłu dostrzegłem zwierzęta w klatkach i równie pochyłe, prowadzące do nieco większych niż pozostałe, dość nietypowo moim zdaniem zaprojektowanych wagonów transportowych. Tragarze wprowadzali do środka biedne, zamknięte stworzenia. Wśród okrzyków i porykiwania, popychając, ciągnąc bądź niosąc klatki, stali się dla wszystkich okazją do widowiska. Z tyłu głośno zahuczał słoń, czemu odpowiedział z kolei przerażony głos innego zwierzęcia, zdaje się, że małpy.

Przelotnie dostrzegłem osobliwą parę: wysokiego, kościstego gentlemana, z wyglądu Anglika, który szedł, pomagając sobie laską i wyraźnie utykał oraz sunącą za nim jak cień drugą postać, drobnego Beduina ubranego w ciemny burnus. Na głowie Araba dostrzegłem kefiję, a jego twarz była zakryta przez luźno opadający materiał. Spod maski wyzierały zagadkowo zmrużone oczy. Przez moment drgnąłem, a wtedy Arab odpowiedział na moje spojrzenie. Cóż to były za oczy! Błyszczące, bezczelnie roześmiane, a przy tym posiadające ten osobliwy, migdałowy wykrój, przez który czarne tęczęwki sprawiały wrażenie zatopionych w szkle szlachetnych kamieni. Beduin stanął tuż przede mną, a ja nie byłem w stanie oderwać spojrzenia od oczu, dopóki nie przykrył ich najdłuższymi i najciemniejszymi rzęsami, jakie widziałem u mężczyzny. Z tyłu, za nim, przechodzili cudzoziemcy, trącąc nieznanego łokciami i napominając go raz po raz, żeby się ruszył. Także brytyjski towarzysz Beduina odwrócił się nagle i warknął w swoim języku:

– Saadi, na co czekasz? Spóźnimy się.

Dopiero wtedy postać odwróciła się i delikatnie kiwnęła głową.

Poczułem, że tracę równowagę. Coś z wielką siłą naparło na moje plecy, niemal powaliło na ziemię.

– Proszę pokornie o wybaczenie! – Usłyszałem, zanim odwróciłem się i ujrzałem ogromnych rozmiarów mężczyznę w jednorzędowej marynarce i z melonikiem na siwej głowie. Te dwa szczegóły od razu rzuciły mi się w oczy, lecz osobliwości było znacznie więcej! Nieznajomy, który przypadkiem musiał mnie popchnąć, mówił po francusku, co stanowiło dla mnie niejaką zagadkę. Słowo „pokornie” w ogóle nie pasowało do jego postury, podobnie jak melodyjny francuski, brzmiący w jego ustach jak jakiś zupełnie nowy język. Osobliwy był wreszcie czarujący uśmiech, którym mnie obdarzył. Za plecami

mężczyzny stało kilku biało odzianych Beduinów, ich puste, brodate oblicza wydawały się znamionować wielkie okrucieństwo i szyderstwo nieznane Europejczykom.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny. – Obcy mężczyzna wyciągnął dłoń, a ja skierowałem wzrok w kierunku jego opalonej twarzy, w której błyszcząły niesamowite, błękitne oczy o tak intensywnym kolorze, jak niebo nad naszymi głowami. – Popchnąłem pana niechcący.

– To moja wina – przyznałem, przyjmując rękę. – I to ja winny jestem panu przeprosiny.

– Nazywam się Khariusz. – Skłonił głowę, składając dłonie jak do modlitwy, a ja dostrzegłem mimochodem wężowisko blizn pokrywających jego prawy i lewy policzek. Ciemna opalenizna dodatkowo potęgowała efekt, jaki dawały jasne plamy naruszonej starymi bliznami skóry. Mężczyzna usiłował zamaskować ślady subtelnie przyciętą czarną brodą, która zdobiła szeroką, męsko zarysowaną szczękę, silnie przy tym kontrastując z siwymi włosami i brwiami. – Może jestem w stanie w czymś pomóc?

Rozejrzałem się.

– Służący miał przynieść moje bagaże. Nosił marynarkę hotelową... – zauważyłem z obawą. Mężczyzna stojący przede mną napawał mnie bowiem niezwykłym rodzajem niepokoju. Stąd kolejne pytanie zadałem z pewnym wahaniem: – Widział go pan może? Posłałem go po nie dobre dziesięć minut temu...

Obrócił lekko twarz, opuszczając powieki z wrodzoną nonszalancją osoby wysoko urodzonej i obdarzonej władzą. Usiłowałem odgadnąć jego wiek, lecz napotkałem na trudność. Oszacowałem go na jakieś czterdzieści lat pomimo przedwczesnej siwizny wywołanej być może jakimiś ciężkimi, ba, może nawet traumatycznymi przeżyciami.

– Szuka pan służącego? Cóż, jest tu wielu służących. Mówił po francusku?

Pokręciłem przecząco głową.

– Mój nosił mundur Hotelu Europa – odpowiedziałem. – Wie pan, jak taki mundur wygląda? Brązowa kurtka? Tarcza na lewej klapie?

Tym razem to on zaprzeczył, z właściwym sobie delikatnym, jakby sennym uśmiechem. Białe zęby błysnęły na tle smagłej skóry.

– Przykro mi. – Skłonił się raz jeszcze, po czym skinął na służących. Twarz mu natychmiast stwardniała, a słowa wypowiedziane do mężczyzny przypominały warczenie. Widziałem już podobne zachowanie u niejednego obcokrajowca. Szarmanccy i robiący wielkie wrażenie manierami, przemieniali się w zawzięte bestie, gdy szło o wydawanie poleceń służbie. Czy jednak mężczyzna naprawdę był Europejczykiem? Jego akcent niczego nie zdradzał, był to niemalże doskonały pokaz francuskiego. Z kolei śniady kolor skóry mógł być wynikiem długich lat spędzonych w Afryce, a i rysy twarzy nie

wskazywały konkretnego typu. Nieznajomy stanowił dla mnie zagadkę, podobnie jak nic nieznaczące imię.

Jego Beduini przepuścili Khariusza, mierząc mnie odpychającym wzrokiem. Cóż miałem uczynić? Zacząłem się rozglądać, jednocześnie kładąc dłoń na specjalnie wszytej w marynarkę kieszeni, która mieściła pieczęć z Dendery, jak w myślach ją nazywałem.

Podjąłem walkę z tłumem. Sunąc pod prąd i zwalczając atakujące mnie zewsząd łokcie, znalazłem się nagle wciągnięty w pusty przedsionek, ocieniony przez okna z koronkowymi okiennicami sporządzonymi z drewna. Dalej dostrzegłem korytarz. Oświetlał go rząd kolejnych okien, przesłoniętych trzcinowymi zasłonami. Usłyszałem nieśmiało podrygujące moskitiery. Tuż za koronkową zasłoną tętnił gwar dworca, lecz tutaj panował wieczny zmrok i zagadkowa cisza.

Zauważyłem, że pomieszczenie jest puste, lecz płyty tworzące posadzkę przecina jakiś niewyraźny kształt, którego cień padał także na ścianę. Dopiero po chwili, gdy rozpoznałem kurtkę, dotarło do mnie, że to musi być ciało mojego służącego.

Zbliżyłem się, usiłując opanować drzenie rąk. Kiedy jednak go odwróciłem, dygotanie powróciło, a ja całkowicie zamarłem. To zaiste był mój boy hotelowy z Europy, Nahib, choć w jego przypadku określenie „boy” nie do końca pasowało, zważywszy wiek. Nic nie mogło mnie przygotować na szok, jaki przeżyłem. Otóż służący dobiegał czterdziestki, owszem, lecz jego włosy powinny być czarne, tak, jak zapamiętałem i zaledwie poprzetykane siwizną, gdy tymczasem w ciągu paru chwil stały się białe niczym śnieg. Także oczy, przeraźliwie wytrzeszczone i wychodzące z orbit, oraz otwarte jakby do krzyku usta, wreszcie odsłonięte zęby, zdawały się być symptomami jakichś gwałtownych przeżyć, które stały się udziałem biedaka na chwilę przed śmiercią. Przycisnąłem dłonią usta, aby powstrzymać krzyk. I wtedy zobaczyłem, że nie jestem tutaj sam. Ktoś stał, oparty o przeciwległą ścianę. Był postury dwunastolatka, lecz pod skórą przeżyły się złowrogo mięśnie, a żółte białka oczu kipiały nienawiścią.

W mroku, dobrych sześć jardów przede mną, lśniła czarna, naoliwiona skóra, błysnął też zakrwawiony kindżał trzymany w dłoni. Wargi nieznanego mi chłopca rozchyliły się, odsłaniając spiłowane w stożki zęby.

Napastnik warknął coś niezrozumiale i runął na mnie z szybkością wyścigowego psa. Odskoczyłem, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Byłem zupełnie otępiąły ze strachu i nie potrafiłem zareagować inaczej, jak odsuwając się. Bose stopy napastnika klaskały złowrogo o posadzkę, a ja runąłem do tyłu, padając na plecy. Nie przestawałem uciekać. Cofałem się powolnym ruchem kraba, porażony paniką, lecz nie potrafiłem odpowiedzieć na atak. W momencie jednak, gdy po przebiegnięciu dobrych czterech jardów czarnoskóry wzbil się w powietrze, rozległ się huk.

Napastnik drgnął. Zdołał jeszcze wymierzyć cios swoim zakrzywionym ostrzem. Celował pod pachę, a kindżał zagłębił się w moją marynarkę, szukając ciała. Sądziłem, że już po mnie i miałem wrażenie, że zaraz zemdleję. Prawie natychmiast stwierdziłem, że ból nie przychodzi. Kula musiała trafić w mojego napastnika. I znowu rozległ się huk, tym razem pocisk podrzucił ofiarę i zwałił ją z nóg. Nagie zwłoki czarnego zwały się z silnym młasnieniem na ziemię i znieruchomiały.

Odwróciłem się w poszukiwaniu obrońcy, lecz w tym samym momencie do środka wpadł zdyszany konduktor – wąsaty, spocony mężczyzna o wyglądzie typowego Egipcjanina. Zaczął coś wrzeszczeć po arabsku, zasłaniając mężczyznę z bronią. Znam arabski, lecz na pewno nie biegle, a krzyki bynajmniej mi nie pomagały. Za nim stali gapie w powłóczyściach szatach, rzucając groźnie brzmiące i, niestety, całkiem niezrozumiałe słowa. Po chwili pomieszczenie całkowicie wypełnił harmider. W oparach śmierdzącego prochem dymu dostrzegłem, jak kilku mężczyzn rzuca się w stronę uzbrojonego w rewolwer nieznajomego w ubraniu Europejczyka, usiłując mu wyrwać broń. Mężczyzna wznosił dłonie w obronnym geście, lecz nie puścił pukawki ani ściskanej w drugim ręku laski. Zacięta kłótnia przerodziła się w szamotaninę. Rozległ się krzyk pełen wściekłości. Zaczęła się gwałtowna bójka z udziałem brudnych fellachów. Mężczyzna początkowo oganiał się laską, lecz prędko wyrwano ją i połamano na kawałki. Pozostała jeszcze pukawka, którą wznosił wysoko nad głowę, aby jej nie utracić. Na próżno. Po chwili przepychanek był już rozbrojony. Usłyszałem cedzone po angielsku przekleństwa, a następnie wszyscy zwalili się na mojego wybawiciela. Przez moment mignęła mi jego koścista twarz i szpakowate włosy i już wiedziałem, że to ten sam Anglik, którego widziałem wcześniej w towarzystwie Beduina. Rzuciłem się w kierunku konduktora, usiłując wyjaśnić sytuację, lecz najwidoczniej słabo znał francuski i w ogóle nie mówił po angielsku. Wnosiłem, że wzywa na pomoc wojsko, gdy tymczasem pozostali przytrzymywali człowieka, który ocalił mi życie. Mężczyzna nie walczył już z nimi, dobrze zdając sobie sprawę, że nie ma szans przeciw takiej gromadzie cywili.

Z przyzwyczajenia dotknąłem klapy w marynarce i ze zdziwieniem zauważyłem brak pieczęci. Obmacałem sekretną kieszeń, odkrywając, że została sprawnie rozcięta, zapewne przez ostrze młodego murzyna. Obróciłem się błyskawicznie, lecz ciało czarnoskórego zabójcy zniknęło, została jedynie plama krwi na posadzce. Zacząłem krzyczeć po arabsku na konduktora, lecz chwilę mi zabrało, nim w ogóle zwróciłem na siebie uwagę. Do tego momentu zamieszanie tylko narosło i gdyby nie pojawienie się wysokiego mężczyzny w meloniku, może i ja zostałbym zaaresztowany.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał łamaną francuszczyzną, a po chwili powtórzył zdaje się to samo pytanie do konduktora. Odpowiedziało mu

gniewne parsknięcie, lecz niezrażony tym Khariusz kontynuował. W jego ustach pojawiły się słowa „Ismail” i „kedyw” i krótko po tym surowe oblicze konduktora wygładziło się. Khariusz stał blisko mnie.

– Co pan mu powiedział? – zapytałem roztrzęsionym głosem. Czułem oblewający mnie zimny pot. To był jakiś koszmar, w którym tkwiłem po uszy i mimo ocalenia nie potrafiłem się wyzwolić od strachu.

– Prawdę – rzekł, nie odwracając się do mnie tajemniczy Egipcjanin. – Spytałem, czy mogę w czymś pomóc i powołałem się na swoją znajomość z Ismailem Paszą.

– Zna go pan? – Ściągnąłem brwi, sądząc, że mężczyzna blefuje. Powoli odzyskiwałem opanowanie, choć czułem, że jeszcze długo będą mi się śniły oczy tego czarnego chłopca, pełne furii jak u wściekłego psa.

– Owszem – odparł z miękkim uśmiechem, w ogóle nie pasującym do jego oblicza. – Mam wpływy w rządzie. Kim jest ten uwięziony Anglik? Chyba go wyprowadzają na zewnątrz.

– Nie wiem – uciąłem, a kiedy odwrócił się do mnie plecami, dotknąłem jego ramienia. Zmierzył mnie jak osoba, która nie znosi być dotykana i uważa to za obraźliwe. Cofnąłem dłoń, jakbym obawiał się, że zaraz stracę palce. Zaczynałem wracać do siebie, myśli, dotąd chaotyczne, stały się z powrotem logiczne. – Niech pan im lepiej powie, że to ja zostałem napadnięty. Zabrano mi coś osobistego, a napastnik uciekł, gdy zaczęło się zamieszanie, mimo rany, która, jak sądziłem, powinna być śmiertelna.

– Ach, tak? – Khariusz zrównał się ze mną i dopiero teraz w jego osobliwym, władczym do tej pory spojrzeniu, pojawiło się zaciekawienie. – A co takiego panu zabrano?

Przez chwilę namyślałem się, czy mogę coś więcej powiedzieć. W tym czasie nadjechało wojsko. Widziałem, jak przemierzali konno peron, czarnoskórzy mężczyźni w białych kurtkach, z krwistoczerwonymi fezami na głowach. Przez plecy przewieszono mieli strzelby, a do pasów przypięte szable. Ich dowódcą był Arab, wyglądający moim zdaniem jak bliźniaczy brat konduktora, może poza dodatkowym podbródkiem.

Po ich przybyciu wszyscy nadal zachowywali się, jakby aresztowany mężczyzna był najgorszym zbrodniarzem. Oddano go w ręce armii i eskortowano na posterunek. Khariusz w kilku słowach zrelacjonował mi rozmowę między konduktorem a dowódcą żołnierzy, którą usłyszał, a potem zaproponował, że udamy się za Anglikiem, aby ocalić go od aresztu, może nawet więzienia.

– Nie podróżował sam – zauważyłem.

– A z kim?

– Miał służącego. Chyba Beduina – odparłem, lecz przy ostatnim słowie doznałem wrażenia, jakby coś ścisnęło mnie za gardło, blokując ślinę. W tłumie wypatrzyłem bowiem znajomą sylwetkę. Sługa, o którym mówiłem,

poglądał w naszą stronę, a nawet mam wrażenie, że pozdrowił nas delikatnym skinieniem głowy.

Nie miałem okazji się przyjrzeć, bowiem mój nowy przyjaciel złapał mnie i poprowadził w kierunku białej dorożki, gdzie stali już i czekali bez słowa jego ludzie.

– Dlaczego chce mu pan pomóc? – spytałem na bezdechu.

– Jestem tylko pokornym sługą Allaha. – Ukłonił się, składając dłonie. – W Koranie napisane jest, że należy być dobrym dla bliźnich w potrzebie.

– Doprawdy? – zapytałem z powątpiewaniem w głosie.

– Niech pan tu poczeka, pomówię z konduktorem, może uda mi się wstrzymać na godzinę odjazd pociągu.

Połowę drogi namyślałem się, czy wtajemniczyć ekscentrycznego Araba w szczegóły kradzieży. W końcu doszedłem do wniosku, że byłoby głupstwem nie wykorzystać jego wiedzy, a być może, jak słusznie wnioskowałem, także koneksji. Słuchał mojej opowieści z uwagą, ale w zasadzie bez szczególnego zainteresowania.

– Myślę, że może się pan pożegnać z pieczęcią. – Westchnął ciężko. – Kto wie, komu zależało na tej kradzieży i gdzie pana cacuszko teraz jest.

– Co ma pan na myśli? – spytałem, nie rozumiejąc do końca sugestii kryjącej się za tymi dość osobliwie brzmiącymi słowami.

– A mało to mamy tajemnych sekt i nielegalnych odłamów w łonie samego islamu? Jestem przekonany, że to nie był zwykły napad. Oczywiście, wnioskując z pana relacji. No i, z całym szacunkiem, patrząc na pana.

Zalało mnie poczucie urażonej dumy. Choć muszę przyznać, że ostatnie swoje słowa Khariusz wypowiedział z przyjaznym uśmiechem, który złagodził znacznie moją początkową irytację.

– Patrząc na mnie? – Nie darowałem, czując, że mimo wszystko chciałbym wyjaśnić sobie z Khariuszem pewne sprawy. – Co ma pan właściwie na myśli?

Egipcjanin westchnął.

– Nie mam nic złego na myśli. Jest pan, proszę o wybaczenie za sformułowanie, dość przeciętny w każdym znaczeniu tego słowa. Ani chudy, ani wojowniczy, ubrany tak, jak powinien być ubrany pracownik muzeum, który przecież dużo nie zarabia. Nie sprawia pan wrażenia bohatera ani awanturnika.

– Nigdy się za takiego nie uważałem – mruknąłem w dość oschły sposób. Była to prawda, lecz zarazem poczułem wstyd i niemalże gniew za tak, moim zdaniem, jednostronną i dość obraźliwą ocenę.

Kiwnął zdawkowo głową, jakby moje potwierdzenie było zbyt cenne.

– Biorąc pod uwagę niektóre osoby na dworcu, byłby pan raczej ostatnim Europejczykiem, którego bym okradł. Chyba że chciałbym mu zabrać coś bardzo konkretnego. Na przykład pieczęć ze starożytnego grobu.

Wizyta na posterunku była jeszcze bardziej osobliwa, niż wszystko, co się zdarzyło do tej pory. Kilka słów wypowiedzianych przez Khariusza otwierało mu wszystkie drzwi. Czekaliśmy co prawda kilka godzin na pojawienie się aresztanta, lecz jedynie dlatego, że został już przewieziony gdzie indziej i odbywało się właśnie jego przesłuchanie.

Pewien śniady żołnierz spojrział na mojego towarzysza z przerażeniem w oczach. Nikt nie potrafiłby takiego zachowania udawać, więc pytanie, które zadałem, samo cisnęło się na usta.

– Kim pan tak naprawdę jest?

– Nikim szczególnym.

– Nikt szczególny nie zdobyłby się na tak bezinteresowną pomoc – zauważyłem.

– Tak jak panu powiedziałem. Dobry muzułmanin pomaga w potrzebie.

Pokręciłem głową.

– Nie to mam na myśli. Jest tu pan kimś ważnym. Wszyscy pana słuchają.

Uśmiechnął się sucho.

– Wiem doskonale, co ma pan na myśli. No dobrze. Załóżmy, że ma pan rację.

– No więc? – Poszedłem za ciosem.

– Jestem nowym ministrem do spraw publicznych. To dość ważna funkcja, przynajmniej od czasu budowy Kanału.

Ściągnąłem mimowolnie brwi.

– Ministrem do spraw publicznych jest...

– Ali Mubarak. – Kiwnął z przekonaniem głową. – Niestety, jedynie był. Ali Pasha Mubarak zmarł nagłą i niespodziewaną śmiercią miesiąc temu, w Kairze. Zajęcie jego miejsca nie przyszło mi łatwo, biorąc pod uwagę, jakim wielkim i wspaniałym człowiekiem był. Niestety, to jedynie mogłem uczynić.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, a potem Khariusz pozwolił sobie na przelotny uśmiech i wreszcie opuścił oczy. Zerwał z głowy melonik, odsłaniając długie, spięte gustowną broszą włosy szarostalowej barwy.

Nie był to koniec niespodzianek. Gdy dwaj strażnicy wypuścili mężczyznę, miał worki pod oczami i przeraźliwie podartą koszulę. Lecz Anglik zachował się początkowo z godnością, której się po nim spodziewałem. Kiedy jednak spojrział na mojego towarzysza, jego zachowanie uległo diametralnej zmianie. Zmierzył spojrzeniem Khariusza.

– To... Tyyy! – zawołał po angielsku, a ja zdałem sobie sprawę, że do tej pory jeszcze nigdy nie widziałem podobnego wyrazu twarzy. To była czysta furia.

Zrozumiałem, że po raz pierwszy widzę człowieka gotowego zabić.

– To my się znamy? – Khariusz odsunął się, nic nie tracąc ze swojej niezachwianej pewności siebie.

Niedawny aresztant niepewnie zmierzył wzrokiem swoich strażników, a w jego spojrzeniu zaszła kolejna nieoczekiwana zmiana. Najpierw jakby obwisł wartownikom w ramionach i opuścił głowę. Potem wznosił oczy do sufitu. Zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo zmienił się na twarzy. Chwilową furję zastąpił osobliwy spokój, rodzaj lodowatego opanowania, które opadło mężczyznę i całkiem go ogarnęło.

– Pan uważa, że się nie znamy. – Przelotny, nerwowy uśmieszek zagościł na obliczu mojego niedawnego wybawcy. – Może faktycznie. Może mi się tylko wydawało. Proszę o wybaczenie. Nazywam się Thomas Elthorn, a pan... Pan kogoś mi bardzo przypomina. Ale to niemożliwe. Pracuje pan w konsulacie, czy tak? Bixby pana przysłał?

Tym razem zaskoczenie wypełniło oczy ministra.

– Nie – rzekł z wahaniem. – Jestem zwykłym Egipcjaninem, który postanowił pomóc.

Słowa Khariusza wywołały we mnie pewną konsternację, szczególnie w świetle wcześniejszych zapewnień.

– Zwykły Egipcjanin nie pomaga obcym – zauważył Elthorn. – Nie jest w stanie.

– Posiadam pewne kontakty – oznajmił skromnie Arab. – Zresztą, z tego, co wiem, okazał się pan bohaterem. Więc warto mu pomagać.

Miałem wrażenie, że pod pozorem wzajemnego prawienia sobie komplementów, między dwoma mężczyznami trwa zażarty konflikt, a deklaracje szacunku to w rzeczywistości kąśliwe docinki.

– To był przypadek – rzekł bez mrugnięcia Anglik. – Szukałem mojego sługi, który nagle zniknął. Wszedłem tam zupełnie niechcący i, widząc Europejczyka w potrzebie, zareagowałem odruchowo.

– Wy, Europejczycy. Macie świetny instynkt samozachowawczy i beznadziejnych służących. Czy jednak tym pana sługą nie był przypadkiem Beduin? – zapytał pogodnie Khariusz.

– Skąd pan wie? – odparł Elthorn takim głosem, jakby został zdradzony przez długoletniego przyjaciela, nie zaś służącego.

Egipcjanin spojrzał na mnie wymownie.

– Beduini są zdolni do wszystkiego – odparł wymijająco Khariusz. – Nie powinien pan im ufać. Trzymam kilku ze względu na ich użyteczność. Ale nie powierzam im zbyt wielu ważnych spraw.

Coś wisiało w powietrzu między tymi dwoma, więc postanowiłem się wtrącić.

– Gdyby nie pana strzał, nie byłoby mnie już na tym świecie.

– No właśnie – mruknął Anglik, przenosząc na mnie spojrzenie. – Kim był napastnik? Sprawiał wrażenie chłopca, jakich wielu się ogląda na ulicach

Aleksandrii.

– Nie nazywałbym go chłopcem – zaprzeczyłem.

Przerwał nam pan minister.

– Proponuję kontynuować tę rozmowę w dorożce. Jeśli dłużej tu zostaniemy, możemy nie zdążyć na pociąg.

– Myślałem, że to już przesądzone. – Nachmurzyłem się. – Przecież na pewno nie czekali, te zwierzęta...

– Cóż, nie docenia mnie pan. Niech się pan nie zamartwia. Czekają jedynie na nas.

I rzeczywiście. Zdążyliśmy na pociąg, choć odprowadzały nas raczej wściekle spojrzenia współpasażerów. Najbardziej awanturował się pewien postawnie wyglądający mężczyzna, którego kolekcja medali, przypiętych do klapy pomiętego prochowca, wskazywała, że jest jakimś wojskowym przeniesionym w stan spoczynku. Na jego widok jedynie przyspieszyliśmy kroku. Powoli świtało, gdy pociąg ruszył.

* * *

W ciągu zaledwie godziny siedzieliśmy w wagonie restauracyjnym, wsłuchując się w dźwięki wydawane przez drżące kieliszki, lampy i liczne lustra oraz burczenie naszych żołądków, oczekujących nieco wczesnego śniadania. Byliśmy jedynymi gośćmi wagonu, dopiero po którymś z kolei daniu przyłączyli się do nas dwaj pasażerowie, siadając przy barze. Przyjrzałem się im. Jeden był gustownie ubranym w jasną marynarkę mężczyzną w średnim wieku, drugi śniadym Egipcjaninem w zwyczajowej galabiji, ukrywającej nadmierną tuszę, z brązowym fezem na głowie. Obaj zajęli się lekturą gazet dostarczonych przez obsługę.

Czułem się nieswojo wśród swoich nowopoznanych towarzyszy, choć nie do końca potrafiłem określić, z czego to wynika. Z pewnością byłem ich obecnością speszony. Odnosiłem także wrażenie, że nie mam z nimi wspólnych tematów i muszę się silić na uprzejmości tam, gdzie w normalnych okolicznościach po prostu wymówiłbym się byle powodem. Jednak spojrzenie, jakim obdarzył mnie minister Khariusz, napawało mnie przeświadczeniem, że zna moje tchórzliwe zamiary i nie ryzykowałem jego kpiny.

– Nigdy nie jechałem w podobnym pociągu – zauważyłem.

– Nie miał pan prawa - odparł Khariusz. – Cały ten skład to mój osobisty projekt.

Dudnienie podłogi tłumił czerwony perski dywan, którym była wyłożona, a ściany zdobiły charakterystyczne dla tego regionu kobierce. Kelner okazał się potwornie ślamazarny, nie pozwalając rozkoszować się widokami zza okna, gdzie niebo odmalowywał delikatny błękit i róż, przesycony pierwszymi promieniami ostrego, cytrynowego słońca. Na szczęście Khariusz, który nie odstępował nas na krok, potrafił objaśnić każde z dań z bogatego,

lecz egzotycznego menu, czyniąc to przy okazji z wdziękiem, o który rozbijała się nieufność najwyraźniej uprzedzonego do nas obu Anglika. Podczas posiłku minęliśmy, nie zatrzymując się, pierwszą stację w Kafr ad-Dawwar. Dalej ciągnęły się niewielkie wioski i osady, rozstrzelone na rozległej i stosunkowo płaskiej przestrzeni wcinającej się w deltę Nilu. Rozwinęliśmy znaczną prędkość i czułem delikatne zawroty głowy, towarzyszące kołysaniu. Wszystko, szczególnie szkło, ogarnęło drżenie. Nil był niewidoczny, za to w miejscu, gdzie przepływał, otwierała się rozległa, przypominająca łąkę przestrzeń z plackami piasku tu i ówdzie oraz szerokimi połaciami porośniętymi przez palmy.

– Fatta. Ryż, chleb i czosnek – mruknął Khariusz, wzdrygając się, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że nie poleca potrawy.

– A Leloucha? – zapytałem.

– To gęsta zupa szpinakowa. Polecam. Tak samo nadziewane mięso gołębi.

– A jaką nosi nazwę? – spytałem z czystej uprzejmości.

– Nadziewane mięso gołębi – odparł, po czym obaj parsknęliśmy śmiechem.

– Niech pan pozwoli, że poczuję się zobowiązany – zwróciłem się do sir Thomasa, mając na myśli, że śniadanie będzie na mój rachunek. – Tyle choćby mogę zrobić.

Skinął ponuro głową.

– Polecam wino Omar Khayyam. – Kiwnął do Anglika Khariusz. – Ramadan was nie dotyczy, możecie świętować. O pieniądze proszę się nie troszczyć. Ja ureguluję rachunek.

– Zbytek uprzejmości – westchnął, zdaje się jedynie mimochodem, sir Thomas.

– Panie Elthorn, panie Magon, bardzo by mi zależało, abyście obaj czuli się w moim kraju swobodnie. Proszę pozwolić mi zatem...

Przestałem słuchać. Pomyślałem, że towarzystwo Khariusza uniemożliwia swobodne samopoczucie. Zamówiłem polecane przez ministra wino.

I choć minęło kilka minut, odkąd straciłem zainteresowanie rozmową, to temat nie uległ w tym czasie drastycznej zmianie.

– To zbyteczne – mówił mało entuzjastycznie Elthorn. – Nie chciałbym być pana dłużnikiem, a poza tym...

Khariusz zagarnął nas jakby w swoje szerokie ramiona, ignorując gburowaty ton Elthorna.

– To już postanowione – rzekł z uśmiechem, który mógł znaczyć wszystko, od sympatii po pogroźkę. – A pan, panie Thomasie Elthorn, niech się odpręży i opowie mi, co pana sprowadza do mojego kraju. Jest pan wśród przyjaciół. I proszę się nie przejmować, reprezentuję rząd, a mój portfel nie zbiednieje.

– Naprawdę chce pan wiedzieć? – odparł Anglik, prostując się na krześle w ten osobliwy sposób, jakby rzucał Arabowi wyzwanie. Praktycznie jednym

haustem opróżniłem kieliszek czerwonego wina. Poczułem subtelne palenie w gardle i delikatną słodycz, a po chwili zawroty głowy wywołane mocą alkoholu.

– Oczywiście – oznajmił minister.

– Szukam zemsty – rzekł z tą samą bezpośredniością, ocierając niemal o beczelność.

Chrząknąłem nerwowo, zamawiając dla przepłukania ust herbatę. Khariusz wyraźnie się zmieszał i subtelnie zmienił temat, wyczuwając chyba, że Anglik nie chce rozwijać swojej opowieści. Zauważyłem, że z niewiadomych przyczyn atmosfera przy rozmowie między dwoma mężczyznami cały czas była napięta. Nawet kiedy przeszła na temat Kanału Sueskiego, minister Khariusz skupił się na niebywałym rozwoju, który to zapoczątkuje, podczas gdy Anglik sarkastycznie odniósł się do olbrzymiego długu, który pewnego dnia sprawi, że Egipt zostanie sprzedany dwóm mocarstwom, Anglii i Francji, to znaczy jeśli tylko Imperium Osmańskie nie upomni się wcześniej o Kair.

Herbata okazała się słabym antidotum na uderzenie ciepła wywołane winem. Była mocna i słodka, a w dodatku, do czego akurat zdołałem się przyzwyczaić, zalatywała naftą. Za to słowa wypływające z ust moich towarzyszy można było określić jedynie jako gorzkie. Ci dwaj, w zasadzie obcy sobie mężczyźni, nie pałali do siebie sympatią, lecz wykraczało to poza zwykłe bariery narodowościowe. Ich słowne przepychanki zmierzały do otwartej sprzeczki.

– Nie rozumiem, dlaczego pan uważa, że wyprzedajemy Egipt – ciągnął niezrażony uwagami Anglika Khariusz. Nalałem sobie znowu wina, byle zająć czymś ręce.

– Zrozumie to pan za dziesięć lat. Jak każdy nieopierzony polityk przejdzie pan szkołę prawdziwej polityki, i to z rąk najlepszych.

– Zachowuje się pan, jakby był wrogiem Imperium Brytyjskiego. – Uśmiechnął się przekornie Egipcjanin, przełykając dość otwartą zniewagę pod swoim adresem.

– Och, myli się pan. Jestem wielkim zwolennikiem Królowej. Czego, niestety, nie mogę powiedzieć na temat urzędników krajów takich jak Egipt.

– Gdy Egipt był mocarstwem, wy biegaliście jeszcze w skórach zwierząt – odparł z zaskakującą swobodą minister.

– I co zostało z tej wielkości? – prychnął Elthorn, najwyraźniej usiłując celowo wyprowadzić naszego gospodarza z równowagi. – Błagacie o jałmużnę silniejsze od siebie państwa i jeszcze nazywacie to rozwojem.

Khariusz uniósł się w krześle. Miałem wrażenie, że jego rysy wyostrzyły się, a jedna z powiek drży. Lecz po chwili twarz znowu dostrzegalnie zmiękła i rozjaśnił ją uśmiech, jakkolwiek cierpki.

– Dość polityki na dzisiaj. – Skierował spojrzenie na mnie. – Wróćmy do rozmowy na temat kradzieży. Zaczęliśmy ją na posterunku i mieliśmy kontynuować, prawda? Panie Magon?

Skinąłem przyzwalająco. Także miałem dość utarczek między Anglikiem a ministrem.

– To, co pan powiedział na temat Dendery, przypomniało mi pewną legendę, wie pan? – zauważył Khariusz. – Czy możemy rozmawiać swobodnie przy panu Elthornie?

Zmierzył Anglika, który siedział z ponuro opuszczonymi oczami i sączył wino z kosztownego, kryształowego kieliszka.

– Jestem mu winny życie. – Spełniłem toast, patrząc na sir Thomasa. Mój głos wciąż był nerwowy, lecz nie potrafiłem nad tym zapanować. Nawet wino, którego, nawiasem mówiąc, wypilem już chyba za dużo, wcale mi nie pomogło. Przy tych dwóch mężczyznach czułem się mało znaczący. Sir Thomas sprawiał wrażenie rasowego poszukiwacza przygód i dysponował wiedzą ogólną, której nie powstydziliby się niejeden światowiec, minister z kolei jawił mi się jako osoba, która przywoływała swoim zachowaniem i charakterem czasy mameluckich fanatyków, choć maskował swoją brutalność i okrucieństwo pod pozorem surowości i przyjaznego charakteru. Były to co prawda jedynie odczucia. Lecz i tak samemu czułem się mało wartościowy i nieważny.

– Nie rozumiem zatem, dlaczego nie miałbym mu ufać – dodałem, usiłując przezwyciężyć drżenie głosu kaszlnięciem.

– Zgoda – przyznał Khariusz. – Ma pan rację, przyjacielu.

– Panie Elthorn – zwróciłem się do Anglika. – Podczas ataku zaginęła mi pieczęć, którą przywiozłem z Ismailii. Moim zdaniem pochodziła z legendarnej Dendery i została mi skradziona umyślnie.

– Może nawet była przyczyną ataku – sprostował moje słowa Khariusz. Pojawił się kelner i minister zamówił szybko kolejną potrawę, wkładając mężczyźnie banknot do kieszeni uniformu. Było to niezwykle dyskretne i gdybym cały czas nie wbijał wzroku w Egipcjanina, na pewno uszłoby mojej uwadze.

– No więc? – rzekł niechętnie Elthorn, krzyżując ramiona. – Co to za legenda?

– Och, to stary egipski mit, na który zwrócił uwagę mój nieodżałowany poprzednik.

– Minister Mubarak interesował się starożytnymi mitami?

Odpowiedział mi skwapliwy uśmiech.

– Ależ oczywiście. Wszyscy interesujemy się przeszłością tej ziemi, nie tylko Europejczycy, którzy, nawiasem mówiąc, najczęściej gonią po prostu za egzotyką i tanią sensacją.

– O kim panowie raczą mówić? – zapytał niespodziewanie Anglik.

– O byłym ministrze przy rządzie Ismaila Paszy, którego nasz szanowny przyjaciel zastąpił na stanowisku – wyjaśniłem, zwracając się jednocześnie do Egipcjanina. – A właśnie, co było przyczyną śmierci ministra Mubaraka?

Elthorn wyraźnie się ożywił, gdy padło moje pytanie i przeniósł wyczekujące spojrzenie na Khariusza, lecz minister rozłożył bezradnie ręce.

– Sądzę, że chorował na serce. A przynajmniej tak mi powiedziano.

– Nie interesowało to pana bardziej?

– Cóż, czasem pewne rzeczy lepiej przemilczeć.

– Co ma pan na myśli?

– Egipt, mój drogi przyjacielu. Mam na myśli Egipt.

– Mówi pan zagadkami. – Nachmurzył się Anglik.

Przybycie kelnera z tacą wybawiło mężczyznę od odpowiedzi.

– Teraz spróbują panowie czegoś wyjątkowego – oznajmił. – Noz-bi-laban. To pudding ryżowy, trochę podobny do waszego, brytyjskiego, jedynie z dodatkiem pistacji i migdałów.

Po czym zajął się zdejmowaniem z tacy pięknych, ręcznie emaliowanych misek, a my z Elthornem wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Oto legenda: za czasów, kiedy bogowie i ludzie zamieszkiwali razem Ziemię, stary już władca wszechrzeczy, Re, dowiedział się o spisku – podjął Khariusz, gdy kelner uklonił się, oddalając do dalszych obowiązków. Minister wolno przeniósł na nas wzrok. – Otóż ludzie zaplanowali bunt. Re wezwał do siebie swoje Oko, czyli boginię Hathor, wraz z pozostałymi bogami. Gdy Re zapytał, co uczynić, Nun odpowiedziała, żeby skierował swoje oko przeciwko tym, którzy obrazili Re. W myśl tego Hathor została wysłana na pustynię, by wygubić rodzaj ludzki. Przybrała imię Sachmet, co oznacza lwica. Po zakończeniu masakry stanęła przed Re, który pożałował ludzi. Zamierzał zaprzestać rzezi, ale bogini zasmakowała we krwi i odmawiała wykonania polecenia. Re wysłał więc posłańców po czerwone owoce didi, które rozgnieciono w siedmiuset dzbanach piwa tak, że przypominały do złudzenia ludzką krew. Wylano zabarwione piwo na pola, gdzie Sachmet przybyła. Bogini upiła się, po czym, wedle pewnej wersji mitu, zamknięto ją w kamiennym sarkofagu, który przewieziono do Dendery i ukryto w tajnej komorze, opatrując pieczęcią o potężnej mocy.

Zakończył z zadowolonym uśmiechem i zapadła cisza, przerywana jedynie terkotem kół. Za oknem roztaczał się widok na rozległą, poprzecinaną wydmami płaszczyznę. W dali dostrzegliśmy kroczącą karawanę wielbłądów i osłów. Nie zdążyłem skomentować tego mitu, który, poza zupełnie innym zakończeniem, znałem dość dobrze, zdołałem jedynie chrząknąć, kiedy do pomieszczenia, niczym zjawa ubrana w prześcieradło, weszła nieznana mi postać. Pierwszy dostrzegł ją siedzący na wprost wejścia Khariusz i natychmiast podniósł się z miejsca, wywołując zdziwienie na twarzy Elthorna. Anglik także się zerwał się i odwrócił. Przyjrzałem się, a następnie

odgadłem, że to zaginiony sługa sir Thomasa stoi przed nami i wpatrzyłem się w oczy nieznanego mężczyzny. Były zdumiewającej urody, w kształcie migdałów, lekko zmrużone i ocienione czarnymi rzęsami. Przez moment przeszło mi przez myśl, że może gdzieś już go widziałem... Wyobrażałem sobie, jak też może wyglądać opalona twarz sługi i z jakichś niejasnych powodów uznałem, że musi być nieprzeciętnie urodziwa. Widząc Beduina, Elthorn całkiem skamieniał. Po jego stwardniałym obliczu przebiegały na przemian zaskoczenie i ulga. Lecz jeszcze dziwniej zachował się nowo przybyły Beduin. Bezcelnie wlepił wzrok w stojącego naprzeciw ministra. Skośne oczy wydawały się palić jakimś przeżywanym wewnątrz uczuciem, które, z braku porównania, nazwać mogłem jedynie pożądaniem.

– Saadi! – wykrzyknął Thomas, na co postać z pewnym ociąganiem ruszyła w naszą stronę. – Gdzież ty, na Boga, był?!

– Wy się znacie?! – spytałem, odciągając na bok ministra. Pokręcił jedynie nerwowo głową, lecz cały czas czułem, że kłamie. Znał Saadiego i to znał go dobrze. Działo się tu coś niepokojącego i coraz mocniej odnosiłem wrażenie, że ja i Anglik jesteśmy pionkami w osobliwej grze prowadzonej przez Araba, oraz że obaj możemy paść jego ofiarami, jeśli w porę nie połapiemy się w regułach tej gry.

Było to ulotne wrażenie i po chwili rozwiało się, być może pod wpływem przyjaznego spojrzenia Khariusza.

Elthorn przez chwilę mierzył nas wzrokiem. Nagle chwycił Beduina w pól, jak się chwyta kobietę. Drugą ręką złapał tkaninę, zawiązaną na głowie mężczyzny, po czym, ignorując protesty sługi, zaczął ją rozwiązywać. Saadi zrezygnował w końcu z prób uwolnienia się i stał jedynie, z biernym zażenowaniem obserwując ruchy swego pana. Jakież było moje zdziwienie, gdy Elthorn zasłonił sobą Beduina, po czym najwyraźniej wycisnął pocałunek na ustach Saadiego. Następnie dał zdecydowany krok do tyłu, odsłaniając naszym oczom nieznanne oblicze, które płonęło rumieńcem, widocznym pomimo śniadej skóry. Westchnąłem głośno, nie panując do końca nad sobą. Saadi okazał się krótko ostrzyżoną, atrakcyjną dziewczyną o nieco egzotycznych rysach twarzy. Wymieniliśmy spojrzenia z Khariuszem, przy czym jego oblicze wyrażało raczej rozbawienie niż szok. Elthorn uniósł podbródek dziewczyny, na co ona, nadal odrobinę speszona, cofnęła się. Zaczęła poprawiać na sobie ubranie tak, jakby było w nieporządku.

– Saadi to oczywiście nieprawdziwe imię – mruknął Elthorn, stając na baczność i z mieszaniną niepokoju i dumy prezentując swojego „służącego”. – Przedstawiam panom Ninę Dubois, podróżniczkę i awanturniczkę. A od jakiegoś czasu moją przewodniczkę po tym dzikim kontynencie.

Zatrzymał spojrzenie na ministrze, a ja zwróciłem uwagę, jak dwaj nieznani mężczyźni przy barze odwracają się, bacznie przyglądając scenie.

– No i proszę – rzekł Khariusz, nie odrywając zafascynowanych oczu od panny Dubois. – Zguba się znalazła. Czyżby była pani rodaczką naszego przyjaciela?

Po chwili wpatrywania się w dziewczynę, przeniósł wzrok w moim kierunku. Zmierzył mnie z niemym pytaniem w oczach. Pod wpływem tego spojrzenia poczułem się tak, jakbym był zobowiązany wszystko rozumieć i wszystko wiedzieć. Kradzież, zniknięcie panny Dubois, a także kłopoty finansowe egipskiego rządu... Te rzeczy stanowiły dla mnie zagadkę, lecz minister zwracał się do mnie, jakbym był znawcą w każdym z tych tematów.

– No? Panie Elhthorn? – zapytał Anglika. – Zaniemówił pan nagle?

– Nie... – Pokręcił głową sir Thomas. – Stanowczo nie jest moją rodaczką. Panna Dubois...

Nina przylgnęła nagle do Anglika mimo początkowej niechęci, aby okazywać uczucia. Wyglądało to tak, jakby zamierzała powstrzymać Elthorna, zanim coś powie.

– Sir Thomasie, może to nieodpowiednie miejsce na takie wyznania? – rzuciła, nie odrywając spojrzenia od ministra Khariusza.

– Myślę, że udam się na spoczynek – zgodził się Egipcjanin. – Bardzo miło było panią poznać.

– Panne – mruknęła Nina, podając mu rękę. Khariusz nachmurzył się, jakby nie rozumiał gestu kobiety.

– Mam jeszcze jedno pytanie, ministrze – stwierdził ostrym głosem Anglik, instynktownie kładąc dłoń na biodrze Niny. Zauważyłem, że dziewczyna wzdryga się w odpowiedzi na dotyk. – Mówi coś może panu nazwisko „Husley”?

Przez chwilę minister mierzył mężczyznę pełnym rezerwy spojrzeniem, które nie wyrażało nic, poza opanowaniem.

– Przykro mi, pierwsze słyszę – odpowiedział po namyśle. Dwaj mężczyźni nie odrywali od siebie wzroku, a ja odniosłem wrażenie, że można powiesić między nimi siekiere. – To pana znajomy?

– Znajomy rodziny – odparł zawziętym głosem Elthorn, po czym delikatnym, ale pewnym siebie ruchem skierował Ninę do drzwi.

– Proszę na mnie poczekać. – Khariusz stanął wyprostowany. – Jak wspomniałem, chciałbym udać się już na spoczynek. To była noc pełna wrażeń. Potowarzyszę państwu.

Wyszli we troje, rozmawiając na tyle cicho, że nie słyszałem ostatnich zdań. Zastanawiałem się, czego byłem przed chwilą świadkiem. Nie potrafiłem rozszyfrować ich zagadkowych słów, które padły w wagonie restauracyjnym. Zupełnie jakby za każdym zdaniem kryła się aluzja. Także ich zachowanie znamionowała pewna sztuczność, wynikająca, jak sądzę, z konwenansów.

Pociąg zaczął zwalniać. W oknach dostrzegłem przedmieścia Damanhur, pierwszej przewidzianej do zatrzymania stacji. Siedziałem, w znużeniu kończąc herbatę, kiedy zauważyłem, że dwóch mężczyzn przy barze nieustannie mi się przygląda, ba, nawet wymienia między sobą uwagi. Mijały chwile. Wreszcie rozległ się odgłos gwizdka zawiadowcy stacji. Drgnąłem, jakby plecy przeszedł mi zimny dreszcz. Pociąg ruszył z wolna, a ja wstałem, postanawiając w końcu zmierzyć się z sytuacją. Sam się dziwiłem swojej śmiałości, lecz wierzę, że była to wina mocnego, polecanego przez ministra trunku, którego wypilem aż trzy kieliszki.

– W czymś mogę panom pomóc? – zapytałem, zatrzymując się przy nieznanym. Mężczyzna w fezie w milczeniu obejrzał się na towarzysza. Jego spojrzenie zaniepokoiło mnie. To ten drugi przemówił.

– Proszę o wybaczenie. – Usłyszałem drwiący ton, wydający się przeczyć wypowiedzianym słowom. Mężczyzna złożył gazetę, a następnie wstał. Jak już wspomniałem, miał na sobie marynarkę w kremowym kolorze, a jego zaczesane do tyłu włosy pokrywała brylantyna. To powiększało jego i tak wysokie czoło. Miał orli nos, ozdobione krótkim wąsikiem szerokie usta i błyszczące chytrym charakterem oczy.

– Wybaczam.

– Zauważył pan, że się mu przyglądamy? – spytał.

– Zgadza się.

Westchnął.

– Możemy panu zająć chwilkę? Skoro i tak pan do nas sam podszedł?

Kusiło mnie, by chwycić za zegarek z dewizką i dokładnie odliczyć czas albo jeszcze lepiej oznajmić, że jestem gdzieś spóźniony. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że mam do czynienia z parą natrętów. Towarzysz mężczyzny stanął za moimi plecami. Wyczuwając zagrożenie, pożałowałem, że nie mam ze sobą broni. Jak i tego, że po prostu nie opuściłem z Khariuszem wagonu restauracyjnego.

– Nazywam się Basharti – przedstawił się, kładąc rękę na piersi mężczyzna w marynarce. Mówił dość dobrze po angielsku, z trudnym do umiejscowienia akcentem. – Przejdźmy może do stołu.

Zagarnął mnie ramieniem, a kiedy się wzdrygnąłem, na pomoc przyszedł mu towarzysz, ten w fezie, o lekko nalanej twarzy i opadniętej lewej powiece.

– Nie zajmujemy panu dużo czasu. Chodzi o jęgomocia, z którym pan jadł śniadanie.

– Co z nim? – prychnąłem, czując, że mężczyzna stoi zdecydowanie za blisko i w rzeczywistości szepcze mi do ucha. Miałem nieodparte wrażenie zagrożenia. I nie chodziło jedynie o nieświeży, pachnący rybą oddech.

– Cóż... – chrząknął Basharti. – W tym rzecz. Mam powód przypuszczać, podobnie jak pan Mastabe, że ów człowiek nie jest tym, za kogo się podaje. To samo tyczy się kobiety, z którą rozmawialiście.

– Jak to?! – Ściągnąłem brwi, na co „pan Mastabe” wskazał mi krzesło.

– Przepraszamy za śmiałość. – Uśmiechnął się chytrze Basharti. – Jak i za to, że dopiero teraz rozmawiamy. Ale nie wiemy, jak by zareagował, gdybyśmy zwrócili pana uwagę w jego obecności.

– Mógłby się awanturować – przyznał łamaną angielszczyzną mężczyzna w fezie.

Zmierzyłem drugiego nieznanego. Jego spojrzenie było dziwne, jakby mętne. Niczym u klienta palarni opium.

– Kim panowie są? – zapytałem zaczepnie, choć głos, który z siebie wydałem, przypominał raczej ton osoby spanikowanej.

– Pan Basharti to mój osobisty doktor, ja zaś... – zająknął się osobnik o mętnych oczach, a następnie delikatnie skłonił się. – Nazywam się Yousuf Mastabe i jestem, to znaczy do niedawna byłem, prezesem przedsiębiorstwa wodociągowego w Kairze.

Przyjrzałem się panu Mastabe. Jego tunika była trochę niechlujna i zdaje się czymś poplamiona na piersi. Podobną plamę miał i na lewym rękawie, a jego twarz wydała mi się żółta i zmizerowana. Dwa podbródki świadczyły o poważnych problemach z nadwagą, a nieprzyjemny słodki fetor potu przywodził mi na myśl zapach jakiegoś zwierzaka.

– Pan Mastabe przeżywa ciężki okres. – Tym razem to doktor zagrał rolę adwokata. – Ma to bezpośredni związek zarówno z panem Khariuszem, ową kobietą, jak i zwolnieniem pana Mastabe z funkcji prezesa.

Mimowolnie usiadłem na krzesło.

– Zaciekawili mnie panowie – odparłem, choć nadal nie miałem krztyny zaufania do dwóch osobliwych mężczyzn. Stali tak, jakby zamierzali mnie osaczyć i nie powiedzieli do tej pory nic konkretnego. – Proszę kontynuować. Skąd panowie znają ministra Khariusza?

– Czuł się pan przy nim, jakby ktoś mieszał panu w myślach? Emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie? Czuł pan niepokój?

– Do czego pan zmierza, doktorze? – Ściągnąłem brwi.

– Zaczęło się od snów. – Kiwnął głową pan Mastabe. – I od uczucia, że coś lub ktoś mi zagraża. To dlatego doktor polecił mi tę podróż do Aleksandrii.

– Zaraz... – parsknąłem, uśmiechając z niedowierzaniem. – Sny? Wrażenia? Panowie raczą żartować...

– Niech pan posłucha! – zawołał Basharti ze stężałą twarzą.

– Sny dotyczyły latarni – oznajmił sennym głosem Yousuf. – Poszedłem z nimi do doktora.

– Wszystkie objawy wskazywały na sugestię pohipnotyczną – stwierdził z namaszczaniem Basharti. – Jest panu znany ten termin?

– Jest pan psychiatrą? – zapytałem, lecz pokręcił zdecydowanie głową.

– Parapsychologiem.

Zerwałem się.

– To w takim razie dziękuję panom – oznajmiłem oschle. – Nie przepadam za szarlatanami.

– Niech pan poczeka! – Ścisnął moje ramię Basharti, wypowiadając jak najszybciej swoje słowa. Jego palce naciskały tak, że poczułem ból. Był zaskakująco silny i nie za bardzo wiedziałem, czego jeszcze mogę się po doktorze spodziewać.

– Istnieje pewien ustęp w księdze średniowiecznego kronikarza, Maura z Hiszpanii. Odnosi się do latarni w Faros – ciągnął. – Tej latarni już nie ma, a mimo to mój przyjaciel, pan Mastabe, opisał mi ją dokładnie.

– No i czego to ma dowodzić? – Westchnieniem stłumiłem zdenerwowanie. – Mógł ujrzeć podobny wizerunek na monecie albo malowidle. Można przecież takie spotkać. Zwłaszcza w Aleksandrii. A może czytał tego pana Maura?

– Pana Mastabe nie interesują takie sprawy – wychrypiął Basharti.

– Ale czytać umie? – zakpiłem.

– Niech pan się uspokoi – rzucił Yousuf.

– Wyrażam tylko swoje zdanie. – Obróciłem się, wpatrując w pana prezesa.

– No dobrze – oznajmił. – Ale niech pan poczeka ze swoim osądem. To jeszcze nie wszystko. W tym śnie była kobieta, ubrana trochę jak Beduin, w jakąś nieznaną, ceremonialną szatę. Była kimś w rodzaju kapłanki. Stała przed latarnią.

Basharti chrząknął znacząco.

– Mój przyjaciel, pan Mastabe, chce powiedzieć, że wyglądała dokładnie jak ta kobieta, która do panów dołączyła pod koniec śniadania.

Ściągnąłem brwi.

– Zapytam jeszcze raz... Czego to ma dowodzić?

– Pan Mastabe nie miał prawa śnić takich snów – zauważył doktor. – Musi pan zrozumieć. On naszkicował mi to wszystko. Ubrania, wygląd wieży. Wszystko odpowiadało realiom. On śnił o rzeczach, które dotyczyły przeszłości.

Westchnąłem.

– Myślicie, że mnie przekonacie?

Obaj, jak na umówiony znak, pokiwali głowami.

– No dobrze. O czym były te sny? Panie prezesie?

– To się zaczęło miesiąc temu. – Mastabe wyjął chusteczkę i przetarł spocone czoło. – Najpierw sny dotyczyły samej latarni, tkwiącej nisko, pod nieokreślonym, obcym niebem. W dali przetaczały się dziwne łodzie o różnobarwnych żaglach. Z czasem jednak zacząłem zapuszczać się do wnętrza wieży. Były tam schody wiodące we wszystkich kierunkach i postacie w podłużnych, ceremonialnych szatach. Coś przyzywało mnie z dołu. Padał stamtąd blask i słyszałem też głosy. Obca mowa, zdaje się, że był to koptyjski.

Charczący głos wypowiadał te słowa, które przerodziły się w zaśpiew albo litanie. To był głos kobiety. Pamiętam jeszcze...

Tu wymienił spojrzenie z doktorem, jakby szukając potwierdzenia, że może mówić otwarcie.

– Gwiazdy. Gwiazdy ułożone w zupełnie innych konstelacjach.

– I skąd pan wie, że to był sen o Faros?

– W moim przedziale jest Mikołaj z Damaszku. Posiadam też kroniki Maura z Hiszpanii – zaoponował w obronie teorii prezesa Basharti.

– W pana przedziale jest Mikołaj z Damaszku? We własnej osobie? – parsknąłem nerwowo, wywołując skrzywienie na jego szerokich, mięsistych wargach. Nie wiedziałem, o czym do licha mówi.

– Mam na myśli jego dzieło, rzecz jasna. Są także inne dokumenty. Tam znajdzie pan wszystko. Mamy też akt ślubu zawartego w latach dwudziestych pomiędzy Amerykaninem, niejakim Barneyem Rhodesem, a Greczynką francuskiego pochodzenia, Niną Dubois.

Nachmurzyłem się mimowolnie, na co Mastabe przeszedł do kolejnego natarcia.

– Widziałem ich portret ślubny. Kobieta z obrazu... Jej podobieństwo do kobiety z restauracji, jak i tej kobiety z mojego snu, jest wprost uderzające! Mimo różnicy prawie półwiecza pomiędzy chwilą obecną a czasem, kiedy sporządzono akt ślubu. I gdy wykonano portret.

– No a jak to się ma do Khariusza? – Pokręciłem głową. – Bo na razie wspomnieliście jedynie o tej kobiecie. O której, nawiasem mówiąc, nic nie wiem.

– Dokument, o którym mówiłem, został przez nas znaleziony w Kairze. W szufladzie biurka należącego do Khariusza.

– A co sam Khariusz powiedział panu o sobie? – wtrącił swoim ochryplym głosem doktor.

– Że jest ministrem od dróg i czegoś tam – skwitowałem, a potem poczułem, że tracę nad sobą kontrolę. Byłem coraz bardziej zirytowany ich pytaniami i niejasnymi sugestiami. – Macie panowie jakieś dowody na Khariusza czy jedynie sny i przypuszczenia?! Jakiś dokument sprzed pięćdziesięciu lat to jednak za mało, aby wysuwać jakiegokolwiek oskarżenia.

– Sam pan wymienił najlepszy dowód. – Obie powieki Yousufa opadły tak, że wyglądał teraz niemal normalnie. – Jak on może być ministrem prac publicznych i jedną z najważniejszych osób w rządzie, skoro urząd ten piastuje ktoś inny?

– Ali Mubarak nie żyje.

– To absurd! – parsknął Mastabe. – Rozmawiałem z nim przed tygodniem, prowadząc moje śledztwo. Kto to panu powiedział?

– Khariusz – mruknąłem po chwili namysłu.

– Niech pan posłucha – zaproponował Basharti. – Khariusz to wytrawny kłamca i łotr. Nawet imię tego łobuza nie jest prawdziwe. Pan Mastabe widział go co prawda wielokrotnie w siedzibie konsulatu w Kairze około roku 1864, lecz nikt nie był w stanie powiedzieć ani co tam robi, ani kim jest. Jak wspomniałem, wytropiliśmy adres jego biura, rzekomej filii ministerstwa dróg publicznych. Niestety, pan Mubarak nic na temat takiej lokalizacji nie wie. Khariusz pojawił się po raz pierwszy w Kairze około roku 1863, lecz już w styczniu 1866 zniknął. A teraz nagle wrócił. Widziano go również w towarzystwie Ismaila Paszy, lecz nawet współpracownicy kedywa nabierają wody w usta, gdy mowa o tajemniczym Khariuszu.

– Więc, waszym zdaniem, kim on jest?! – wykrzyknąłem, a potem rozejrzałem się dokoła. Obsługa wagonu już i tak zwróciła uwagę na nasze podniesione głosy. Zdawali się jednak dyskretnie odwracać wzrok, wbijając oczy w puste kieliszki.

Obaj mężczyźni spojrzeli osłupiali, a dla mnie stało się jasne, że nie są w stanie odpowiedzieć mi na to pytanie.

– Proszę po prostu pójść ze mną do mojego przedziału. Pokażę panu dokumenty, które zebraliśmy na temat Khariusza.

– Doktor Basharti uważa, że to on wywołał sny – wtrącił Mastabe. – Jest hipnotyzerem, co tłumaczyłoby, dlaczego nikt nie wie, kim jest naprawdę Khariusz, a jednocześnie wszyscy wyświadczają mu przysługi.

Basharti kiwnął szybko na znak zgody.

– Pomędzy moimi pacjentami były jeszcze dwie osoby, które śniły o wieży. Ich zainteresowania, zawód, czy upodobania, nie miały tu nic do rzeczy. Były to osoby ze sobą niezwiązane, ba, nawet się nie znały. Obie jednak zniknęły.

Przymknąłem oczy.

– To jakieś brednie – wyszeptałem, zdając sobie sprawę, że naszej rozmowie cały czas przysłuchuje się kelner. Stał na tyle blisko, że powinien usłyszeć większość konwersacji. O ile tylko znał angielski. – Nigdzie z panami nie idę. Proszę mnie zostawić w spokoju, inaczej zgłoszę się do obsługi.

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, całym przedziałem zatrzęsło, jakbyśmy w coś uderzyli. Rozległ się dźwięk tłuczenia szkła i wszyscy poza kelnerem, który jedynie bezwładnie się zakołysał, znaleźliśmy się na podłodze, wśród odłamków kieliszków, szklanek i porcelany. Gdzieś, jakby z dali, doszło nas rzenie i głośny, mrozący krew w żyłach ryk, pełen niehumanitarnego bólu i cierpienia. Pociąg zaczął zwalniać, hamując przy akompaniamencie straszliwego pisku szyn. Gdy wszystko oprócz jednostajnego dudnienia kół ucichło, dotarło do mnie, co się stało. Nie stanęliśmy, jak przez moment sądziłem. Jedynie terkot zmienił się w bardziej jednostajny i przybrał ocieężałe tony.

– Hamujemy – zauważyłem z obawą w głosie. Czyżbyśmy dojeżdżali do stacji? Znowu? Przecież dopiero co staliśmy pięć minut w Damanhur. Po

chwili ciszę zastąpił głośny, wwiercający się w uszy pisk hamulców. Wreszcie, po trwającej nieskończoność chwili, pociąg przestał się poruszać, a za oknami podniosła się gęsta, cuchnąca para.

– Ten pierwszy dźwięk! To uderzyło coś z tyłu! – zawołał Basharti, wskazując drzwi wyjściowe z wagonu. – To tam tąpnęło.

– Chodźmy tam zatem – zaproponował Yousuf, otrzepując kolana z odłamków.

Idąc ciasnym korytarzem, napotykalismy coraz to nowych, zdziwionych współpasażerów. Mijaliśmy świece, lampy naftowe i kolejne wagony. Nieznany, trudny do określenia ryk bezustannie narastał. Czy to mogło być jakieś zwierzę? Wkoło panował mrok. W końcu stanęliśmy przed drzwiami do wagonu bagażowego. Był tam już personel pociągu, który stanowiło trzech umundurowanych mężczyzn, bagażowy oraz dwóch konduktorów, w tym szef załogi. Bagażowy, widziałem tego krępego mężczyznę pierwszy raz w życiu, dzierżył w ręce latarnię. Jej blask padał na drzwi i wydłużał cienie, wyostrając zarazem rysy wszystkich zebranych w ciasnym pomieszczeniu.

– Co to za napis? – rzuciłem, wskazując na wpół zamazane arabskie litery wymalowane na drzwiach. Po chwili dostrzegłem, że napis sporządzono w dwóch językach, arabskim i francuskim.

Basharti chrząknął.

– Robione na zamówienie – mruknął cicho w odpowiedzi, jakby nie chciał, aby konduktor i jego ludzie słyszeli.

Konduktor trzymał nad głową zapaloną lampę naftową, dwaj pozostali czekali ze strzelbami. Ryki, wrzaski i przeraźliwy wizg dochodziły zza drzwi i ożyły z nową siłą. Drewniane przegrody łomotały raz po raz, jakby ktoś usiłował je od środka wyłamać. Przyjrzałem się napisowi. Był to z pewnością rodzaj pieczęci. Niezatarta część układała się między innymi w pisane po arabsku nazwisko „Elede”.

Szef personelu mruknął coś w kierunku Yousufa, co ten natychmiast przetłumaczył.

– Słyszeli ze środka coś jakby płacz i paniczny krzyk – zwrócił się do mnie i doktora prezesa. – Prosi o naszą pomoc.

Przyjrzałem się mężczyźnie w mundurze kolejarza. Był spocony i najwyraźniej wypadki przerosły go o głowę.

– Jestem doktorem. – Pokiwał Basharti, posługując się ojczyzną mową w dość ostrożny sposób, jak gdyby obawiał się, że powie coś nie tak albo jakby nie używał arabskiego zbyt długo. Lub wreszcie, pomyślałem z przekąsem, wcale nie był Arabem. – Mają panowie klucz? Albo siekierę?

– Tam może być niebezpiecznie – rzucił konduktor.

Drgnąłem, gdy usłyszałem te słowa. Nie potrzebowałem tym razem tłumaczenia.

W dłoni Bashartiego pojawił się colt o długiej lufie. Zastanawiałem się, gdzie on też mógł go schować. Czułem niepokój, widząc podobną broń w dłoniach osoby uznanej przeze mnie za nieprzewidywalną. Z drugiej strony trawiła mnie ciekawość, co też się wydarzyło.

– Wiem o niebezpieczeństwie i akceptuję je – mruknął Basharti stanowczym tonem. Konduktor wydobył klucze na żelaznym pierścieniu. Chwilę zajęło mu otwarcie zamka.

Wagon był wysoki i rozległy. Większość pomieszczenia tonęła w ciemnościach. Oprócz mroku towarzyszył nam zapach ekskrementów i piżma oraz trocin. Ciemność rozrzedzały maleńkie, okrągłe otwory w ścianach oraz blask naszej lampy. Dostrzegłem zagaszone kaganki po bokach i pomyślałem, że warto je zapalić. Wszędzie leżały skrzynie lub popękane pozostałości skrzyń, a pomiędzy nimi liny i ptasie pierze, fruujące także w powietrzu. Niektóre z drewnianych pudeł były opieczętowane, a kiedy konduktor poświecił, zobaczyliśmy napis „własność Masufa Elede”. I wtedy przyszło olśnienie. Oczywiście, Elede był bogaczem i filantropem, udziałowcem w Kanale Sueskim, jak i kairskim zoo.

– Ten Elede? – Odwróciłem się do doktora.

– Te wagony zostały specjalnie zaprojektowane dla niego – mruknął Basharti. – Widział pan napis na drzwiach?

Pokiwałem głową.

– Tylko po co? – zapytałem. – Co takiego umieszczono tutaj, aby specjalnie projektować wagony? Chyba nie ma pan na myśli zwierząt?

Rozejrzałem się za rzędem skrzyń.

Dalej znajdowały się boksy, w których dreptały rozdrażnione zwierzęta. Dostrzegłem zebrego, lwa w metalowej klatce i zarys kształtu karłowatego słonia, kiedy obok mnie wylądowała olbrzymia, barwnopióra papuga, dokazując nieznośnie głośnym skrzekiem. Drogę w kierunku boksów przegradzała większa od pozostałych skrzynia, cała pokryta nieznanego gatunku materiałem przypominającym jedwab.

Gdy tak staliśmy, rozległ się dźwięk pękającego drewna. Niemal namacalnie poczułem bijące w twarz zimno. Para wylała się z moich ust, szczypanych atakiem mrozu. Zwierzęta wydały z siebie głośny zew, atakując i szarpiąc kraty, jakby chciały je rozerwać na kawałki swoimi pazurami, kłami lub kopytami.

Dostrzegłem, że czoło Yousufa zaczyna pokrywać pot, a mężczyzna osuwa się, jakby zamierzał zemdleć. W tej samej chwili zawołał na niego jeden z konduktorów, śniady, brodaty typ. Szef obsługi wrzasnął coś do mnie po arabsku. Chyba chodziło mu o to, co dzieje się z panem Mastabe. Lecz było za późno. Prezes zatoczył się i uderzył tyłem głowy o jedną ze skrzyń. Mimo huk, który wywołało uderzenie, mężczyzna nie stracił przytomności.

Spoglądał nadal na nas rozszerzonymi szokiem oczami. Po boku jego głowy ciekła w dół strużka krwi. W jego ustach i nosie pojawiły się krwawe bąble.

Usłyszeliśmy tąpnięcie i grzechot desek, które poddały się jakiemuś niesamowitemu ciężarowi. Rozległ się klekot, gdy rozdarte na kawałki skrzynie runęły w naszą stronę.

– Yousuf! – zawył doktor. Zawisł nad nami jakiś niewyraźny, zamazany kształt, coś jakby cień. Zwierzęta zwierzyły krew i zaczęły się rzucać i szamotać, ze zdwojoną siłą atakując klatki. Serce we mnie zamarło.

– Niech pan uważa! – zawołał Basharti, patrząc na mnie rozszerzonymi ze strachu oczami. – Za panem!

Skierował na mnie lufę colta i oddał strzał. Huk rozdarł ciemność, a po nim nastąpiły kolejne wystrzały. Po chwili strzelali już wszyscy, którzy mieli broń. Usłyszałem brzdęk szkła, po nim łomot. Zgasło światło lampy, pozostawiając nas samych wobec niemal absolutnych ciemności.

Kolejne wystrzały. W ich blasku zobaczyłem szybko zbliżający się, kosmaty kształt. Poczulem, jak coś chwyta mnie za rękaw i wrzasnąłem ze strachu i zażenowania jednocześnie. Wszystko ogarnęła ciemność i istne pandemonium krzyków, wystrzałów i porykiwania. Nozdrza wypełnił obezwładniający fetor spalenizny, prochu, żywicy i piżma. Koszmar pogłębiał się z każdą okropną sekundą. Zwierzęta przybrały kształty bardziej ludzkie. Ujrzałem Khariusza i tę kobietę, Ninę, nagich i oddających się pocałunkom, podczas gdy do uszu nadal docierało głośnie wycie. Natura dźwięków sprawiała wrażenie słuchowego złudzenia, ale niczego już nie byłem pewny.

Po chwili wszystkie odgłosy zastąpił huk, coś jakby donośne klaśnięcie. Nie od razu zrozumiałem, że zostałem spoliczkowany. Stopniowo odzyskiwałem wzrok i inne zmysły. Stał nade mną konduktor, mamrocząc opętańczo. Byliśmy w ciemnym przedsionku, podłogę pokrywały ślady krwi. Zmysły jeszcze przez chwilę odmawiały mi posłuszeństwa. Miałem zarazem wrażenie, że leżę na wilgotnej ziemi, jak i że jestem ciągnięty. Moje nogi szorowały po deskach, czułem rozsypane na nich trociny. Wstrząsał mną raz po raz zimny dreszcz, przechodząc wzdłuż kręgosłupa. Pogrążyłem się w cichej otchłani niebytu.

– Niech pan posłucha! – zawołał obcy głos, wrywając mnie z nieświadomości. Oprzytomniałem na tyle, aby go zrozumieć. Rozejrzałem się, zdałem sobie bowiem sprawę, że nie znajdujemy się już w wagonie ze zwierzętami. To był w dalszym ciągu przedsionek, choć piekielnie niedoświetlony. Musieli mnie wytargać, podobnie jak pokrytego na twarzy krwią doktora, który leżał obok mnie. Odniosłem wrażenie, że stojący nade mną mężczyzna w mundurze niezgrabnie unosi się i uśmiecha sardonicznie, ukazując pokryte krwią zęby. Boże, te kły! Drgnąłem, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Zwodnicze poczucie realności, pełne dziwaczych aluzji ogarnęło mnie, zdając się drwić z moich pięciu zmysłów. Czułem strużki krwi,

a może potu, ściekające po ciele, w nozdrzach miałem smród zgnilizny i cmentarnych kadzideł, z dali dobiegał warkot silników i zwierzęcy ryk, przez który przedzierał się głos płaczącej kobiety.

– Proszę pana!

– Już dobrze. – Podniosłem się z kolan. Odkryłem, że ślady krwi są spowodowane przez odciski moich własnych butów. – Już w porządku.

Kogo ja usiłowałem oszukać? Wszystko było nierealne, zacierało się niczym zabarwiony krwawymi fantazjami sen.

– Tak powiedział dyrektor. – Rozległ się zwielokrotniony echem dźwięk wypowiedzianych słów, dobiegający znikąd i zewsząd.

– Słucham? – zapytałem.

Echo odpowiedziało:

– W Kairze nie ma jadowitych węży. Nie może więc pan tego rozgłaszać.

– O czym pan mówi?! – westchnąłem. Arabski konduktora był dla mnie niezrozumiały, połowę musiałem zgadywać. Lecz sam sens wydawał się jasny.

Doktor Basharti stanął obok konduktora. Jego wyzierająca z ciemności głowa ociekała krwią. Był blady jak duch i najwyraźniej w szoku.

– Oni mówią o biednym Yousufie. Znaleźli ślady ukąszenia na nodze. To musiał być wąż – wychrypiał parapsycholog.

Konduktor pokiwał z przejściem głową, jakby rozumiał angielski.

– Jest pan ranny, doktorze – zauważyłem.

– To nic, płytka, choć mocno krwawiąca rana. Zaatakował nas goryl – odparł Basharti, po czym nie minęła chwila i zarówno doktor, jak i konduktor zniknęli, zastąpieni ciemnością, w której rozlegało się jedynie głośnie, wibrujące dudnienie.

5. SECHMET

Dziennik Thomasa Elthorna III, wrzesień 1867,
w drodze do Birkasz

Po tym, co wydarzyło się na statku, zaprzestałem zapisków. Ciało panny Dubois odurzyło mnie do tego stopnia, że zacząłem rozważać opcję zaprzestania pościgu. Niemalże z rozpędu znalazłem się jednak wraz z nią w Aleksandrii, no a potem wydarzyło się to wszystko. Napad na dworcu, później mężczyzna, którego śmierci tak długo pragnąłem, wyciągnął mnie z kłopotów. O ile faktycznie to on był Karimem Husleyem.

Byłem nadal wzburzony po spotkaniu z „ministrem Khariuszem”, gdy znaleźliśmy się z Niną w przedziale. Każdy wagon mieścił trzy podobnie wyglądające pomieszczenia. Każdy przedział posiadał dwa wejścia, od strony korytarza, jak i z zewnątrz. Oba zaopatrzone były w zamki, do których klucze otrzymywali w depozycie wraz z biletem pasażerowie. Podróżowanie w ten sposób było stosunkowo wygodne pomimo pewnej ciasnoty. Gustownie urządzone wnętrza, z kosztowną boazerią i wygodnymi sofami, które w razie potrzeby mogły pełnić rolę kuszetki, zadowolić mogło nawet kogoś tak wybrednego jak ja. Była to miła odmiana po męczącej przeprawie przez pustynię czy niewygodnej kajucie.

Nie potrafiłem się jednak odprężyć. Nie pomogło wino, które wypilem jeszcze w wagonie restauracyjnym, a potem więcej, po zamknięciu się w przedziale. Osobliwa reakcja, którą zaobserwowałem u Niny, gdy tylko zobaczyła mężczyznę w restauracji, bezustannie mnie dręczyła. A może on po prostu działał tak na kobiety? Przypomniałem sobie niektóre listy Clarissy.

Byłem wściekły. Może dlatego zapytałem prosto z mostu:

– Kim on jest dla ciebie?

– Kto? – Ściągnęła brwi, odwracając się od ściany, wyłożonej na dole drewnem, a wyżej, na wysokości oczu stojącego człowieka, gustownymi tapetami w kwiaty. Nina wyglądała źle, była blada i najwyraźniej wycieńczona. Twierdziła, że to przez bezowocne poszukiwania mnie po całym mieście. Jej zdaniem rozłączyliśmy się wskutek zamieszania, które wybuchło na dworcu Nadmorskim, gdy napadnięto Francuza. Miałem wątpliwości co do prawdomówności Niny.

– Znacie się. I to dobrze.

– Nie bądź śmieszny. Ja i ten Arab? – zapytała, szybko unikając mojego wzroku

– To jest on! – Złapałem ją za rękę.

– Kto? – Odwróciła się, ale zamiast jak zwykle odwzajemnić mój wzrok, opuściła oczy i wycofała się.

– Husley – oznajmiłem, trochę za mocno zaciskając dłoń na jej nadgarstku. Kiedy podjęła próbę wyrwania się, wzmożłem siłę palców. – Nie zgadzają się włosy, powinien mieć krótkie, ale może to tylko peruka.

– Peruka? – parsknęła gniewnie. – Chyba sobie żarty stroisz.

– Więc jednak go znasz? – Ścisnąłem.

– Sprawiasz mi ból.

– A ty mnie okłamujesz.

Wyrwała rękę, usiadła na obitym adamaszkim siedzeniu i zmierzyła mnie wzrokiem.

– No a co zrobisz, jeśli to naprawdę on? – spytała zaczepnie.

– Niewiele mogę tak naprawdę zrobić – przyznałem. – Przy aresztowaniu zabrali mi broń.

– Nie to mam na myśli. – Spojrzała w okno zakryte grubą zasłoną w kwiaty.

– Kim on jest? – Usiadłem naprzeciw niej. – Widziałem, jak na niego patrzysz. Nie uwierzę, że go nie znasz.

Opuściła wzrok.

– Masz rację.

– Więc przyznajesz w końcu?

Pokręciła głową.

– Nie to miałam na myśli. To mężczyzna, który mnie uwiódł. Ten, o którym opowiadałam na Karru.

To zbiło mnie z tropu.

– Wspomniałaś, zdaje się, że twój kochanek nie żyje.

Chwyciła moją dłoń w swoje i spojrzała na mnie z żarem w oczach. Jej ręce zaskoczyły mnie gorącem, zupełnie jakby ciało płonęło pod skórą.

– Wszystko, co powiedziałam, było prawdą. On nie powinien był przeżyć.

– I ty o tym wiedziałaś. Wiedziałaś, że ten mężczyzna żyje.

Pokiwała głową.

– Wydawało mi się, że na zawsze z nim zerwałam. – Spojrzała w bok. – To, co się z nim stało po zamachu, przerażało mnie.

– A co się z nim stało? – Powoli uwolniłem dłoń i wstałem, podchodząc do okna. W oczach Niny błysnęły łzy. Nie wiem, dlaczego, lecz nie zrobiło to na mnie większego wrażenia.

I w tym momencie rozległ się huk, a pociąg zaczął gwałtownie zwalniać. Runąłem wprost na nią, czując pod sobą jej płonące ciało.

– Ktoś musiał pociągnąć za hamulec! – zawołałem. Zmierzyła mnie, mam wrażenie, że z pogardą w oczach.

– Nic o mnie nie wiesz – westchnęła do mojego ucha. – A teraz proszę, zejdz ze mnie. Chcę się z nim zobaczyć.

– Pomimo strachu, który w tobie wywołuje?

– Nie mogę inaczej. – Znowu drgnęły jej usta, jakby miała zamiar się rozplakać. – To silniejsze ode mnie.

– Silniejsze?

– Zejdź ze mnie wreszcie.

Zaskoczył mnie lodowaty ton głosu, a jeszcze bardziej spojrzenie, kierujące się z zimnym namysłem w stronę drzwi na korytarz. Nie była taka od czasu Karru, lecz cząstka mnie wiedziała, że mam przed sobą prawdziwą Ninę Dubois. Kobietę, która uwiodła mnie w jakimś ukrytym, ponurym celu. Miało to związek ze śmiercią mojej siostry, moją podróżą i tym przeklętym Arabem. Posłusznie zsunąłem się z panny Dubois, wsłuchując uważnie w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Pociąg gwałtownie hamował.

Zapiski Luciena Magona z kairskiego Muzeum Starożytności, dotyczące wypadków w drodze do Kairu.
Część druga

– Gdzie doktor Basharti? – zapytałem roztrzęsionym głosem.

– Kto? – spytał mężczyzna, którego twarz wisiała nade mną. Przez chwilę mierzyłem go spojrzeniem. W końcu rozpoznałem to oblicze, jak i swoje otoczenie. Leżałem, zdaje się, na couche, w swoim przedziale. Musiałem stracić przytomność. A to był ten Anglik, sir Thomas.

– Kogo ma pan na myśli, panie Magon? – zapytał, chyba celowo przechodząc na francuski. Oczami dał mi do zrozumienia, że ktoś jest za drzwiami. Zdawkowo kiwnąłem, oznajmiając, że rozumiem.

– Poznałem tego mężczyznę po waszym wyjściu. – Zerwałem się i usiadłem mimo silnych zawrotów. Podparłem głowę w dłoni. – Coś koło pięćdziesiątki, śniady, zdaje się, że Arab. On... Powiedział mi, że Khariusz nie jest tym, za kogo się podaje. Zapraszał mnie do siebie, aby przedstawić dowody. Niestety, pociąg stanął i rozpętało się piekło.

Na zewnątrz przedziału, za oszklonymi drzwiami, których mleczną szybę zasłaniały story, stał mężczyzna. Właściwie, to widziałem cienie dwóch mężczyzn. Wskazałem sylwetki skinieniem głowy.

– Konduktor i jego zastępca – mruknął z ponurym uśmiechem sir Thomas.

– Co oni tam robią?

– To właśnie oni mnie do pana wpuścili.

– A pana ekstrawagancka przyjaciółka? Gdzie jest?

– Z Khariuszem – odparł, odrywając oczy ode mnie i wlepiając je w przeciwległą ścianę. – Tylko że ja znam go pod imieniem Karim Husley. – Przeniósł z powrotem wzrok na mnie. – Jest mordercą, panie Magon. Tropię go od początku roku.

Nachmurzyłem się.

– To ta zemsta, o której pan mówił? – przyznałem, zaskoczony niezwykłą trzeźwością myśli. Spojrzałem w dół, ze zdziwieniem odkrywając, że mam na sobie swoją pasiastą piżamę. – Co się ze mną działo? Czy jestem ranny?

Pokręcił głową.

– Bez obawy. Jedynie stłuczenia. Podobno pan zemdłał.

– Nie przywykłem do widoku krwi, a było jej tam dużo – wyjaśniłem, czując palący wstyd. – Co tu się tak naprawdę dzieje, panie Elthorn?

– Później wyjaśnię panu tyle, ile sam wiem – oznajmił. – Teraz chcę, aby zaaranżował pan spotkanie z tym doktorem, o którym wspomniał.

– A tamci? – Wskazałem brodą obsługę za drzwiami.

– Sprowadzili mnie tu, gdy tylko się uspokoiło. Twierdzili, że widziano nas razem. Ale... Prawdę powiedziawszy, nieco dziwnie się zachowują. Sądzę, że Khariusz ich zahipnotyzował.

– Co zrobił?

– Jest wytrawnym hipnotyzerem. Ma na swoim koncie moją siostrę, pannę Dubois, a i ja przez jakiś czas byłem w jego mocy, choć od momentu rozmowy z Niną Dubois najwyraźniej uwolniłem się spod jego wpływu. Co ten Basharti wie? Mówił coś panu?

Wzruszył ramionami.

– Nie miałem okazji się przekonać – oznajmiłem. – Po co sprowadziła pana obsługa pociągu?

Ponowne wzruszenie.

– Aby się z panem dogadać, jak sądzą. Jeden z pasażerów usiłował mi przetłumaczyć, co mówili, niestety, sam słabo znał angielski, więc nic z tego tłumaczenia nie wyszło. Z tego jednak, co z wielkim trudem udało mi się pojąć, prosili, abym zwrócił się do pana i dał do zrozumienia, że zawiadamianie władz byłoby jakimś okropnym głupstwem. Wspominali coś o węzach i jakimś prezesie. Naprawdę... Niewiele z tego rozumiałem.

Przypomniałem sobie moje wizje. Czyżby rozmowa o węzach, którą słyszałem, naprawdę miała miejsce?

– Za to ja rozumiem, kogo mieli na myśli. Prezesa Yousufa Mastabe. On także z nami był. Basharti zajmuje się jego terapią.

– Jaką terapią?! – Zamarł, a jego twarz stężała i stała się blada jak papirus.

– Zaklinam pana, Magon... Niechże pan mówi z sensem!

– Później, drogi kolego – zaproponowałem, przewyciężając kłębiące się w głowie myśli. – Wszystko panu wyjaśnię. Najpierw musimy się dostać do Bashartiego.

– Jest pan strasznie rozgorączkowany – ocenił.

– Też by pan był. Na moim miejscu.

– Zgoda. Mamy zatem godzinę, zanim pociąg znów ruszy – zauważył, a ja potaknąłem głową.

– Gdzie teraz jesteśmy?

– Niedaleko Kaum Hamada.

– Tam doktor Basharti zostanie zabrany do szpitala – oznajmiłem po chwili namysłu. – Ostatnio, gdy go widziałem, był ranny.

– Wykorzystajmy zatem jak najlepiej nasz czas. O ile Khariusz nie dotrze do Bashartiego pierwszy.

– No właśnie. – Westchnąłem. – Zastanawia mnie ten Khariusz. On panu pomógł. Wyciągnął pana z więzienia. Rozważał pan może, dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. Choć coraz bardziej się czuję jak mysz w klatce. Podejmuję jakieś działania, spotykam ludzi, a potem okazuje się, że to wszystko jest ukartowane. Aż boję się zapytać, co będzie jeszcze.

– Co będzie jeszcze? Wydostaniemy się stąd. Niech mi pan poda torbę. Jest tam moja marynarka.

– Może faktycznie najpierw się pan ubierze i trochę odświeży? – zaproponował sir Elthorn. Wskazał toaletkę mieszczącą się w płytkiej wnęce. Znajdowały się tam zlew i ubikacja, stanowiące część prawie każdego przedziału. Pokręciłem głową, wzuwając buty.

* * *

Basharti zniknął jak kamfora, tak przynajmniej utrzymywał konduktor. Głos mężczyzny zdradzał wielkie zdenerwowanie. Nie panował nad nami i swoim personelem, i w ogóle nie kontrolował sytuacji. Jeden pasażer nie żył, drugi zaginął bez wieści wraz z bagażowym, gdy był prowadzony do przedziału. Działo się tu coś podejrzanego, a konduktor nie potrafił zdobyć się na żaden sensowny gest. Miałem wrażenie, że jego ręce wiąże czyjaś potężna wola.

Pozyskanie klucza do przedziału Bashartiego okazało się dziecinnie proste, choć ryzyko, które podjęliśmy, wydawało mi się stosunkowo duże. To Elthorn wpadł na pomysł, że skoro obaj byliśmy widziani razem z ministrem Khariuszem, a nawet jedliśmy w jego towarzystwie śniadanie, to na niego powinniśmy się powołać. Oczywiście, mogło to wywołać lawinę następstw i konduktor mógł zawiadomić kłamliwego Araba, lecz liczyliśmy na łut szczęścia oraz fakt, że minister był prawdopodobnie zajęty z panną Dubois, cokolwiek miało to znaczyć. Kiedy wspomniałem o tym sir Thomasowi, spojrzenie, którym mnie obdarzył, było mordercze. Po chwili zastanowienia jednak z namysłem kiwnął głową. Nie komentowaliśmy już potem tej sytuacji między sobą. Ważniejsze było szybkie i zdecydowane działanie.

W przedziale doktora panował wielki rozgardiasz, książki i papiery poniewierały się wszędzie. Niektóre z książek były otwarte i spoczywały grzbietem do góry, leżąc na otwartych stronach. Nie sądzę jednak, aby bałagan był wywołany przez kogoś innego niż sam doktor Basharti. Nic nie wskazywało też, aby dzielił przedział z prezesem Mastabe, co wydawało się jeszcze bardziej osobliwe. Zadawałem sobie w myślach pytanie, czy ktoś nie wydał polecenia posprzątania wszystkich rzeczy Yousufa w związku z jego

śmiercią. Tylko kto wydałby taki rozkaz? Komu zależało na zatuszowaniu sprawy? Khariuszowi? Personelowi pociągu?

Papiery leżały wszędzie, wystawały z teczek i kopert, jak też zwykłych zeszytów, zasłana była nimi wykładzina i siedzenie.

– Możliwe, że uderzenie, a po nim hamowanie, wyrzuciło w powietrze część rzeczy Bashartiego – zauważyłem, spoglądając w twarz Anglika, nie zdradzającą jego zdania na ten temat. Uparcie milczał.

Konduktor był z nami i pierwszy rzucił okiem na papiery, lecz zrezygnował po przerzuceniu zaledwie kilku zeszytów. Wszystkie napisane były po angielsku drżącym charakterem pisma, co trochę mnie zastanowiło. Każdy notatnik był opatrzony numerem porządkowym, złożonym z cyfr, z których tylko część stanowiła daty. Szybko odgadłem, że zeszyty są w rzeczywistości zapisane uwagami z kolejnych sesji terapeutycznych z pacjentami.

Konduktor początkowo stał nad nami, lecz prędko się wycofał, zapewne znudzony naszą drobiazgową robotą. Wrócił na korytarz. Sądząc z zapachu, zapalił papierosa.

Zeszyty nie przedstawiały sobą wielkiej wartości, będąc głównie zapisem seansów hipnotycznych. Znalazłem ten, który dotyczył prezesa Mastabe, lecz było to bardziej szczęście niż wynik skrupulatnego poszukiwania. Kartkowanie zapisków z pozostałych sesji postanowiłem odłożyć na później.

Inne dokumenty sporządzono w języku arabskim i większą ich część stanowiły plany kanałów, zapewne własność prezesa i zarazem jedyny ślad powiązania z doktorem. Arabski znałem słabo, w zasadzie jedynie fonetycznie. Pismo było mi praktycznie obce. Uwagę mojego angielskiego kolegi zwrócił pewien stary dokument, sporządzony po angielsku. Był to pisany pięknym, ozdobnym pismem akt ślubu z początku wieku, o którym mówili moi niedoszli przyjaciele.

Początkowo na próżno szukałem traktatów Maura z Hiszpanii i drugiego wspomnianego przez Bashartiego autora, Mikołaja z Damaszku. Znalazłem za to dwa łacińskie teksty i maszynopis w języku angielskim.

Nie przerwałem poszukiwań interesujących mnie tomów, stwierdzając, że innymi dokumentami mogę zająć się później. Między porzuczanymi notatnikami znalazłem w końcu leżący tekstem do dołu gruby drukowany wolumin, liczący może z pół tysiąca stron, formatu folio. Podniosłem otwartą księgę. Jej kolejne kartki pofałdowały się od wilgoci, część z nich latała luźno. Tekst napisano po arabsku i od razu wpadłem na pomysł, że to musi być księga Maura z Hiszpanii, o której wspominał doktor. Na szczęście książkę wypełniały notatki na marginesie, sporządzone piórem, znajomym koślawym i niezbyt starannym pismem, jak mniemam, należącym do doktora Bashartiego. Skreślono je po angielsku.

– Dlaczego angielski? – zapytałem sam siebie. Elthorn uznał, że to pytanie do niego i wzruszył ramionami.

– Być może zamierzał przekazać notatki władzom brytyjskim?

– Tylko w jakim celu? Razem z zeszytami z sesji?

Ponownie uniósł ramiona w górę.

– Może nikt tu nie jest tym, za kogo się podaje? – rzucił bez dłuższego namysłu. Pokręciłem głową, czując mętlik. Obiecałem sobie wszystko na spokojnie rozważyć.

Zwróciłem uwagę na otwarte strony. Było to mniej więcej w środku tomu. Tekst zawierał przypis na marginesie, sporządzony tym samym drżącym charakterem pisma co notatki w zeszytach.

Dostrzegamy słynną latarnię morską, która nie ma na świecie niczego sobie równego tak pod względem harmonii, jak i trwałości konstrukcji, ponieważ niezależnie od faktu, że wzniesiono ją ze wspaniałego kamienia zwanego al-kaddan, warstwy bloków spojone są roztopionym ołowiem i tak doskonale dopasowane, że budowla stanowi niezniszczalną całość, chociaż bezustannie biją w nią fale morza. Odległość latarni od miasta morzem wynosi jedną milę, lądem zaś trzy. Wysokość jej wynosi 300 łokci raszaszi, z których każdy równa się trzem piędziom, co czyni 100 sążni wysokości, z których 4 stanowi wysokość samej latarni na szczycie.

Od ziemi do balkonu mierzy ona dokładnie 70 sążni, zaś od balkonu do wierzchołka wieży – 26 sążni.

Na górę można się wspiąć szerokimi schodami, skonstruowanymi wewnątrz wieży, o takiej szerokości...

Prześlizgnąłem się wzrokiem po tekście, nie znajdując w nim nic ciekawego.

Budowla ta jest szczególnie godna uwagi, tak pod względem swej wysokości, jak i trwałości.

Jest ona wielce użyteczna, ponieważ pali się na niej dzień i noc ogień przewodni dla żeglarzy przez cały sezon żeglugi.

Marynarze znają ten ogień i biorą nań kurs, ponieważ jest on widoczny z odległości dnia drogi (100 mil).

Nocą światło to wygląda jak błyszcząca gwiazda, w dzień można dostrzec jego dym.

Inna księga leżała pod siedzeniem. Wziąłem ją do ręki. Format był podobny, tytuł na okładce zatarty. Oryginalny tekst został zapisany w starożytnej łacinie, lecz zawarte w książce komentarze znowu napisano współczesną angielszczyzną. Według owych komentarzy do księgi, niejaki Mikołaj był historykiem, dyplomata i poetą, który przez większość swego życia służył na dworze Heroda Wielkiego. Nauczał dzieci Kleopatry i Antoniusza.

Obejrzałem księgę. Środek okładki został gęsto zapisany, lecz zapiski te były niezwykle zagadkowe.

Khariusz, X w. naszej ery?

Abigdala, służąca Kleopatry, czasy Augustiana, czy to jest Pradawna? Kapłanka Nieznanego Boga Umarłych, którego bezmyślne hybrydyczne stwory karmią ludzkimi ochłapami w mroku Piramid Gizy? Tego, którego podobizną miał być Sfinks? Legenda wspomina o Abigdali w kontekście katakumb na wzgórzu Kafli, będących reliktem czasów rzymskich.

Kora Khalud, kora gr. „dziewczyna”, wg Kod. grecka kapłanka Diany z czasów dom. Rzymskiej.

Czy to ta sama Kora? A może przyjęła tylko jej imię?

Na drugiej stronie okładki także widniały notatki. Tekst, sporządzony znajomym charakterem pisma, dotyczył niewolnicy Kleopatry VII, niejkiej Abigdali, która była „Kaaman Mish Mumkin”, co znaczy zarazem „więcej jak niewolnik” jak i „więcej jak niemożliwy”. Abigdala była najwierniejszą służebnicą Kleopatry i mówiło się, że spoczęła w sarkofagu obok swej pani, zgładzona ręką rzymskiego konsula, Nestora. Najbardziej uderzający był ostatni fragment notatki:

Abigdala była najwyższą kapłanką S i prostytutką sakralną, gdy odnalazła ją w Denderze Kleop. Była jej wierna, póki nie znalazła miłości w objęciach Rzymianina. Zdradziła swą panią, za co została ukarana. Odebrano jej dziecko i wyrwano serce, a potem spalono i dziecię, i wyszarpanięty z ciała organ. Odnośnik w Kod. z Nadż Hammadi. Uwięziona w sarkofagu opatrzonym pieczęcią ze znakiem Starszych, posiadającą magiczne właściwości. Kiedyś pieczęci tego typu chroniły świat przed potężnymi dżinami, dziś posłużyły ochronie przed kobietą władającą magicznymi mocami wynikającymi ze sprawowanej funkcji. Uwięziona została najpierw w Faros, a następnie przeniesiona. Sarkofag opatrzono pieczęciami wzmiankowanymi w tekście. Dendera?

Inne odnośniki oznaczono w tekście fiszkami. Zacząłem je pośpiesznie przeglądać, doszukując się w nich niewiele sensu, zwłaszcza że nie rozumiałem tekstu, do którego się odnoszą. Nie znajdując już nic ciekawego, przeniósłem wzrok raz jeszcze na okładkę. Teraz, wzbogacony o nową wiedzę, odkryłem tłoczenie przeoczone podczas wstępnych oględzin. Wytłoczonemu słowu po łacinie „Historiae”, towarzyszyło drugie, Nikolai. Mikołaj. Poniżej zauważyłem jeszcze dwa wyrazy, oznaczające po łacinie tyle samo, co współczesne określenie „Fragmentów zebranych”.

– I co? – przerwał mi sir Ethorn. – Cokolwiek?

Pokręciłem głową, biorąc do ręki kolejną książkę.

– Nic, co by miało sens.

„Clavicula Salomonis”, brzmiał łaciński tytuł. Słyszałem już o tym tajemniczym dziele. Zwany także „Więszym Kluczem Salomona”, traktat rozpoczynał się dialogiem Salomona i Roboama, jego syna, któremu król Izraela wyjaśnia tajniki sztuki władania nad duchami.

– To jest ciekawe... – mruknąłem, nawet nie wiedząc, że mówię głośno.

– Ciekawe?

– Aha.

- A o czym traktuje? – Sir Thomas chyba całkiem już zrezygnował z dalszych badań. Może lepiej, że nie powiedziałem mu o angielskich notatkach.
- O dżinach.
- Dżinach? – Nachmurzył się i zmierzył mnie nierozumiejącym wzrokiem.
- Czyli?
- W arabskim folklorze z czasów przed mahometańskich, dżiny były to wrogie człowiekowi, zamieszkujące odludne pustynie duchy ognia.
- Czemu to interesowało Bashartiego? – spytał tonem sugerującym, że moje wyjaśnienia niewiele pomogły.
- No cóż, dżin to jedynie nazwa. Niektórzy wskazują na dość bliskie podobieństwa do hebrajskich demonów, także z reguły nieprzyjaznych człowiekowi. Być może doktor uważał, że Mastabe został opętany?
- Elthorn pokręcił głową, lecz nie poddałem się, zrażony jego ambiwalencją.
- Niech pan posłucha tego... – Po czym z palcem na tekście zacząłem z wolna odcyfrowywać kolejne łacińskie słowa.
- Przedstawionych tu zostało 72 potężnych królów i książąt, których król Salomon zagonił wraz ze wszystkimi legionami do mosiężnego naczynia. Na ich czele znajdowali się BELIAL, BILET, ASMODY i GAAP. Kiedy Salomon zamknął ich wszystkich w tym naczyniu, przy pomocy boskiej mocy cisnął je do głębokiego jeziora, czy też do dziury w Babilonie. Babilończycy, dostawszy się tam, sądzili, że znaleźli skarb. Postanowili więc otworzyć naczynie. A wtedy wydostały się z niego na świat hordy duchów, które zajęły swe dawne miejsca.*
- Asmodeusz, tak jak i inne demony uwięzione przez Salomona, musiał być jednym z takich „duchów pustkowi” – przerwałem, spostrzegając wyraz twarzy mężczyzny.
- Nadal nie rozumiem, czemu mi pan to czyta.
- Nie? Dżiny wzięto w zalakowanych szkatułkach, a raczej sarkofagach, opatrzonych specjalnymi pieczęciami, na których wyryto znaki mocy. Czyż mosiężna lampa nie jest odpowiednikiem mosiężnej szkatułki, w której Sulejman, czyli islamski prorok Salomon, uwięził dżina, a potarcie owej lampy starciem magicznych zaklęć utrzymujących demona wewnątrz?
- Dla mnie to bzdury – odparł.
- Pokręciłem głową, biorąc do ręki kolejny dokument. Był to maszynopis. Jego autorem był Anglik, sir Harold Baxter. Stanowił tłumaczenie tekstu arabskiego. Kimkolwiek był lord Baxter, interesowała go historia.
- Ściągnąłem brwi. Nie uszło to uwadze Anglika.
- Co się stało?
- Sam nie jestem pewien. – Podrapałem się po głowie. – To ciekawe.
- Co dokładnie? Autorem tego maszynopisu jest ktoś, kto nazywa się Baxter. Sir Harold Baxter. Ten Baxter przetłumaczył pewien stary tekst, o którym już słyszałem. To Kodycyle z Nadż Hammadi.
- Kodycyle co? – spytał jak prawdziwy laik.

– Nie „co”, tylko „skąd”. Kodycyle z Nadż Hammadi są kompilacją ponad tysiąc dwustu stron. Najpewniej zostały one wykradzione i uznano je za zaginione. Sporządzone na papirusie, najstarszy wolumin posiadał skórzaną oprawę. Językiem tekstu był koptyjski. Kodycyle zawierały wątki żydowskie, platońskie i chrześcijańskie, a ich kompilację przypisywało się Jezusowi lub świętemu Tomaszowi. Były to apokryfy, czyli sekretne tomiszczka, które nie weszły do kanonu.

– Czyli... Takie tajemne księgi?

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego przebiegłem wzrokiem po tekście.

Zamierzałem go przeczytać jak najdokładniej, z racji że Basharti odwołał się do niego w jednej ze swoich notatek, potem chciałem sprawdzić kontekst tego odwołania.

„Odebrano jej dziecko i wyrwano serce, a potem spalono i dziecię, i wyszarpnięty z ciała organ. Odnośnik w Kod. z Nadż Hammadi.”, pisał na marginesie Basharti (o ile to był on).

Niestety, takie szybkie wertowanie nie sprzyjało odkryciom i odłożyłem maszynopis, nie znajdując w nim żadnych widocznych odniesień.

Kolejny tekst, także pisany na maszynie, również był autorstwa tajemniczego sir Baxtera. To kolejne opracowanie. Według tego, co odczytałem, dzieło nosiło tytuł „O Szalonym Kalifie”, a oryginalny tekst pochodził z XI wieku i miał koptyjskie korzenie.

Słyszałem już o tej postaci i nie były to dobre rzeczy. Należało jednak oddzielić prawdę od fikcji. Koptowie stanowili grupę żarliwych patriotów i wyrażali się bardzo negatywnie na temat Kalifa, który prześladował chrześcijan. Al Kahima był władcą w latach 996-1021, tyranem, opętanym ideą ożywienia duchowości izmailitów. Przypisywano mu winę za 120 mordów na chrześcijanach, większości z nich dokonał w Aleksandrii. Gdy sprzeciwiła mu się siostra, Sitt al-Mulk, Kalif ukarał wszystkie kobiety serią niepopularnych dekretów. W 1017 roku, z nieznanых powodów, ogłosił się bóstwem. Pomogło mu w tym grono radykalnych izmailitów irańskich, będących w rzeczywistości sektą powiązaną z niemal wymarłą linią wojowników ze świty faraonów, Imahuemanch. W Al Fustat wybuchły protesty. Sekta zbiegła do Libanu. Ślad po Kalifie zaginął, gdy władca wybrał się na przejażdżkę osiołkiem, przez wzgórza Mukattam.

Wśród pozostałych notatek był również artykuł wycięty z nieokreślonej, anglojęzycznej gazety, dotyczący roku 1865. Z tego, co pamiętam, wybuchła wtedy w Egipcie epidemia febry i cholery. Wymieniono w nim osobę niejakiego sir Harolda Baxtera, historyka i kartografa, który przemierzył wzdłuż i wszerz całe dorzecze Nilu, był także stosunkowo znanym odkrywcą. Baxter padł ofiarą febry wraz z całą rodziną. Tekst został przekreślony ołówkiem, a na dole napisano po angielsku drukowanymi literami, robiąc dziury w słabej jakości papierze:

NIE JEST UMARŁYM TEN, KTO ŚPI WIEKAMI
NAWET ŚMIERĆ ZEMRZE WRAZ Z DZIWNYMI EONAMI.

Raz jeszcze przerwał mi ten sam, wyraźnie już poirytowany głos.

– Znalazł pan coś, czy nie?! – Oderwałem się od lektury i przetarłem oczy. Nagle rozległ się pojedynczy łomot, a potem pociąg wolno ruszył z miejsca. Moją uwagę zwrócił cichy szmer, dochodzący z mieszczącej się w pobliżu wyjścia na korytarz niewielkiej łazienki, której drzwi pod wpływem ruchu pociągu delikatnie się uchyliły.

– Csiiii... – Położyłem palec na ustach. – Nie jesteśmy sami.

Elthorn przekradł się tak, aby nie być zauważonym z łazienki. W tej samej chwili drzwi otworzyły się jeszcze szerzej. Na zlewie dostrzegłem zacieki. Czyżby to była krew? Odkryłem tam też kluczyk z brelokiem, pozostawiony na pokrytej płytkami podłodze.

– Uwóżaj! – zawołałem, a przez otwór wystrzeliła ręka z zakrzywionym nożem. Anglik cofnął dłoń, którą zamierzał pchnąć drzwi i runął do tyłu. Rozległ się gwizd, a mężczyzna w czarnej tunice dosłownie przepłynął między nami. Twarz miał zasłoniętą i tylko jego złowrogie oczy świdrowały przedział. Wycharczał coś pod chustą, po czym stanął zgarbiony między mną a Anglikiem.

Elthorn zerwał się i rzucił mu na spotkanie. Złapał mężczyznę oburącz za rękę z nożem, usiłując założyć blok. Ja nie pozostawałem dłużny i zaatakowałem nogi zbira. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nigdy nie byłem typem bohatera. Napastnik wykrzyknął coś głośno. Nie jestem do końca pewny, ale chyba rozumiałem, co znaczą jego słowa. Brzmiały mniej więcej tak:

La fatalla Ali, la saif illa Dhulfigar!

Nóż poszedł w ruch, a ja poczułem kopniaka, a po chwili także kolano na brodzie. Zatoczyłem się w stronę siedzenia. Na szczęście śmiertelny cios, którego się spodziewałem, nie nadszedł.

Zdając sobie sprawę, że nie zdołał nas zaskoczyć, zamachowiec pchnął Elthorna na okno, a potem runął na korytarz. Nie zdążyłem złapać go za poły szat. W tej samej chwili usłyszałem dudnienie, o dziwo nad sobą.

– Ktoś biegnie dachem! – zawołałem, na co Anglik pokręcił głową.

– Nie ktoś – wychrypiał. – Kilku ludzi.

– Dlaczego go pan nie powstrzymał? – zapytałem.

– Był niebywale silny.

– Fanatyk! – Kiwnąłem głową. – Sądząc z tego, co wykrzykiwał, szyita.

– A co takiego wykrzykiwał? Pan go rozumiał?!

– „Nie ma bohatera nad Alego, nie ma miecza nad Zulfikara” – zawołałem.

– Miecz Alego to jeden z symboli islamu.

– Świetnie. Tego brakowało. Myśli pan, że za wszystkim stoi Khariusz?

– Wcale bym się nie zdziwił – przyznałem. – A gdzie był w tym czasie konduktor?

– Sprawdźmy to.

Wybiegliśmy na korytarz, gdzie spodziewaliśmy się zobaczyć obsługę pociągu, lecz było tam pusto i tylko krzyki, i wystrzały dobiegające z innej części pociągu upewniły nas, że dzieje się coś bardzo niepokojącego.

– Sarkofag – zaproponowałem, widząc, że Elthorn wraca do środka i uchyla drzwi do kabiny. – Jest w wagonie ze zwierzętami, w skrzyni zasłoniętej materiałem. Jestem tego pewny. Co innego mogłoby tam być?

Kiwnął głową, podnosząc kluczyk z brelokiem. Przedstawiał jakąś brodatą sylwetkę. Dotknąłem ozdoby, natychmiast rozpoznając wizerunek.

– Święty Andrzej. To kluczyk do skrytki na dworcu świętego Andrzeja w Kairze – oznajmiłem. Wzniósł w moim kierunku pytające spojrzenie.

– Ciekawe, co zawiera – odparł.

Rozległ się krzyk z jeszcze innej części pociągu. Długi, pełen paniki i mrozący krew w żyłach. Dołączył do niego drugi, z kolei wypełniony frustracją.

– Szybko! – Sir Thomas minął mnie w pędzie. – To gdzieś stamtąd!

Odgłosy dochodziły z przodu, od strony wagonu restauracyjnego. Mijaliśmy wyglądających ze zdziwieniem ze swoich przedziałów współpasażerów. Mniej więcej w połowie naszej drogi pociąg zaczął hamować przy wtórze zgrzytających szyn. Łapaliśmy się, czego popadnie, aby nie upaść.

– Ktoś musiał znowu pociągnąć za hamulec – zawołałem, przekrzykując rumor. Na szczęście uczucie nie było tak przykre jak poprzednim razem. Pociąg nie osiągnął jeszcze zbyt dużej prędkości, to i hamowanie nie było gwałtowne.

Po chwili wznowiliśmy marsz w stronę restauracji. Wydawało mi się, że wiem, co zobaczę, lecz nic nie mogło mnie przygotować na widok, który roztoczył się przed moimi oczami. Istne piekło! Zaczynając od uchylonych drzwi do wagonu, w których mleczna szyba została częściowo wytłuczona, a jej odłamki leżały u naszych stóp, nic w wagonie nie stało na miejscu i wszystko pokrywały ślady krwi i zażartej walki. Na pierwsze ciało natknęliśmy się od razu. Kelner usiłował jakąś szmatą zatamować krwotok z krtani i tak zastygł, z wytrzeszczonymi oczami. Kolejne ofiary zwały się pod stoły. Moją uwagę zwrócił jeszcze hamulec, pociągnięty być może przez jedną z nich.

Gdy się nad tym zastanawiałem, spod jednego ze stolików wychynął na czworakach jakiś dziko wyglądający mężczyzna. Cicho powarkiwiał, a jego rozchełstana koszula ociekała krwią. To przez nastroszone, mokre włosy go nie rozpoznałem. Dopiero rana na czole uprzytomniła mi, kogo mam przed sobą. Doznałem szoku.

– Basharti? – zapytałem z wahaniem. Między zębami żuł jakiś ochłap, który zsunął się mu częściowo po brodzie. Doktor Basharti wstał i zmiażdżył pod obcasem kawałek mięsa, który przed chwilą miał w ustach.

– To jakiś obłąd... – oznajmiłem, przytrzymując się jednego ze stołów. – To się nie dzieje...

Cała odwaga w jednej chwili ze mnie wyparowała. Na szczęście niezawodny pan Elthorn zachował zimną krew i gdy tylko odkrył leżącego na ziemi colta, wziął go do ręki i wycelował w stronę doktora.

– Ani się rusz! – zawył, lecz Basharti zdawał się go nie dostrzegać, mrużąc coś cichym, melodyjnym głosem. Nie rozpoznałem słów, jeśli w ogóle były to słowa.

– Doktorze! – zawołałem. To przywróciło mu chyba trochę przytomności umysłu.

– Ten głos w mojej głowie... – rzucił po angielsku, a po chwili wzniosł twarz i wrzasnął rozzwierając: – Ten głos w mojej głowie!

Dotknął lepkimi od krwi palcami swoich oczu i zaczął je energicznie pocierać. Po chwili padł przed nami na kolana w akcie bezsilności i poddania. Dach znowu zadudnił odgłosami kroków i bardziej tajemniczymi dźwiękami.

– Zróbcie to! – Opuścił głowę. – Zabijcie mnie. Nie chcę żyć po tym, co uczyniłem, co oni kazali mi zrobić.

– Kto? – Ściągnąłem brwi.

– Wynośmy się stąd! – Elthorn złapał mnie za ramię.

– Khariusz i Kora. – Wzniósł wypełnione łzami oczy. Basharti błędził wzrokiem. – Spotkałem ich, gdy prowadzono mnie do przedziału. Myślałem, że będę miał dość siły, że zwalczę sugestię. Potem straciłem przytomność. We śnie, jak wszyscy przede mną, widziałem latarnię w Faros. Jej wnętrze. Słyszałem ich modły i bluźniercze śpiewy. Obce, charczące głosy i światło w oknach. Na Boga, czy to był ogień? Dziwne, złote światło. Symbole, z pewnością koptyjskie symbole... Te oczy! Kazali mi iść, a ja sądziłem, że to wszystko sen.

– Magon? – Poczułem rękę Anglika na swoim ramieniu. – Idziemy.

Baszarti usłyszał Elthorna. Reakcja była natychmiastowa. Zerwał się z kolan i ruszył w naszą stronę, wyciągając okrwawione ręce.

– Nie możecie odejść! – wykrzyknął, na co sir Thomas złapał broń za lufę i z całej siły uderzył mężczyznę w skroń kolbą. Doktor zwałił się na podłogę.

Wyglądając przez okno, odkryliśmy dużą grupę pasażerów, wytaczającą się na zewnątrz w towarzystwie wystraszonego na śmierć konduktora. Jeden z mężczyzn, nieznany, wysoki typ w prochowcu i kowbojskim kapeluszu nawoływał nas. Jego słowa powtarzał konduktor, lecz jego pełen paniki głos był całkowicie niezrozumiały.

– O co mu może chodzić? – zapytał Elthorn.

Wzruszyłem ramionami.

Usłyszeliśmy gardłowy ryk. Dobiegał zdaje się z innej części pociągu. Konduktor zawołał nas. Czy i on słyszał ten wrzask? Machał ramionami i wykrzykiwał, a jego głos przypominał szczekanie psa.

– Chodźmy. – Sir Thomas złapał mnie za rękaw. Zdziwił mnie jego spokój. – Sprawdźmy, kto krzyczy.

Po przekroczeniu progu korytarza, prawie od razu natknęliśmy się na uciekających ludzi. Biegli na oślep, wskakując do przedziałów lub wprost na nas. Brnęliśmy do tyłu pod prąd, przytrzymując się lakierowanych ścian, aby nie upaść pod naporem fali nadbiegających, spanikowanych współpasażerów.

– Co się dzieje?! – zawołałem, lecz kobieta, która na mnie runęła, bredziła coś po niemiecku. Nie rozróżniałem słów, ale zrozumiałem, że jest przerażona, jakby zobaczyła ducha.

– Lew! – rozległ się głos pędzącego za nią wysokiego mężczyzny. W tej samej chwili zobaczyłem, jak na drzwi na drugim końcu korytarza napiera jakaś przerażająca siła i do środka wskoczył olbrzymi czworonóg o brązowej sierści i gęstej grzywie ociekającej czymś czarnym. Gdy tylko przekroczył próg, znacznie zwolnił, jego ruchy bowiem ograniczały ciasne ściany korytarza, w które raz po raz uderzał bokami. Stawiał ostrożnie łapę za łapą. Prowadzony panicznymi okrzykami kobiety przeciskał się powoli w naszym kierunku, z brzuchem nisko przy ziemi, jakby podkradając do kolejnej ofiary. Łapy miał czarne od krwi, a oczy świdrowały otoczenie z jakąś osobliwą inteligencją i spokojem. Wydawały się takie łagodne i ładne. Sprawiały wrażenie, że oto mam przed sobą nie zwierzę, a uosobienie pierwotnego ducha. Stanął mi przed oczami sen, czy też może widzenie, którego wcześniej doznałem.

Elthorn wznosił broń do góry, lecz ręka mu zadrżała, poza tym, jaką miał pewność, że colt jest w ogóle nabity? To był błąd. Olbrzymi kot wypełnił korytarz dzikim rykiem, a potem runął na nas w takim pędzie, na jaki pozwalały ścianki, powalając po drodze mężczyznę i pociągając go za sobą.

– Na Boga, strzelaj pan! – zawyłem, po czym rozległ się strzał. Huk mnie ogłuszył, lecz w tej samej chwili jakaś siła porwała mnie w taki sposób, że podłoga stała się na moment sufitem. Nie wiedziałem, co się dzieje, bo oczy zalała mi czerwona maź. Kolejne wystrzały padały z tyłu i w końcu, wśród wirujących dokoła kawałków drewna, zwierzę wyprężyło się i znieruchomiało.

Elthorn i jeszcze jakiś mężczyzna z personelu pociągu pomogli mi wstać i powoli wyprowadzili na zewnątrz. Przed oczami miałem rozcięte krwistą bruzdą błękitne niebo, a także znajdujące w niedużej odległości rozległe pola oznaczone zaroślami i palmami. Bliżej było trochę łąki i piasku podzielonego licznymi kanałami wodnymi. Tam też pasły się stada krów o osobliwie bladych skórach. Czuję zawroty głowy, które potęgowało palące słońce. Kolejarz przytrzymał coś przy moim policzku, a ja czułem metaliczny

posmak krwi i dziwną wilgoć, pomieszana z uczuciem odrętwienia na twarzy. Stopy szorowały po piasku i bałem się spojrzeć na prowizoryczny opatrunek, będąc zarazem pewny, że jest cały nasączony krwią.

Chyba straciłem przytomność raz czy dwa razy. Byłem gdzieś przenoszony, a gdy odzyskiwałem świadomość, nękała mnie gorączka, a z nią przychodziły mroczne fantazje. Wszystkie były niczym upiorna, lecz zdumiewająco wyrazista wizja. Zobaczyłem kobietę, nagą i szczupłą, stojącą pośród zwierząt. Gładziła bestie ręką. Dotykała lwa po jego grzywie. Cała była we krwi, skąpana w niej od czubka głowy po stopy. Posoka ściekała jej między palcami. Skóra kobiety delikatnie lśniła, pokryta osobliwymi znakami, a może jedynie perlącą się, drobną łuską, prawie niezauważalną w blasku.

– Wszystko będzie w porządku, panie Magon – wychrypiał do mnie Anglik. Poczułem, że wracam do siebie. Sir Elthorn usiłował mnie uspokoić, choć jego własny głos drżał z obawy.

– Lew? – wystękałem, na ile pozwalała mi poraniona twarz. Bałem się zapytać o skalę obrażeń. – Kobieta?

Ściągnął brwi, nie rozumiejąc.

– Ktoś musiał go wypuścić – przyznał. – Prawdopodobnie wspięli się po dachu pociągu. To właśnie ich słyszeliśmy. Wśród ofiar zwierzęcia jest pięciu pasażerów. Dobrze się pan czuje, Magon? Nic już panu nie grozi.

Kiwnąłem słabo głową.

Na szczęście pociągiem jechał lekarz, a właściwie weterynarz, pracownik zatrudniony przez kairskie zoo. Opatrując ranę, tłumaczył przy okazji zachowanie zwierząt.

– Nigdy nie widziałem nic takiego – mrucał po arabsku. Był śniadym, siwobrodym mężczyzną o delikatnie drżących dłoniach, jednak szwy zakładał sprawnie, choć dwa razy byłem bliski omdlenia i nie pomógł mi nawet solidny łyk szkockiej, którą jeden z pasażerów nosił w piersiówce. Siedziałem na macie przywleczonej z wagonu restauracyjnego.

Oprócz weterynarza pociągiem jechał także emerytowany major brytyjski, wysoki i postawny mężczyzna o gęstych bokobrodach i donośnym głosem oraz zabawnym słomkowym kapeluszu. Mimo gorąca nie zdejmował płaszcza i stał, wspierając się na lasce. To właśnie płaszcz pomógł nam go zidentyfikować. To był wojskowy, który awanturował się tak przed wyjazdem. Niezwykłe, jak okoliczności zmieniają stosunek do tego samego człowieka. Słyszając ze słów weterynarza, nazywał się Allison Bradbury.

Bradbury przejął dowodzenie i to on wydawał rozkazy konduktorowi oraz jego podkomendnym, którzy skwapliwie kiwali głowami. Sir Elthorn orzekł, że to Bradbury ustrzelił bestię i zawdzięczam mu życie.

Z daleka słyszeliśmy jego rozkazy, przerywane odgłosami uderzających siekier, ponieważ próbowano uwolnić dwa słonie, które w zamieszaniu zaklinowały się w boksie. Basharti został aresztowany i siedział w kajdankach

niedaleko nas, pilnowany przez uzbrojonego w strzelbę maszynistę. Ciała ofiar wyniesiono na razie przed pociąg, gdzie złożono je w prowizorycznych trumnach skleconych z resztek połamanych boksów. Z dali dochodził naszych uszu płacz jednej z wdów, przechodzący z wolna w zawodzenie. Po rozmowie z nami Bradbury podjął stosowne działania w sprawie Khariusza (powiedzieliśmy tylko tyle, ile musieliśmy na temat naszych podejrzeń odnośnie Araba i w oczach majora fałszywy minister był po prostu tureckim szpiegiem, pragnącym zaszkodzić współpracy egipskiego rządu z Imperium). Bradbury nakazał odszukać Khariusza, lecz ani jego, ani dziewczyny nie można było nigdzie odnaleźć. Przesłuchano także pracownika zoo, który pozostał na straży zwierząt w przedsiönku. Dzięki nowo zawartej znajomości z majorem poznaliśmy szczegóły tej dysputy. Głos majora był stanowczy i pełen godności, gdy zdawał nam relację z rozmowy.

– Ten człowiek, Rakim, twierdził, że pamięta niewiele – mruknął major Allison, stojąc z rękoma po bokach, w swoim prochowcu ze sztywnym kołnierzem, w którym nosił się niczym w mundurze. Zdjął kapelusz i przetarł spocone czoło chusteczką. – Jakiś Arab podszedł do niego, mówiąc w języku, którego Rakim nie znał. Nie była to jednak żadna odmiana arabskiego, raczej język europejski. Jego słowa to ostatnie, co pamięta. Potem Rakim znalazł się w środku, nie wiedząc, jak się tam dostał. Usiłował otworzyć drzwi, ale na próżno. Miał halucynacje, wspominał coś o wydłużającym się cieniu i przeraźliwym zimnie. Wtedy też dostrzegł „pazurzasty kształt”, jak to określił, o ile oczywiście dobrze zrozumiałem jego bełkot. Coś dziwnego zaczęło dziać się ze zwierzętami. Zaczęły rzucać się w klatkach i zdradzać objawy furii. Jak panowie wiecie, było je słyhać w całym pociągu. Zrozumiał, że nie jest w wagonie sam. Że ktoś jeszcze tam jest.

– Wagon był pełen zwierząt – zasugerowałem drżącym głosem.

– Tak. Ale on miał na myśli człowieka.

– Jest pan pewien, majorze? – wtrącił się Elthorn. – To znaczy, proszę o wybaczenie, czy dobrze pan go zrozumiał?

– Oczywiście. – Nachmurzył się. – Tak samo jak pana.

– Dobrze pan zna arabski?

– Nie narzekam – przyznał, odpowiadając na pytanie Elthorna. Wsparł ciało na lasce. W drugiej dłoni trzymał niezapaloną fajkę. – Połowę swojej służby tutaj spędziłem, najpierw w Gambii, potem w Egipcie. – Dlaczego pan pyta?

– Bez przyczyny – wykręcił się sir Thomas. – No a ten tajemniczy Arab? Co się z nim stało?

– Dalej były już jedynie brednie! – Machnął ręką, który to gest miał, jak sądzę, tłumaczyć lekceważenie. – Rakim stracił przytomność. Zwierzęta prawie by go stratowały. Zamieszanie było takie, że pękła skrzynia, prywatna własność pana Eledego.

– Skrzynia? Widział ją pan?! – ożywił się sir Thomas.

Major kiwnął zdawkowo głową.

– Tak. W środku był sarkofag z mumią.

– Sarkofag?! – powtórzyłem z przejęciem. Poczulem dotkliwy ból, a potem ciągnięcie za skórę. Weterynarz kończył szycie.

– Proszę o wybaczenie – oznajmiłem, zwracając się do zajętego zabiegiem doktora. – Na co dzień jestem raczej tchórzem.

– Doprawdy? – Mężczyzna odpowiedział mi miękkim, pełnym sympatii uśmiechem. Lecz niemal w tej samej chwili jego mina zrzęda. Raptownie poderwał się do góry.

– Panowie, proszę o uwagę – rzekł, otwierając szeroko oczy i dając kilka niezdecydowanych kroków do przodu. Stał tak, z zakrzywioną igłą w jednej i nożyczkami w drugiej ręce. Jego lewa powieka drżała. Odwróciłem się po to tylko, aby zobaczyć wyciągane po pomoście zwierzęta w klatkach.

– O co panu chodzi... – Nie dokończyłem.

– Muszę przyznać, panowie... – Major spoglądał na zwierzęta. Delikatnie sepleniał z powodu ustnika fajki, którą złapał w zęby. – Tu się dzieje coś podejrzanego.

Musieliśmy się z nim zgodzić. Na bokach zwierząt widniały ślady po ukąszeniach i pełno krwawych pręg. Najgorzej wyglądały gazela i osioł nubijski. Mimo ran zwierzęta pozostawały ospałe i wyjątkowo łagodnie usposobione, zupełnie jakby dały upust całemu szałowi wcześniej.

– Majorze – zwróciłem uwagę Bradbury’ego na coś, co ujrzałem na wydmie, w dość dużej odległości od nas. – Na Boga, niech pan tylko spojrzy!

Stał tam koń, a na nim jeździec w powłóczystych, czarnych szatach, z zasłoniętą twarzą i strzelbą przewieszoną przez plecy.

– Zastanawiające – mruknął major, a potem ruszył do konduktora. Pokazał mu nieznanego, który w tym samym czasie zawrócił konia i zaczął zjeżdżać, chowając się za piaskowym wzgórzem i znikając tym samym z pola naszego widzenia. Przez chwilę mężczyźni rozmawiali po arabsku podniesionymi głosami, a major mocno gestykulował. Po chwili wrócił do nas, lekko zdyszany. Na twarzy miał rumieńce.

– Zaraz zapakujemy wszystko i ruszamy. Nie ma co czekać, aż przyprowadzi tutaj swoich ziomków.

– Zaraz? – Wycofał się Elthorn. – Tak od razu? A Khariusz?

Bradbury pokręcił głową i spojrzał w dół, na mnie. Całkiem zignorował słowa rodaka.

– Jak pan się czuje? – spytał bez cienia troski w głosie i tak jakoś bezosobowo i oceniająco, jakbym był psem, który odniósł rany. – Ma pan strasznie przekrwione oczy.

– Mam zawroty głowy. Ale, póki co, nie słyszę już głosów.

Major nachmurzył się, chyba nie rozumiejąc do końca ponurego żartu.

– Badałem lwa, który pana zaatakował – zwrócił się do mnie weterynarz. Poczułem się źle, że nie znam imienia ani nazwiska doktora. – Miał podobne rany jak inne zwierzęta. Wyglądały na ukąszenia węża.

* * *

Wyruszyliśmy dopiero po trzech godzinach, a mój stan się nie poprawił. Bradbury pozostawił nas pod opieką weterynarza i umieścił blisko wagonu towarowego, na wypadek, gdyby usługi lekarza były i tam potrzebne.

Jechaliśmy w ciszy. Wagon ze zwierzętami został od zewnątrz pieczołowicie zabity dechami i odcięto przejście grubym łańcuchem. Cały czas nurtowała mnie tajemnicza skrzynia, tkwiąca w tym samym miejscu co klatki. Major powiedział, że zawiera sarkofag. Sarkofag! Czy nadal tam była? Czy mógł to być sarkofag z Dendery? Skrzynia wyglądała na ciężką i nie wyobrażam sobie, aby ktoś zdołał ją wyładować inaczej niż po pomocy. I co miał z tym wspólnego Elede?

Czułem, że zaczynam mieć gorączkę. Głowę okręcono mi bandażem, a że szczęka była przez to chwilowo unieruchomiona, toteż miałem problemy z mówieniem. Sir Elthorn wpatrywał się pozbawionymi wyrazu oczami w szybę.

– Powinniśmy mu powiedzieć – mruknąłem po francusku, modląc się w duchu, aby sympatyczny weterynarz nie znał tego języka. – Przynajmniej część. Może zgodzi się pokazać nam skrzynię z sarkofagiem.

Sir Thomas oderwał brodę od okna.

– Chyba nie mamy wyboru – rzekł z ospałym uśmiechem.

* * *

– Najpierw twierdziliście, że jest szpiegiem, teraz, że przemyca dzieła sztuki – rzekł z przekąsem major. Usiłowałem go cały czas rozgryźć, zastanawiając się, ile w nim inteligencji, a ile buty. Wydawał mi się początkowo nieco starszy, uznałem w końcu. A może była to kwestia silnej woli i pewnej właściwej wojskowym żywotności? Wysokość czoła podkreślał jeszcze fryzurą, zaczesując włosy do tyłu. Mrużąc oczy, zmierzył spojrzeniem najpierw mnie, potem Elthorna.

Konduktor stał wraz z nami w przedziale należącym do emerytowanego wojskowego. Był grzeczny, cichy i nieco zbyt blady.

– Nic nie twierdzimy. – Sir Thomas zachowywał zimną krew. – Znam tego drania pod nazwiskiem Husley. Ma sklep z dziełami sztuki w Nowej Zelandii. Podejrzewam, że to tam wszystko wywozi.

– Prawo tego nie zabrania, Elthorn – zauważył major. – Sam posiadam rękę mumii w moim salonie.

– Prawo może i nie zabrania. – Nie poddawał się sir Thomas, a z jego słów wyczytałem, jak bardzo musi nienawidzić tego Husleya czy Khariusza. – Ale on wszedł w kontakt z bardzo niebezpieczną i radykalną sektą muzułmanów, a te kradzieże mają mu posłużyć do zbrodniczych celów.

– Och? A jakich to celów?

– Słyszał pan o Mieczu Aliego?

– Coś niecoś. – Bradbury zmrużył oczy z namysłem. Zastanawiałem się, czy kłamię, aby wyjść na osobę obytą w temacie i światową.

– Więc wie pan, o czym mówię.

– No dobrze, panowie – wtrąciłem. – Czy możemy zobaczyć tę skrzynię, a potem porozmawiać?

– A jaki pan ma udział w tej sprawie? – Zmierzył mnie wzrokiem major. – Bo pan Elthorn, jak mniemam, posiada osobiste przyczyny, dla których ściga tego... przestępcę?

Westchnąłem.

– Jestem pracownikiem muzeum w Kairze.

– Zatem zna pan dyrektora Merigny?

– Ma pan na myśli dyrektora Auguste'a Mariette'a. I tak, znam. To mój bezpośredni przełożony.

Mierzył mnie chwilę z uśmiechem na twarzy. Po chwili przeniósł wzrok na konduktora i mruknął coś w dźwięcznej mowie Arabów, po czym uśmiechnął się ponownie, ale tym razem drapieźnie. Byłem zaskoczony faktem, że major chyba naprawdę znał mojego szefa.

– No dobrze – oznajmił. – Chodźmy do skrzyni.

Ruszył w naszą stronę, lecz raptownie stanął.

– Zaraz... A jak to się ma do sprawy doktora Basharti?

– Jakiej sprawy? – prychnąłem niewinnym głosem tak, jakbym pierwszy raz w ogóle słyszał to nazwisko.

– Niech pan nie robi ze mnie idioty. – Odwrócił się do mnie major. – Basharti jest odpowiedzialny za śmierć Mahdiego Surima.

– Kogo?

– Takie imię nosił kelner. Basharti usiłował przegryźć mu krtań, powalił kilku innych członków obsługi, a potem zdemolował wagon restauracyjny.

– Więc jest obłąkany – przyznał sir Thomas, kręcąc głową. – Jak to się ma do nas?

– Jak to się ma do was? – Uśmiechnął się z lekką ironią Bradbury. – Według tego tu jegomościa... – wskazał konduktora – myszkowaliście w jego pokoju. A wcześniej widziano tego tu pana, Magona, (wskazał mnie) w towarzystwie Bashartiego.

– A pana podobny przypadek by nie zaintrygował? – zauważył Elthorn.

– No tak, pewnie, że tak. – Rozpogodził się, lecz po chwili jego twarz znowu przybrała surowy wyraz. – Tylko że wy przeszukaliście jego pokój, zanim

miały miejsce wypadki w restauracji.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że pora wyłożyć kawę na ławę. Teraz, zanim będzie za późno.

– W przedziale Bashartiego będą wszystkie odpowiedzi – mruknąłem niechętnie.

– Pójdziemy tam. – W oczach majora dostrzegłem tryumf. – Ale najpierw obejrzymy skrzynię. I proszę nie mieć złudzeń. To ja tu stawiam warunki. Mam broń i nie zawaham się jej użyć, gdy tylko zauważę u kogoś z panów podejrzaną zachowanie.

* * *

Przez znaczną chwilę mierzyłem wzrokiem sarkofag, dotykając go palcami, badając w świetle lampy naftowej jego długość i materiał. Był niezwykle gładki i zimny. Wspominałem jak przez sen owe osobliwe uczucie wilgoci i chłodu, gdy znalazłem się poprzednim razem blisko skrzyni. Na szczęście gęsto oświetlone trzema lampami pomieszczenie straciło swój przerażający nastrój, a zwierzęta były w miarę spokojne, oddzielone prowizoryczną zagrodą z resztek drewna. Ochraniali nas dwaj podejrzanie wyglądający, smagli mężczyźni ze strzelbami, zwerbowani przez majora spośród podróżnych, a o bezpieczeństwo dzikich stworzeń dbał nasz dobry znajomy, doktor weterynarii, którego imię i nazwisko w końcu poznałem, Serji Telida.

Skrzynia pękła w trzech miejscach i za pomocą siekiery bez większego problemu odłamaliśmy deski, docierając w ten niezbyt wyszukany sposób do sarkofagu. Kamienna trumna nosiła ślady zwieterzenia i była wygładzona na bokach i łączeniach pokrywy, zespojonych z trumną za pomocą, jak sądzę, roztopionego ołowiu. Pokrywała ją świeża, złota inkrustacja w stylu koptyjskim oraz malowidło przedstawiające twarz kobiety. Spod powiek pokrytych krzykliwym makijażem w stylu obrzędowym spoglądały na nas wielkie, błękitne oczy. Malowidło było niezwykle sugestywne. Tą samą farbą pociągnięto błękitny fryz, stanowiący ozdobę długiej sukni. Gdy długo się mu przypatrywałem, odkryłem, że dostrzegam wijące się, błękitne węże układające się we wzór. Znajdowały się tam także koptyjskie litery formułujące dość niepokojący w wymowie wiersz. Zaskoczyła mnie nieco świeżość wykonania pomimo rzucającej się w oczy autentyczności sarkofagu. Choć może padłem jedynie ofiarą zmęczenia, stresu i sprytnej mistyfikacji? Sam już nie byłem pewny.

Usta postaci były wąskie i gniewnie zaciśnięte, lecz pomiędzy wargami dostrzegłem dwa kolce jadowe, identyczne jak u węża. Namalowana postać miała pociągłe uszy, wręcz obwisłe. Nie był to sarkofag księżniczki, nie zauważyłem też żadnych insygniów, które mogły wyróżniać kapłankę. I to wydawało się najbardziej osobliwe.

Sarkofag z całą pewnością nie pochodził z Dendery. Skąd w ogóle mniemanie, że powinien? Cóż, może nie wierzę w zbiegi okoliczności. Fakt, że pojawia się ktoś taki jak Khariusz, a mnie niespodziewanie znika pieczęć, następnie słyszę opowieść Khariusza o Sechmet i Denderze (w zasadzie opowiedział ją pod wpływem kradzieży, która mnie spotkała, więc nie powinienem się dziwić), wreszcie napotykam tajemnicze notatki doktora Basharti... Wszystko to wydawało się mieć jakieś tajne powiązanie. No i na koniec największa niespodzianka – okazuje się, że w tym samym pociągu, w którym podróżujemy, przewożona jest skrzynia z pewnym sarkofagiem.

– Dziwne – mruknął major. – Kto zadał sobie tyle trudu...

– Co ma pan na myśli? – spytał Elthorn.

Bradbury wskazał namalowaną twarz.

– Ktoś to pomalował. To jest świeże, panowie. Dlaczego? W jakim celu?

– Cóż, jeśli pan spojrzy na to z kontekstu tych liter – zauważyłem, wskazując koptyjskie inskrypcje. Zachęciłem Allisona, aby i on się im przyjrzał. – Niech pan spojrzy. To koptyjskie słowa, oznaczają zaklęcie, które ma za zadanie utrzymać Ka tego, który znajduje się w trumnie, wewnątrz ciała.

– Ka?

– Ka, czyli duszę. No, mniej więcej.

– Aha.

– Już pan rozumie? To forma zabezpieczenia. Sarkofag jest bardzo zniszczony, widzę tu ślady działania wody. A jednak znaki namalowane na nim, są idealną kopią. Widzi pan te nacięcia? To ślady pierwotnego napisu.

– Co oznacza? – Major zmierzył mnie wzrokiem, a ja odparłem:

Nie jest wcale martwym to, co drzemie wiekami,

Nawet śmierć umiera z dziwnymi eonami.

– To słynne słowa, pochodzą z książki „Al Azif” Abdullaha Alhazreda, zwanego przez niektórych Szalonym Arabem – oznajmiłem. – Abdullah żył jednak w VIII wieku naszej ery, a sarkofag jest znacznie starszy.

– Kim on był? – zwrócił się do mnie Elthorn. – Ten Abdul?

– Poetą i czarnoksiężnikiem. A pod koniec swojego życia? Ofiarą dżinów.

– Dżinów?

Kiwnąłem głową.

– Według jemu współczesnych Alhazred zadarł z dżinami, gdy przyzwał ducha samego Enkila i dlatego został przez nie porwany i rozdarty na strzępy. Na oczach tłumu, prosto z rynku w Damaszku, w świetle dnia, przy bez mała setce świadków.

– Bzdury! – Roześmiał się major Bradbury.

– Może – przyznałem, choć jednocześnie spostrzegłem, jak sir Thomas błędnie. – Wcale nie twierdzą, że to prawda, majorze. Z drugiej strony jednak, spotkałem już ten dwuwiersz wśród notatek doktora Bashartiego.

– Może skoro już tu jesteśmy, otworzymy skrzynię? – zaproponował Elthorn, przerywając mi. Przyjrzałem się mojemu przyjacielowi. Oczy mężczyzny błyszczały, gdy wznosił je znad sarkofagu. Nadal był błydy i spocony, ciężko oddychał. Pokręciłem w milczeniu głową.

– Nie mamy pieczęci. – Wskazałem płytki otwór na wysokości splotu słonecznego postaci. Wgłębienie odpowiadało wielkością dyskowi, który mi skradziono na dworcu Nadmorskim.

Gdy usłyszeliśmy pierwsze wystrzały, ledwo je odróżniliśmy od terkotu kół.

– Słyszysz pan? – zapytał major, sam nie dowierzając uszom.

Kiwnąłem potakująco, na co wojskowy runął do wyjścia. Kiedy, przytrzymując się ścian, wyszliśmy jego śladem, okazało się, że miał rację. Huk wystrzałów i pełne wściekłości wrzaski mieszały się z wszechobecnym hałasem. Głosy, wykrzykujące niezrozumiałe dla nas słowa, przypominały do złudzenia szczekanie. Przez okno przedsionka dostrzegłem co najmniej trzech Beduinów jadących konno równoległe do pociągu. W rękach trzymali strzelby, a jeden z nich oddał strzał, mniej więcej w naszą stronę, na szczęście, niecelny.

– Za mną, panowie – mruknął Bradbury, wręczając mi masywną pieprzniczkę. – Jest naładowany, panie Magon, dlatego niech pan lepiej uważa.

Sam obnażył ukrytą w lasce szpadę i sprężystym krokiem ruszył w stronę przedziałów. Coś zafurkotało i gwizdnęło, a my pochowaliśmy instynktownie głowy. Kula ugrzęzła w gustownej boazerii. Za nią przyszła kolej na następne. Zewsząd rozlegały się krzyki paniki. Drewno odpryskiwało na wszystkie strony, a my zaczęliśmy się czołgać, przedzierając wąskim korytarzem.

– Strzelają w okna! – zawołał major, gdy kolejne strzały wyznaczały naszą trasę. Mniej więcej w połowie drogi przez pierwszy wagon natrafiliśmy na ciało. Mężczyznę zraniono dwa razy, w okolicy obojczyka i w brzuch. Musiał strasznie cierpieć, wykrwawiając się.

W momencie, gdy usiłowaliśmy jakoś usunąć ciało z drogi, wtaczając jego wystającą część z powrotem do przedziału, przez potłuczone okno wskoczył do środka mężczyzna uzbrojony w długą szablę. Na głowie miał turban. Jego czarne, pełne okrucieństwa oczy śmiały się paskudnie. Pomimo strzałów zaatakował majora cięciem od góry, lecz Bradbury odbił je z kwarty i chwycił napastnika sprawnie za rękę trzymającą broń, po czym wbił sztych w lakierowaną deskę tworzącą strop. Przez chwilę siłowali się, szala zwycięstwa nie przechylała się ku żadnej ze stron, a ciasnota panująca w korytarzu nie pozwalała nam w jakikolwiek sposób pomóc majorowi. Wreszcie Bradbury okręcił się na pięcie i odwrócił w ten sposób napastnika plecami w naszym kierunku.

Huk wypełnił mi uszy, gdy oddałem strzał, a gęsty, gryzący dym zaatakował oczy i nozdrza. Poczulem smród kapiszonów, który wywołał silny atak kaszlu. Oczy mi łzawiły. Beduin osunął się, ciągnąc majora swoim śladem, a mnie przez moment wydawało się, że trafiłem obu. Ostrze pozostało wbite w drewniany sufit.

– Doskonale pan trafił, przyjacielu! – Wzniósł twarz znad ciała wojskowy. W tym samym momencie na dachu rozległ się łomot, jakby kłusowały po jego powierzchni konie. Zauważyliśmy, że strzelanina ustała. W oknie dostrzegliśmy za to kolejne sylwetki jeźdźców, mknących na złamanie karku przez rozległe wzgórza otaczające tory.

– Co oni zamierzają? – wychrypiął głośno Elthorn.

Łoskot, który wypełnił korytarz, wybuchł w moich uszach, raniąc dotkliwie bębenki. Miałem wrażenie, że szkło, kawałki drewna, rozerwany materiał i metalowe pręty zawisły dokoła w jednej, wypełnionej oślepiającym błyskiem chwili. W bębenki uderzyła fala nieporównywalna z niczym innym, co do tej pory przeżyłem, a stopy poddały się, gdy dywan przemieniony został w grzmiące morze. Po chwili wszyscy leżeliśmy na podłodze, wśród odłamków sprzętów i krwi. Rozerwana wybuchem ściana zawisała nad nami, a ja zrozumiałem, że wagon musiał runąć na bok, ciągnięty przez poprzednika.

– Wszyscy są cali? – chrząknął major, na co kolejno wraz z Elthornem daliśmy znak życia. Okrwawieni, lecz bez większego uszczerbku, klęczeliśmy, nie wiedząc za bardzo gdzie góra, gdzie dół. Wszędzie leżały połamane deski, a w uszy wdzierał się nieznośny ryk jakiegoś rannego zwierzęcia. Postanowiliśmy poszukać drogi wyjścia. Było nią okno, gdzie należało się wspiąć. Użyłem do tego fragmentu oderwanej boazerii i okazało się to w miarę łatwe. Kilкома nerwowymi kopniakami pozbyłem się odłamków szkła, które mogłyby mnie zranić i przeszedłem przez otwór okienny. W powietrzu wisiał cuchnący spalenizną dym.

Gdy już udało nam się jakoś zeskoczyć, dostrzegliśmy pierwsze wycelowane w naszą stronę lufy. Po chwili odwróciły się już wszystkie.

Dalsze wypadki przypominały sen. Wkoło roilo się od jeźdźców wykrzykujących w naszym kierunku zawziętymi głosami. Grupa liczyła może nawet z pół setki ludzi.

Zdałem sobie sprawę, że nadal mam w rękę broń otrzymaną od majora. Zamiast jednak jej użyć, po prostu wyrzuciłem ją w piach. Spojrzałem do przodu, w kierunku przewróconej lokomotywy i węglarki. Obie płonęły. Wśród dymu z przedziurawionego kotła dostrzegłem ludzi, a raczej fragmenty płonących ciał, wyrwanych z pociągu i okrwawionych. Przewrócona na bok lokomotywa przypominała dymiący zewłok jakiegoś rannego nosorożca. Wagon restauracyjny także się wykoleił i płonął kopącym płomieniem. Wznoszący się nad nim czarny, tłusty dym wypełniał okolicę. Eksplozja odsłoniła fragment ściany wraz z dachem, po którym piął

się jeden z Beduinów. Nagle odwrócił się do towarzyszy i zaczął ich nawoływać. Po chwili spojrzałem do tyłu. Dwóch ludzi pustyni celnymi strzałami dobijało zwierzęta, które poranione leżały na zewnątrz, poza wagonem.

Wtem dostrzegłem coś, co przykuło moje spojrzenie. Wśród ludzi pustyni jechał wolno na wielbłądzie wysoki, postawny mężczyzna w stroju koczownika. Jego twarz była odsłonięta i niemal od razu rozpoznałem ministra Khariusza. Nie wyglądał na zadowolonego i beształ swoich kamratów. Słowa wykrzykiwane przez mężczyznę wydały mi się tak dobitne, że nawet nie znając w ogóle arabskiego, zrozumiałbym ich sens. To Beduini byli odpowiedzialni za wykolejenie pociągu, a Khariusz złościł się na nich, z powodu narażenia cennego ładunku. Wtedy też dotarło do mnie, że widziałem już tych bandytów na koniach, na peronie w Aleksandrii, w otoczeniu fałszywego ministra.

– Khariusz, jak sądzę? – Major z bolesnym ociąganiem powlókł się w kierunku grupy bandytów, nie zważając na ich protesty i lufy. Miał rozkołysany krok i pomagał sobie szpadą, odpychając się nią od ziemi jak laską.

– Kolejny Anglik? – wykrzyknął z dezaprobatą Arab. – Mam wrażenie, że ciągle się o was potykam.

– Świetnie pan mówi po angielsku – zauważył sarkastycznie major, w dalszym ciągu zbliżając się do mężczyzny. Był nieustraszony, choć Beduini coraz to głośniej wykrzykiwali, mierząc doń z karabinów.

– Nie wiem, czego pan użył – zawołał, wyglądając zza ich ramion Bradbury. – Ale jestem pod wrażeniem.

– To dynamit – rozległ się ostrożny, pełen osobliwej dumy głos Khariusza.

– Trochę ryzykowny środek w rękach pana dzikusów. Powinien ich pan lepiej nauczyć go używać.

– Być może.

Khariusz odpowiedział mężczyźnie krzywym uśmiechem. Jeden z jego zbirów oddał ostrzegawczy strzał w niebo, lecz Bradbury, choć stanął, to nie wyglądał na przerażonego wizją śmierci od kuli.

– Czego pan tak naprawdę tutaj chce, Khariuszu? – zapytał. – Czemu nas pan nęka?

– Czy to nie oczywiste? Nie nękam panów. Po prostu mam pecha do wścibskich Brytyjczyków. Co nie jest znowu takie dziwne. Wszędzie was pełno niczym much wkoło trupa.

– Jemu chodzi o sarkofag – wykrzyknął dostatecznie głośno Elthorn.

– Zgadza się – rzekł po namyśle fałszywy minister, a potem zwrócił się do pana Allissona. – Jeśli więc wejdą mi panowie w drogę, z pewnością zginą. Ale chcę, żeby pan coś wiedział. Nie zależy mi na panów nieszczęściu.

Mówił z namaszczeniem, a jego intensywny wzrok świdrował cały czas majora. Tymczasem jeden z bandytów zaszedł od tyłu pana Bradbury'ego i nagłony okrzykiem innego, wraził kolbę swojej strzelby w kolano mężczyzny. Wojskowy runął głową w piach, zanim zdołaliśmy go ostrzec przed atakiem i wypuścił z ręki szablę. Ktoś odkopnął ją poza zasięg ręki Anglika.

– Sam pan widzi – wskazał ofiarę ataku Khariusz.

– Majorze! – zawołaliśmy, lecz gdy daliśmy krok w kierunku powalonego mężczyzny, drogę zastąpiła nam postać ukryta za woalem. Wężowe ślepiea wpatrywały się w nas z żarłoczną wrogością.

– Nie radzę się zbliżać! – Usłyszeliśmy cichy, syczący szmer, po czym smukłe dłonie zerwały woal. Ukazała się podłużna twarz kobiety, tej samej, którą widzieliśmy w restauracji.

– Nie dbam o twoje porady, ty zdradziecka źmijo – warknął z zaskakującym wigorem Elthorn, na co lufy koczowników wymierzyły w kierunku jego głowy. Surową twarz kobiety przeciął chytry uśmiech.

– Lepiej zacznij mnie wreszcie słuchać, jeśli chcesz przeżyć, monsieur.

Bradbury podniósł się z brudną od piasku twarzą i zmierzył Khariusza oraz resztę z pogardą w oczach.

– Jeśli pan myśli, że ujdzie mu to na sucho...

– To już uszło mi na sucho – odparł Khariusz z zadowoleniem. – Niech pan popatrzy za siebie.

Miał rację. Sześciu Beduinów wyładowywało właśnie sarkofag, sapiąc przy tym i wykrzykując przekleństwa. Pozostali pasażerowie byli w zbyt wielkim szoku, aby w jakikolwiek sposób zareagować.

Nina zawołała do mężczyzn rozkazującym głosem, zmuszając, aby postawili skrzynię na ziemi. Zbliżyła się do sarkofagu, trzymając w rękach znajomy kształt dysku. Drgnąłem na widok pieczęci.

– Pan Elede współpracował z nami – wychrypiał fałszywy minister. – Lecz, niestety, w pewnym momencie wpadł na to, że może być nieuczciwy. Że może mnie oszukać. Chciał zatrzymać skrzynię wyłącznie dla siebie.

Raz jeszcze wykrzywił wargi.

– Na szczęście, Elede nie ma pojęcia, co kryje sarkofag. Jest jedynie marionetką w silniejszych rękach.

– Czyje to ręce? – zapytałem. A po chwili już znałem odpowiedź. – No tak. To wy nim sterowaliście.

– Nie całkiem, choć jest pan blisko. Wiedzieliśmy o transporcie, jak już nadmieniałem. Reszta była bardzo łatwa do zorganizowania. Odwołanie wojska, które normalnie towarzyszy takim podróżom, było dziecinną igraszką dla najważniejszego ministra w kraju. Wszyscy prześcigali się w uprzejmości. Nikt, dosłownie nikt nie zadawał pytań.

– Khariuszu? – Spojrzała z pytaniem w oczach panna Dubois.

Mężczyzna kiwnął znacząco.

– Przystawcie pieczęć – wychrypiał. – Czas uwolnić moją panią.

– Chciałeś powiedzieć naszą panią – poprawiła go z lekkim rozdrażnieniem.

– Tak – mruknął, omiatając współniczkę pełnym dezaprobaty wzrokiem, co jedynie pogłębiło bruzdę na czole panny Dubois.

– A co to spojrzenie miało znaczyć?!

– Nic, moja droga...

Przez chwilę patrzyli na siebie w taki sposób, jakby zaledwie moment dzielił ich od śmiertelnej walki. W końcu Nina pokręciła głową.

– Jaka ja byłam głupia... – Zamknęła oczy.

– Nie oceniał siebie tak surowo – wychrypiał Khariusz z zadowoleniem. – Spełniłaś swoją rolę. I jestem ci za to wdzięczny.

– Nikt nigdy nie oszukał mnie w ten sposób – syknęła. – I to się więcej nie powtórzy.

– Uważaj, Nino – odparł, chmurząc się. – Bo pomyślę, że mi grozisz.

– Grożę? – Zmierzyła go z posępnym uśmiechem, który mógł znaczyć cokolwiek. Miała nieobecne zarówno spojrzenie, jak i wyraz twarzy, a słowa, które wypowiadała, były wyzywające i tak właśnie miały zabrzmieć. – Jak mogłabym grozić tobie? Po tym, co dla mnie uczyniłeś? W moim sercu jest miejsce jedynie na miłość do ciebie. Niech ci śmiertelnicy to wiedzą. Pragnę... cię, o Czcigodny.

Przez chwilę odniosłem wrażenie, że rzucą się sobie do gardeł. Lecz stało się coś całkiem innego.

Oboje odwrócili głowy. Było to wywołane nagłym okrzykiem, gdy między Beduinami pojawił się obcy mężczyzna.

– Nie pozwolę wam na to, słyszycie?! Wy potwory w ludzkiej skórze! Nie powtórzycie tego!

Przyznaję, że na początku nie poznałem dobrego doktora Basharti, gdy, wykrzykując, wmieszał się między Arabów. Wyrwał jednemu z nich zza pasa kindżał i ciął mężczyznę na oślep, przez twarz. Chlusnęła krew, tygrysią pręgą malując piasek, a Beduin stracił równowagę i padł. Jego towarzysze zakotłowali się wkoło doktora, którego wytrzeszczone obłędem oczy i nastroszone włosy odmieniły mężczyznę prawie nie do poznania.

– Nie! Nie!!! – krzyczał bez przerwy, gdy okładali go po głowie i brzuchu kolbami. Kilka ciosów wystarczyło, aby runął zbirom do stóp.

– Dosyć! – zagrzemiał Khariusz. Podjechał do Bashartiego. Bez większych ceregieli pochylił się, po czym złapał ofiarę za włosy i podniósł go na wysokość oczu. Doktor zamarł, jakby padło na niego spojrzenie bazyliuszka.

– Na co nam nie pozwolisz, panie Baxter?

– Wiem, czym jesteś – wychrypiał, a potem napluł Arabowi w twarz. Khariusz puścił Bashartiego – Baxtera i wytarł pomieszaną z krwią ślinę, zanosząc się cichym, nieprzyjemnym chichotem.

– Ma pan niezwykle rzadką krew, sir Baxter. Jest słaba i w ogóle niesmaczna. Dlatego i tylko dlatego nie jest pan dzisiaj z rodziną, tylko tutaj – mruknął Arab. Beduini wskakiwali na siodła i nawoływali się, jeden przez drugiego. Dym zastąpiły tumany kurzu.

Poczułem, jak piasek unosi się w górę. Nina przyłożyła pieczęć w jej miejsce, a potem wyprostowała się, a ja usłyszałem zgrzyt i spostrzegłem w osłupieniu, jak krążek sam się przemieszcza. Rozbłysło płonące oko umieszczone w pentagramie do złudzenia przypominającym gwiazdę. Może był to jedynie odbłask słońca, jednak...

– Patrzcie! To jakiś mechanizm! – wykrzyknął Elthorn. Pokrywa drgnęła, a potem rozległ się syk powietrza, przywodzący na myśl złowrogi gwizd. Ołowiane spoiwo zaczęło kruszyć się i pękać. Wszyscy, nawet Nina, dali krok w tył.

Mijały kolejne chwile. Dopiero po dłuższym czasie wyczekiwania kobieta nakazała trzem Beduinom zdjąć wieko. Podeszli, z wyraźną dezaprobatą pomieszaną z lękiem, mierząc przerażonym spojrzeniem sarkofag. Thomas Elthorn mimowolnie zbliżył się w ich kierunku.

– Nie rób głupstw, Elthorn, dobrze ci radzę. – Panna Dubois wyciągnęła ostrzegawczo rękę, lecz nie powstrzymało to sir Thomasa. Cisza o niebywałym napięciu wkradła się w szeregi bandytów, sprawiając, że ich twarze przypominały miny człowieka po ukąszeniu jadowitego węża.

Anglik nachylił się, niepowszrzymany przez kogokolwiek. Jedynie w oczach Khariusza spostrzegłem nieme przyzwolenie pomieszaną z fascynacją. Podeszedłem śladem sir Thomasa, wiedziony jakimś osobliwym, prawie hipnotycznym nakazem. Po chwili staliśmy wspólnie przy sarkofagu, choć jakaś częśćka mnie chciała jedynie rzucić się do ucieczki. Nie miałem władzy nad własnym ciałem. Opuściłem oczy, wpatrując we wnętrze skrzyni. W środku było sucho. Zawinięte w bandaże, zapadnięte zwłoki, pokrywały hieroglify, niezatarte przez czas. Spojrzenie Niny przesuwano się tuż za mną, z zimnym namysłem śledząc to, co i ja widziałem. Podziwiałem spowitą tylko częściowo brudnymi, gnijącymi zawojami mumię. Sylwetka przypominała szkielet z zapadniętym brzuchem i żuchwą. Wpatrywałem się w na wpół ludzką, dość drobną sylwetkę, zwiniętą w osobliwej, przykurczonej pozie. Mumia posiadała pozbawioną nosa czaszkę o przerośniętej żuchwie i wydatne gałki oczne, przykryte przez skórzaste powieki. Dalej złożone były częściowo wyjedzone przez czas i rozkład ramiona, a także pogruchotana pierś i szczątki tułowia. Stopy wydały mi się nieproporcjonalnie długie i szponiaste. Przy jednej z nich dostrzegłem końcówkę czegoś, co z braku lepszych skojarzeń określiłbym mianem szczątków węża, ułożonych równo, przy pozostałościach lewej nogi. Obły kształt był tak samo zawinięty w bandaż jak i reszta zwłok. Dopiero po chwili przypatrywania się dotarło do mnie, że nie mam do czynienia z fragmentami żadnej osobnej istoty. Były to

ostatki połączonego z kręgosłupem ogona! Oczywiście, nie dawałem wiary, że ogon taki mógłby stanowić jakąkolwiek całość z resztą zabalsamowanych i zawiniętych w materię zwłok. Nie wiem jednak, jaki sens miałyby preparowanie podobnej, zmumifikowanej hybrydy, jak ta. Do głowy nie przychodził mi żaden znany rytuał, który wskazywałby na porównywalne praktyki.

I wtedy bandaż zaczęły pokrywać czarne plamy. Najpierw drobne, niewielkie, rosły jednak z każdą chwilą, aż osiągnęły taką szerokość i gęstość, że krew, bowiem musiała być to krew, przesączała się do wnętrza sarkofagu. Czulem, jak drży mi powieka, a do gardła napływa treść żołądka, przytrzymałem więc usta ręką i głośno odkaslnąłem. Basharti zawył jak ranny wilk, lecz został natychmiast uciszony precyzyjnym uderzeniem kolby w skroń. Dla mnie los nie był tak miłosierny. Musiałem patrzeć, jak szponiasta, ozdobiona gęsto pierścieniami dłoń zaczyna drgać.

Khariusz zbliżył się do mumii, po czym łagodnie wyciągnął ją ze skrzyni i zaczął iść w stronę koni z upiornym ciałem na rękach.

– Niech pan się nie waży tego robić, Khariusz! – zawołał major, na co Arab stanął jak wryty i przez moment mierzył spojrzeniem, lecz nie Bradbury’ego, tylko jednego ze swoich ludzi. W oczach obu widziałem coś, co mnie przeraziło, jakiś rodzaj pustego, wyrachowanego zdecydowania. Wreszcie przywódca bandytów kiwnął głową, a Beduin podniósł broń i oddał strzał między oczy Anglika. Major runął na ziemię, wywracając się z taką siłą, że jego nogi splątały się z sobą, składając w kolanach pod przedziwnym kątem.

Khariusz uniósł mumię w kierunku swojego konia, stając do wszystkich plecami. Bezceremonialnie przerzucił drgające spazmatycznie ciało przez kulbakę, o dziwo nie powodując u zwierzęcia żadnych oznak płochliwości. Potem skierował twarz w naszym kierunku.

– Teraz jest wolna, po tylu latach od uwięzienia na wzgórzu Kafli – rzekł z wcześniejszym namaszczeniem, objaśniając, co właśnie się stało. – Znacie jej prawdziwą historię?

– Wiem, kim jest – mruknąłem. – To ona zdradziła Kleopatę.

– Powtarzasz brednie – prychnął Khariusz, kręcąc głową. – Za czasów Kleopatry Abigdala żyła wśród ludzi jako śmiertelniczka. Odnalazł ją Nestor, Pradawny pochodzący z prastarej Valuzji, który przetrwał, podając się za rzymskiego konsula w Aleksandrii. Niestety, Nestor miał wrogów wśród kapłanek Bast, wrogich wszystkim wyznawcom Seta. To kapłanki Kocicy uwięziły Abigdalę, aby dotrzeć do Nestora. Lecz Nestor był dużo sprytniejszy. Kapłanki Bast nigdy go nie dopadły, bowiem nigdy też nie wrócił po Abigdalę.

– A teraz wysługuje się wami.

Uśmiech, który wykwitł na ustach Khariusza, był cokolwiek dwuznaczny.

– Długo nie mogliśmy nic uczynić, jako że miejsce, gdzie znajdował się sarkofag, zalała woda. Lecz dzięki koneksjom pana Elede, posłusznego naszej

woli, Abigdala wkrótce będzie znowu stąpać po świecie. A wtedy Egipt ogarnie mrok.

– Zaraz, zaraz... – Elementy układanki zaczęły składać się w całość. – To ona wywołała sny!

– Zgadza się. Elede, prezes od wodociągów, nawet pan Baxter. To Abigdala odszukała ich i napełniła ich sny obrazem siebie. Lecz to jeszcze nic w porównaniu z tym, co się zdarzy. Wkrótce cały Egipt będzie o niej śnił jak o swojej bogini.

– Pan jest szalony – wychrypiałem.

– Jestem? – Uśmiech, który posłał w naszym kierunku, był tak drapieżny i złowrogi, że poczułem ciarki na plecach. Nic więcej nie powiedział. Zaczął się oddalać.

– Khariusz! – zawołał Elthorn, na co nawoływany mężczyzna odwrócił się, a jego oczy rozblęły na moment czerwienią, oddając blask słońca. Obok upiornego Araba przejechali konni.

– To jeszcze nie koniec, Husley – warknął sir Thomas, posługując się nazwiskiem, które już, zdaje się, gdzieś słyszałem. Lecz jego rozkołysane, uginające się w kolanach nogi, były swoistym zaprzeczeniem słów, przez niego wypowiedzanych. Zresztą, Arab nagroził to suchym uśmiechem.

– Lepiej nie jechać za nami, monsieur. Nie chciałabym pana krzywdy – ostrzegła Nina, przejeżdżając obok Elthorna. Zmierzył ją jedynie złowrogim wzrokiem, gdy odjeżdżała. Po chwili wszyscy zniknęli w tumanach kurzu.

Staliśmy jak wryci, patrząc na rozległą połąć pustyni i powoli sunące w stronę horyzontu słońce. Chłód zaczynał nam doskwierać, lecz z pewnością nie tak, jak samotność i poczucie pustki.

Rozpalono wkrótce dwa prowizoryczne ogniska, korzystając z resztek drewnianej skrzyni. Nikt nie przejmował się zwierzętami, które wałęsały się ospałe wokół pociągu, lub pomykały w wiadomym tylko sobie kierunku. Doktor Basharti, alias sir Baxter, przypominał jedno z tych zwierząt i jego też już nikt nie pilnował, gdy krążył, plotąc bez sensu różne rzeczy.

– On żyje. – Usłyszeliśmy. Dostrzegłem Anglika, podchodzącego do naszego ogniska. Płomienie biły w jego oblicze, migocząc w oczach sir Thomasa.

– Major Bradbury? – zapytałem.

Anglik pokręcił głową.

– Beduin, którego doktor zranił w głowę. Chodźcie.

Bandyta był w szoku i mamrotał coś niezrozumiale, poszarzały na twarzy, jednak był tylko lekko ranny. Nie uciekł, na szczęście, nie znajdując w sobie widocznie siły. Sir Thomas związał go kawałkiem sznurka.

Następnie zaczęliśmy przesłuchanie, wspierani przez jednego z pasażerów, niskiego urzędnika, który znał trochę angielski i pomógł w tłumaczeniu. Na szczęście, już po kilku pierwszych uderzeniach otwartą ręką, Beduin zmiękł. Wśród słów wypowiedzanych przez niego, często pojawiały się

dwa: „baarid” i „hiyya” i przynajmniej dwa razy grecko brzmiące słowo „Naukratis”. W swobodnym tłumaczeniu „baarid” oznaczało „zimnego”, zaś „hiyya” po prostu „Tą”, lub „Ją”. Beduin wyznał, że wkrótce stanie się to, na co wszyscy czekają i ciała ponownie, jak nakazują obrzędy z Al Azif, zmieniają właścicieli. Gdy wypowiedział ostatnie słowa, zaniósł się gardłowym śmiechem przypominającym szczekanie hieny. „Ona jest jak džinn”, mruknął, a jego twarz przybrała ponury wyraz. Po chwili śmiech przeszedł w kaszel. Mężczyzna wybałuszył oczy, a jego usta i nos wypełniła krew, tworząc na powierzchni warg osobliwe, grube bąbelki krwistej piany.

Mężczyzna niespodziewanie padł nam do stóp i po chwili już nie żył.

* * *

Z pamiętnika Thomasa Elthorna,
Ostatnia noc

Miałem okazję dopaść tego łotra, tę hienę w ludzkiej skórze. Lecz gdy doszło do konfrontacji, gdy mogłem dokonać zemsty, zawiodła mnie silna wola. To tak, jakby miał nade mną władzę, jego magnetyczna moc powstrzymała zresztą nas wszystkich. Zostałem podwójnie zdradzony, przez Ninę i siebie samego. Podejrzewam, że podobnie musiał czuć się biedny doktor Basharti, który dopiero po ucieczce Beduinów powrócił do zdrowych zmysłów. Przynajmniej częściowo.

– Tak, to prawda – oznajmił. – Nie nazywam się Basharti, tylko Baxter. Sir Harold Baxter. Czy raczej nazywałem się tak, wieki temu. Ci ludzie... Te potwory... Zabrały mi moją Lucy i dzieci, kiedy przybyli ze swoim piekielnym orszakiem do Aleksandrii. Gazety podały, że to była plaga. Ale mam inną, odpowiedniejszą nazwę. Upiory. Dżiny. Ludzie Węże.

Spojrzeliliśmy z Magonem po sobie.

– No tak. To tłumaczy pana angielskie notatki – odparł Magon. – Jak mamy się zatem do pana zwracać, doktorze?

– Sir Baxter umarł wraz ze swoją rodziną. – Kiwnął z przekonaniem głową. – Doktor Basharti brzmi całkiem dobrze.

Uśmiechnął się, ale oczy pozostały smutne.

– Więc miał pan wcześniej z nimi do czynienia?

– Tak – odparł. – Zmieniłem wygląd, niestety nie na tyle, aby pozostać nierozpoznanym. Zatem... Dopadli mnie ponownie. Wykorzystali do własnych celów. Jest mi bardzo wstyd, panowie, że pomimo mojego doświadczenia z nimi, całej tej historii, dałem się tak podejść...

Pokręcił głową.

– To nie pana wina. – Poklepałem mężczyznę po plecach, na co Basharti zmierzył mnie czujnym wzrokiem. – Wiem, do czego Khariusz jest zdolny.

Odeszli. Zabrali mumię i pozbyli się majora Allisona, jedyne go człowieka, który w mniemaniu Khariusza mógłby zagrozić ich planom. Wiedziałem, że zdążali do Birkasz, gdy tymczasem my pozostaliśmy tutaj, unieruchomieni przy pociągu. W myślach kołatały mi się słowa rannego Beduina o „zamianie ciała”. Zachodziłem w głowę, jaką czarną magię mogło to oznaczać.

Nocą zaczęły rozbrzmiewać w oddali wycia dzikich zwierząt. Usiedliśmy przy ognisku, ponieważ temperatura gwałtownie spadła i zaczynało nam doskwierać zimno. Ja, doktor Basharti i ten Francuz, Magon. Siedzieliśmy razem z dala od reszty współpasażerów. Nadal byliśmy roztrzęsieni, szczególnie pan Magon, który najwięcej z nas ostatnio przeżył.

– Musimy coś uczynić – zaproponowałem.

– Coś? – zapytał Basharti. W świetle ognia jego oczy nabrały drapieżnego wyrazu.

– Cokolwiek – odparłem. – Nie możemy przecież tkwić na tym pustkowiu w oczekiwaniu na ratunek. Nie po tym, czego się dowiedzieliśmy.

– Więc? – W oczach mężczyzny dostrzegłem nadzieję, obudzoną przez myśl, którą dało się wyczytać z twarzy doktora. Znalazł sojusznika. W mojej osobie. – Co pan radzi zrobić? Nie mamy zbyt wiele szans przeciw tym bestiom w ludzkiej skórze.

– Mamy więcej szans razem, niż każdy z nas w pojedynkę. Ja również mam rachunki do wyrównania, doktorze Basharti.

Drapieżny uśmiech odmienił twarz doktora. Po chwili nasza rozmowa przybrała zupełnie inny ton. Zastanawialiśmy się, co robić dalej, a po kilku kolejnych, wymienionych zdawkowo uwagach, zaczęliśmy gromadzić broń oraz zapasy, choć wyprawa na piechotę do Birkasz nie wchodziła raczej w rachubę i byłaby zwykłym obłędem. Lecz najwyraźniej doszliśmy do jako takiego porozumienia. Przynajmniej ja i doktor byliśmy zdeterminowani, aby ścigać Khariusza. Magon zdawał się raczej bierny. Siedział przy ognisku i studiował martwym wzrokiem mapy, pożyczone od obsługi pociągu. Na pomoc ze strony pozostałych pasażerów wcale nie liczyłem, toteż nie zwracałem na nich najmniejszej uwagi.

Konduktor i jego ludzie pozostawili nas w spokoju, obawiając się najwyraźniej tego, że mamy jakieś powiązania z Khariuszem. Dodatkowo był z nami Basharti. Wygląd parapsychologa i to, co uczynił, budziły strach w każdym. Nic dziwnego, że nikt nie dopominał się głośno, żeby uwięzić doktora. Po tym, co przeszliśmy, jaki to miało sens?

Część ludzi posłano do najbliższego miasta z garnizonem, Ityay al Barud, po pomoc. W świetle lampy naftowej przywleczonej z pociągu studiowaliśmy mapy, usiłując ustalić, gdzie się aktualnie znajdujemy.

– Panowie, zauważyłem coś dziwnego – przyznał znad swoich map Magon, który zaskoczył mnie nagłym ożywieniem. – Moim zdaniem bandyci Khariusza wcale nie zmierzali do Birkasz.

– No tak, to dość daleko – przyznał Basharti. – I w inną stronę. Trafna uwaga, panie Magon.

– Popatrzcie – oznajmił Francuz, pokazując palcem na rozłożonej, szerokiej mapie miejsce, gdzie według wskazówek innych pasażerów się znajdowaliśmy. Było to na wysokości Al Dilingat, nawet nie w połowie drogi do Kairu, od którego Birkasz dzieliło około dwadzieścia mil. – Tu jesteśmy. W tę stronę pojechali Beduini. Birkasz jest, o, tu.

Jego palec przesuwiał się sprawnie po mapie, wyznaczając punkty. Miał rację.

– No to gdzie się udali? – prychnąłem.

– Cóż – westchnął Basharti – tego się nie dowiemy, siedząc tutaj. Pozostaje udać się ich śladem.

Przy sąsiednim ognisku ktoś zaczął nucić smętną pieśń, z rodzaju tych, które śpiewają muzułmanie. Wsłuchując się w pełen melancholii głos i czując napływającą do ust ślinę, wywołaną aromatem pieczonego na rożnie mięsa, cicho dyskutowaliśmy o tym, co dalej. Nikt z nas nie znajdował rozwiązania. Nie mieliśmy dość zapasów, broni, no i przede wszystkim wierzchowców.

W środku nocy Basharti zaczął cicho powarkiwać.

W dali dostrzegliśmy ciemne sylwetki szakali. Ich iskrzące się, pomarańczowe oczy towarzyszyły nam przez połowę wyjątkowo cichej i złowieszczej nocy. Nie mogłem spać, więc raz po raz spoglądałem w kierunku zwierząt, które coraz bardziej sprawiały wrażenie pilnujących naszego obozu. Przypomniałem sobie Karru i to, co powiedziała Nina na temat buszmeńskiego czarownika, który przywdziewał skórę szakala i mimowolnie zadrżałem.

Mniej więcej w połowie nocy zwierzęta zostały przepędzone przez znacznie większe zagrożenie. To była dość zwykła na tym obszarze burza piaskowa, niezbyt gwałtowna, lecz intensywna. Zaczęła się niewinnie, zwykłym, święcącym tumanem kurzu, wznoszącym się w oddali nad wydumą. Delikatny powiew musnął jedynie nasze ubrania. A już po chwili lodowaty wichur uderzył z taką siłą, że wszyscy musieliśmy szukać schronienia z powrotem w pobliżu pociągu. Towarzyszył nam metaliczny łoskot, w którym dało się słyszeć wściekle jęki. To zawroźnienie, docierające przez przeszkody, podobne było do ludzkich głosów. Piach jęczał i siekł w drewno i stal. Po kwadransie dźwięki się zmieniły. Teraz to samo wściekle wycie przypominało raczej odgłos wydawany przez zwierzęta. Może poza gwizdem, który raz po raz dołączał do tej kakofonii. Wiatr stukotał o ścianę, za którą się schroniliśmy.

– Doktorze Basharti! – wykrzyknął Magon. – Powiedział pan Khariuszowi, że wie, kim jest! Co to miało znaczyć?

– Nie kim, a czym!

Między dwoma mężczyznami nastąpiło krępujące milczenie, przerywane jednostajnym szumem wiatru i dudnieniem wirującego piachu. Zrozumiałem, że doktor nie ma zamiaru się dalej zwierzać, lecz Francuz nie ustępował.

– Chciałbym porozmawiać o pana zapiskach, doktorze! – krzyknął, lecz Basharti zrobił jedynie zdziwioną minę.

– O czym?! – Zmarszczył brwi.

– O Mikołaju z Damaszku! – wyjaśnił Francuz, wywołując jeszcze większą konsternację.

Wiatr ucichł na tyle, że dalszy ciąg rozmowy nie musiał oznaczać wykrzykiwania kolejnych słów.

– Poświęciłem życie, żeby ich dopaść, a sny Mastabe... – Basharti dotknął czoła czubkami palców. – Myślałem, że wpadłem w końcu na trop. Że wrócili. Niestety, była to jedynie kolejna pułapka. Oni potraktowali nas jak myszy wpuszczone do labiryntu. To się zaczęło w Aleksandrii, gdy wraz z Mastabe odwiedziłem miejsce z jego snu. Latarnię, a raczej to, gdzie stała. To tam po raz pierwszy poczułem się nieswojo. I nie wiem, co to było, sen, czy jawa. Tam nas opanowali.

– Co ma pan na myśli?! – spytałem.

– Spotkałem tam kobietę. Nie widziałem jej twarzy, ukryta była w nikabie, lecz do tej pory pamiętam jej oczy. Te oczy! Śniły mi się jeszcze potem. Podeszła w tym śnie i wyszeptała mi coś do ucha. Zrozumiałem jedynie, że ma na imię Abigail i potrzebuje mojej pomocy. Od tej chwili wiele z tego, co robiłem, po prostu nie pamiętam. Jakbym był w transie. Wiem, że Mastabe czuł się podobnie i także śnił o nieznanym.

– No tak – mruknąłem. – Wychodzi na to, że byli panowie pod jej wpływem. Czy jednak możliwe jest, aby martwa istota nawiedzała ludzi w snach?

Wypowiadając te słowa, pożałowałem ich naiwności.

– A jak pan myśli? Czy umarli potrafią ruszać rękoma?

Pokręciłem głową.

– Oczywiście, że tak – parsknął parapsycholog. – Niech pan spyta pana Magona o rękę mumii. Widział ją.

– Czyli mamy uważać, że cały czas pan lunatykował, doktorze?

Basharti pokiwał głową, a potem przyjrzał mi się z powagą w oczach.

– Można tak powiedzieć – rzekł. – Lecz zastanawia mnie to, co powiedzieliście o tych notatkach. Co mieliście na myśli? Pamiętam, jak przez mgłę, że sporządzałem jakiś list, a może zapiski. Lecz doprawdy, niech mi Bóg pomoże, nie pamiętam, czego dotyczyły.

– Cóż, wygląda na to, że Abigail z pana snów usiłowała się dzięki panu dowiedzieć czegoś więcej o Khariuszu – stwierdził Francuz. – O jego przeszłości jako Szalonego Kalifa. Zgłębiała też ogólną wiedzę na temat dżinów, jakby cierpiała na zaniki pamięci.

– Bo może tak jest – przyznał Basharti. – Pomyślcie, przecież sami nie wiemy, ile czasu spędziła w grobie. Ani w jakiej kondycji psychicznej się obecnie znajduje.

– W tym sęk – przyznał Magon. – Wiemy to. I to dzięki panu. Pozwólcie, że z grubsza wyłożę treść notatek, które odczytałem w przedziale Bashartiego. Tylko ja je mogę pamiętać. Otóż niejaki Szalony Kalif..

* * *

Zapiski Luciena Magona z kairskiego Muzeum Starożytności, dotyczące wypadków w drodze do Kairu.
Część trzecia.

Nad samym ranem pojawiło się wojsko. Wszyscy na koniach, około dwudziestu hardych Arabów. Turbany i pełne rezerwy miny śniadych mężczyzn upewniły nas co do tego, że nie udzielą nam stosownej pomocy. Z drugiej strony wiedzieliśmy też, że jeśli tylko uda się nam przekupić ich dowódcę, mężczyznę o dość odpychającej aparycji i manierach, to zdobędziemy potrzebne nam konie, prowiant i broń. Tak też się stało i wkrótce byliśmy w drodze.

Mijaliśmy wioski, które zamieszkiwali podejrzanie wyglądający Beduini, którzy do złudzenia przypominali bandytów Khariusza. Mieliśmy ze sobą dwie strzelby, pieprzniczkę i długi myśliwski nóż oraz potrzebne na taką wyprawę jedzenie i wodę. Musieliśmy wyglądać niczym bohaterowie z powieści Juliusza Verne'a, lecz ja czułem się w tej roli idiotycznie. Prawie nie odzywając się do siebie, gnaliśmy naprzód. Przed nami roztaczał się widok na pustkowie, głęboko wcinające się w deltę Nilu kaniony, urozmaicane, przynajmniej ze znanych mi gatunków, palmami daktylowymi i eukaliptusami.

Gdy późnym wieczorem tego samego dnia wjechaliśmy do kolejnej, niczym się nie wyróżniającej wioski, czułem bolesne odciski od kulbaki i dziękowałem w duchu, że wierzchowcem pode mną nie jest jakiś wielbłąd. Tego mógłbym nie przeżyć. Słońce zniknęło powoli za horyzontem, malując piasek naszymi wydłużonymi cieniami. Lepianki dokoła sprawiały raczej nędzne wrażenie, podobnie jak grono brudnych Beduinów, którzy je zamieszkiwali.

Ktoś tam już na nas czekał. Wypatrzyliśmy tę osobę w tłumie, który wyległ na nasze spotkanie. Ubrana w burnus postać nie od razu wydała się mi znajoma, pomimo odsłoniętej głowy i opalonej twarzy. Między zębami

dostrzegłem długą fajkę. W uszach podzwaniały złowrogo zausznice z ciemnego złota. Po chwili zauważyłem minę sir Thomasa, który nieproszony sięgnął po strzelbę. Poczułem niepokój, przeradzający się w przerażenie. Szukać ich to jedno. Spotkać, coś całkiem innego. Chyba nie wierzyłem, że nasza wyprawa coś da. Tymczasem jedna z tych istot, kobieta, sama wyszła nam na spotkanie.

– Czego od nas chcesz? – zawołał do niej z pewnego dystansu sir Thomas, opierając broń o łęk siodła.

– Spokojnie. – Nina Dubois wyciągnęła pojednawczo rękę do góry. Zadzwonily bransolety na nadgarstkach. – Chcę jedynie pomówić.

Elthorn wycelował do kobiety, nie zważając na to, że otaczają ją ludzie. Tłum przeszedł pełen niepokoju szmer.

– Nie mam ochoty na pogaduszki. Groziłaś mi.

– Ostrzegalam. – Nachmurzyła się, lecz jej usta pozostały bez zmian.

– Dla mnie to to samo. Powiedz mi, kochanek się tobą znudził?

– Kochanek? – Ściągnęła brwi.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie sypiałaś z nim?

Nina skrzywiła się.

– Mogłam przypuszczać, że to będzie dla ciebie najważniejsze. Ale mylisz się, to nie tak. Khariusz nigdy nie był specjalnie namiętny.

– To ty się mylisz – odparł z poczuciem wyższości Anglik. – W ogóle mnie to nie interesuje.

– W takim razie, co robisz tutaj? – wmieszał się doktor Basharti. Swoje pytanie skierował do Niny.

– Chcę wam pomóc powstrzymać Khariusza – wyjaśniła. Sir Thomas wybuchnął śmiechem.

– Tak jak ostatnio?

– Nie. – Zamknęła oczy, a jej usta wykrzywiły się brzydko. – Nie jak ostatnio.

– Masz rację. Tym razem będzie inaczej, ponieważ ci odmówię.

– Wysłuchajmy jej – rozległ się pełen poskramianych emocji głos Bashartiego. Mężczyzna poprawił się w siodle, a ja powoli i nie bez bólu zsunąłem się z kulbaki.

– Nie mam zamiaru, Baxter – burknął Thomas, celowo używając prawdziwego nazwiska doktora, po to chyba, aby wywołać w mężczyźnie wzburzenie. – To żmija, niewarta zaufania ani zachodu. Jest jak reszta. Co? Ufasz jej? Nagle zmieniłeś zdanie co do nich? Twoich Wężowych Ludzi?

– Niczego nie zmieniłem – westchnął Basharti/Baxter. – Nie rozumiesz? To nasza szansa. Popatrz na nią.

– Patrę.

Baxter pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz – oznajmił z cichym, ale znaczącym parsknięciem. – Nie ma nikogo bardziej niebezpiecznego, niż zraniona kobieta. Wykorzystajmy to.

– Bardzo szczerze słowa – przyznała z sardonicznym uśmiechem Nina. – Szczerze i odważne.

Doktor kiwnął zdawkowo głową.

– A jeśli mam rację co do niej? – zapytał Elthorn.

– W czym miałbyś mieć rację?

– Nie zgrywaj idioty, Baxter. Co, jeśli jest taka sama? Jeśli zrobiła komuś to samo, co Khariusz zrobił twoim bliskim? – mruknęła, wkładając strzelbę pomiędzy juki. Nie mógł opanować drżenia rąk.

– Daj spokój, pewnie, że masz rację – przyznał Basharti. – Ale to nic nie zmienia.

– No tak. Podwójna moralność – prychnął Anglik.

– Jej udział zwiększa nasze szanse.

– Nic o niej nie wiemy. – Elthorn nie spuszczał wzroku z dziewczyny. – Przynajmniej ja o niej nic nie wiem, choć znam ją rzekomo najlepiej. A może się mylę, droga panno Dubois? Kim ty jesteś?

– Chcesz się dowiedzieć kim jestem, Angliku? – mruknęła po chwili ociągania. Jej głos brzmiał zaczepnie i wrogo.

Cały czas odwzajemniała wzrok sir Thomasa, drażniąc się z nim.

Kiwnął z wahaniem głową.

– Tak.

– Ci Buszmeni w Karru, którzy nie chcieli nas przepuścić? Mieli rację co do mnie.

– Co to za brednie?! – prychnął Elthorn.

– To żadne brednie – odparła, kręcąc głową. – Wiesz zresztą o tym.

– O czym wy mówicie?! – W moim głosie zabrzmiała panika.

Lecz Dubois nie zwróciła na mnie uwagi. Mierzyła tylko Elthorna. Był to wzrok wyjątkowo natężony i ponury. Nic dziwnego, że mężczyzna spuścił po chwili głowę.

– Oni mają Clare – oznajmiła. – A ty masz coraz mniej czasu, aby ją ocalić.

– To niemożliwe. Clara jest daleko i jest zimna. Martwa – wybełkotał, spoglądając niewidzącym wzrokiem dokoła. Prychnęła pogardliwie, nie nazywając jego wątpliwości ich właściwym imieniem.

– Po co tu jesteś? – spytał, wznosząc oczy. Wpatrując się w twarz sir Thomasa, zobaczyłem w nich mgłę. – Aby znowu mnie zdradzić? Czy może sprawić, żebym oszalał, wysłuchując tego wszystkiego? Kim ty jesteś? Czym ty naprawdę jesteś?

– Uspokój się, Elthorn – zauważył doktor. – Pozwól jej mówić.

Przez moment zaszczyciła Bashartiego spojrzeniem, lecz nawet wtedy patrzyła jakby przez niego zamiast na niego.

– Dlaczego naprawdę opuściłaś Khariusza? – wychrypiał sir Thomas.

Kobieta przeniosła pusty wzrok z powrotem na Elthorna, ignorując Bashartiego i mnie.

– Czemu go opuściłam? Nie zrozumiesz tego.

– Wypróbuj mnie.

Pokręciła głową.

– Współczuję ci, Elthorn – podjęła. – Naprawdę. Przykro mi z powodu twojej siostry i tego, co z nią zrobili. I tego, co jeszcze zrobią. Nie miałam z tym nic wspólnego. Chcę, żebyś to wiedział.

– Współczujesz? – spytał sir Thomas, opuszczając powieki. – Nie miałaś nic wspólnego?

– Nie jestem jak reszta. Nie krzywdzę dzieci ani kobiet.

– I to ma mnie niby obchodzić? Że nie krzywdzisz dzieci? I myślisz, że ci tak po prostu uwierzę? Na jakiej podstawie?!

– Chcę, żebyś coś pojął, Thomasie Elthorn. Ja jestem jedną z nich. Lecz nie jestem jak oni.

– Czemu miałbym ci wierzyć?!

– Powód jest prosty. Clarissa nie była pierwszą ofiarą – oznajmiła, wchodząc mu w słowo.

– Słucham? – Ściągnął brwi Anglik.

– Moja córka. Ona... Została splodzona jedynie po to, aby zostać im poświęconą, aby być naczyniem dla Ka Pradawnych. Może i jestem potworem, ale jestem też kobietą. I byłam kiedyś matką.

– Jaka znowu córka?! – Thomas nachmurzył się, wywołując bruzdę na twarzy, która nadała jego obliczu wyjątkowo ponury wyraz. – Mówisz o małym potworku Barneya Rhodesa?

Nina kiwnęła głową, nie zdradzając się z uczuciami.

– Gdy spotkałam Barneya, byłam już z Khariuszem. Amerykanin pożerał mnie wzrokiem i Khariusz to dostrzegł. To był rejs do Afryki, jeden z wielu, które odbyliśmy, szukając ofiar do naszych... praktyk. Rhodes znalazł się tam przypadkiem.

Westchnęła.

– Dwa lata wcześniej Khariusz natrafił na pierwszy ślad Abigdali. Niestety, spóźniliśmy się. Ciało było uwięzione pod wodą, a poza tym było praktycznie zniszczone i nie nadawało się do powtórnego zamieszkania przez Ka Pradawnej Królowej Węży. Lecz Khariusz i na to znalazł sposób.

– Te potwory z wody – westchnął Elthorn, nieruchomiejąc. Jego kamienna twarz nie mówiła tyle, co błędzące oczy. Nie miałem pojęcia, o co im chodzi, jedynie domyślałem się, że to brakująca część historii i że ten fragment należy wyłącznie do sir Thomasa i Niny Dubois.

– Zgadza się. Choć nie nazwałabym ich potworami. W gruncie rzeczy są tacy jak my. W przeciwieństwie do nas jednak posiadli wiedzę na temat

wędrowki pomiędzy ciałami. Ich czarownicy oszukiwali w ten sposób śmierć od stuleci. Z ciała do ciała, rozumiesz? Z ciała do ciała. Poza ciałem, poza życiem. Lecz ceną ich magii była żywa osoba. Niewinna i odpowiednia, aby zamieszkać mogła jej istotę inna Ka. To nie mógł być każdy. Jedynie osoba o określonym ciele i duszy nadawała się na naczynie. Moja córka miała nią być. Kiedy jednak urodziłam, wiedziałam, że muszę zdradzić Khariusza tak, jak on zdradził mnie.

– Zostawiłaś Barneya Rhodesa z dzieckiem. – Kiwnął głową Thomas. – I myślałaś, że to coś zmieni?

– Myślałam, że jeśli ona i Barney znikną, nie będą ścigani. Myślałam, że Khariusz znajdzie inne naczynie. Że osoba, która nadaje się do wymiany Ka, nie jest znowu aż taką rzadkością. Byłam głupia i lekkomyślna. Skoro Khariusz był gotowy hodować takie dziecko, to musiało być ono wyjątkowe. Uciekłam zatem i przez wiele lat trwałam w przyuczajeniu, nie wychylając się.

– Lecz nie uchroniło to dziecka. Rhodes zabił małą, żeby te stwory z morza nie mogły jej dopaść, prawda? Po co im była? Czemu te... te istoty z głębin pragnęły małej Rhodesa?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Jest wiele tajemnic, sekretów bluźnierczych wyznawców Dagona i Hydry. Rzeczy, które nawet dla Pradawnych wydają się okropieństwem. Khariusz to bardziej rozumiał. I popadł w wielką złość. Wszalał niemalże. I swój gniew wyładował na mnie.

Drgnęła, jakby na przypomnienie kary, która ją wtedy spotkała.

– Zmusił mnie, żebym mu wszystko wyśpiewała, a gdy wyznałam prawdę, udał się do Nowej Zelandii. Mnie pozostawił tutaj. Powiedział, że mi wybacza. Nie zapomniał jednak. On niczego nie zapomina. Nigdy.

– A w Nowej Zelandii już czekała na niego Clarissa – mruknął z jeszcze większą niechęcią niż dotychczas Anglik. Tłumaczenie dziewczyny wydawało się nie robić na nim wrażenia, jakby w ogóle do mężczyzny nie docierało.

– Tak.

– Długo czekał.

– My mamy cały czas świata, monsieur Elthorn. Zwłaszcza Khariusz.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się smutno.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię. To, co się działo z twoją siostrą... Khariusz niczego nie pozostawił przypadkowi. To było... jak rytuał. Przygotowanie do tego, co miało dopiero nadejść.

– Rytuał?

– Wiesz może, czym jest ekimmu? – spytała.

Anglik pokręcił głową.

– W Sumerze wierzono, że gdy ktoś umierał brutalną śmiercią lub nie pochowano go w odpowiedni sposób, rodził się ekimmu, który jako upiór

znajdował bezradną ofiarę i dręczył ją tak długo, aż zdobył nad nią władzę. Taka ofiara kroczyła między życiem a śmiercią i jako taka, zyskiwała niezwykle znaczenie i właściwości.

– Mogła stać się... tym waszym naczyniem? Czy to chcesz mi powiedzieć?

Odpowiedziało mu skinięcie głowy.

– Najpierw taka osoba słyszała złowrogie podmuchy wiatru, a potem popadała stopniowo w szaleństwo. To właśnie spotkało Clarissę.

– Czyli Khariusz celowo doprowadził Clarę do obłądzenia? Po to, żeby się nadawała do...

Przytaknęła, zanim skończył.

– A ty? Czy ty też jesteś taka?

– Jestem jedną z nich, tak, choć jak wielu z nas, nie widziałam nigdy pradawnej Valuzji. Część z nas przebywa po dziś dzień w Ukrytym Yoth pod Północną Ameryką, gdzie wielbią Wielkiego Węża, Yiga i dogorywają, powoli zapominając, czym ongiś byli. Inni? Cóż, rozpierzchli się po świecie. Khariusz zgromadził część z nas, wiele, wiele stuleci temu. Nakazał wielbić Allaha, który był jego zdaniem ucieleśnieniem Wielkiego Węża. Sam nazwał się jego Prorokiem. A my? Uwierzylimy mu. Że przywróci chwałę Valuzji. Że mówi prawdę. Przynajmniej przez jakiś czas wierzyli mu wszyscy. No, a potem przezwano go Szalonym Kalifem. Uznano za głupca. Wężowi Ludzie opuścili Kalifa. I jego sprawę. Ale to temat na o wiele dłuższą opowieść. To było dawno.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś czym, he? – prychnął Anglik, wyraźnie swoją myślą rozbawiony. – Jakąś kobietą-wężem? A może oddamy ciebie do cyrku, co?

Spojrzała na niego śmiertelnie poważna.

– Cóż... Możesz się śmiać, drwić, w niczym nie zmieni to twojego położenia, panie Elthorn. Mamy różne imiona. Honou Eepehe, Lud Yiga i ekimmu. Ale to tylko imiona. Należę do... rasy ludzi – gadów, czy to ci się podoba, czy nie. Obojętnie, czy wierzysz, czy też nie. Dawniej mieliśmy na powierzchni swoje miasta, ogromne miasta na wielu kontynentach, z których największym była Valuzja. Ale były i inne. Zapomniane Miasto w Arabii i to pod Ameryką, to tylko niektóre z osiedli... Lecz wszystkie upadły, a my z nimi. Nasza krew mieszała się zaś z ludzką i inną jeszcze krwią, wyznawców Cthulhu, Dagona i jemu podobnych. Gdybyś cofnął się w czasy, gdy było nas więcej, czułbyś strach, nie drwinę, monsieur.

Mówiła z namaszczeniem. Niskim, pełnym emocji głosem. Coraz bardziej miałem wrażenie, że rozmowa toczy się między tą parą i ani ja, ani Basharti w ogóle się nie liczymy.

– O czym wy mówicie? – Pokręciłem głową. – Kim jest Clarissa?

Moje pytanie było absurdalne. Z wszystkich okropieństw, które usłyszałem... uczepiłem się jednej normalnej rzeczy... Clarissa... To imię

rozbrzmiewało mi w głowie. Lecz oni nie zwracali na mnie w ogóle uwagi. Tak, jakby naprawdę byli tu sami.

– Czy moje spotkanie z Khariuszem było prawdziwe? – kontynuował Anglik. – Nie przyśniło mi się, prawda?

Pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. To on wszystko wywołał. Od tej pory stałeś się marionetką w jego rękach. Zdominowaną i bezwolną, spełniającą jedynie jego rozkazy.

Odwróciła zaszklony wzrok.

– Mów dalej – naciskał Elthorn. Słyszałem, jak zagryza zęby.

– Nie mam wiele do dodania. – Wzruszyła ramionami. – Wszystko, co miało miejsce później, twoja podróż wraz z ciałem, nagła wysiadka w Kapsztadzie, nawet spotkanie ze mną, wszystko to było z góry ukartowane. Przewidziane. Wszystko było planem. Tak właśnie postępuje Khariusz. Wykorzystuje otoczenie, bawi się nim. Tylko ataki wielorybów na statek zostały wywołane ingerencją naszych sojuszników, którzy pragnęli odzyskać Clarisę, w ich mniemaniu skradzioną im przez Khariusza. Choć nie mogli jej mieć żywej, może doszli do wniosku, że nadal jest im droga? Albo że mogą ją jakoś przywrócić? Nie wiem wiele o wyznawcach Dagona ani ścieżkach, które ich prowadzą.

– Została im skradziona? Moja Clara?!

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Naprawdę.

– Cóż, oni chcieli ją mieć... żywą. Khariusz wysysał z niej krew i życie, aż była bezużyteczna dla mieszkającego w morzu ludu Dagona. Tak się nazywa tych... ryboludzi. Wyznawców Dagona i Cthulhu. Gdy zaś próbowali zabrać dziewczynę do morza, zamiast tego wywołali jej śmierć przez utopienie.

Przez chwilę Anglik tkwił w ponurym zamyśleniu.

– Jeśli więc Clara nie żyje, to jak ma zostać tym waszym... cholernym naczyniem?!

– Tylko martwa, ale nie zepsuta, może nim zostać. Tylko w toku rytuałów i zabiegów powolnego odbierania życia ciało staje się na tyle wytrzymałe, aby zamieszkało je Ka Pradawnej. Gdyby Clarissa przeżyła...

– Zamilcz – wychrypiał przez zęby.

– Uwierz mi. Tak właśnie było.

Pokręcił głową.

– Jesteś chora. To, co mówisz, jest chore. Ludzie-węże? I może jeszcze ludzie-żaby?! – zauważył w końcu, a ja w duchu dziękowałem mu za trzeźwość umysłu, która zastąpiła szal. Choć nadal syczał przez zęby, głos miał stonowany, wręcz niepokojąco pusty. – Ale dobrze, grajmy w to dalej. Co się wydarzyło po naszym rozstaniu w pociągu? A może ty także odgrywasz dalej swoją rolę?

– Tak uważasz? – mruknęła z namysłem. – Cóż, nie potrafię sprawić, abyś zmienił zdanie co do mnie. I nie zależy mi na tym. Mamy jednak wspólnego wroga. Jest nim Khariusz.

– Nie zachowywałaś się jak jego wróg, gdy widzieliśmy się ostatnim razem.

– Może. – W głosie dziewczyny zabrzmiał pogardliwy ton. – Ale jestem twoją jedyną nadzieją. Pomyśl. Wasza trójka przeciw kilkudziesięciu bandytom. I ekimmu. Żaden z was nie jest wojownikiem, prawda? Ani doświadczonym łowcą.

– Jesteś taka sama jak on – prychnął wzgardliwie sir Thomas.

– Może – przyznała. – Ale jestem zarazem jedyną osobą, która może ocalić duszę twojej siostry.

Elthorn znieruchomiał.

– Co ma do tego Clarissa?! – warknął rozzłoszczonym głosem. – Zostawiłem ją przecież na statku. Jej ciało dawno dotarło...

– Nigdzie nie dotarło. – Pokręciła głową Nina.

– Kłamiesz.

– Daj mi czas, a sam zobaczysz – oznajmiła.

– Ona mówi chyba prawdę – rzekł słabym głosem Basharti. – Słyszysz, Angliku? Na twoim miejscu przyjąłbym ofertę kobiety, niezależnie jak mało jej ufasz.

– Gdzie oni są? – zapytał rzeczowo sir Thomas.

– Co będę z tego miała, że ci powiem?

Skierował na nią swoją lufę.

– Nie odstrzelę ci głowy.

– I tak tego nie zrobisz.

– Załóż się.

– Broń na pewno nie jest nabita.

– Khariusz musi być bliżej celu, niż był przed chwilą – zauważył Anglik, a potem wykrzyczał. – Gdzie oni są?! Nie w Birkasz, prawda?!

Pokręciła głową.

– Czemu przypuścili atak tak szybko? Przecież pociąg zmierzał do Kairu. Mogli uderzyć bliżej Birkasz. Czemu zdecydowali się szybciej?!

Tym razem kiwnęła.

– Masz rację – przyznała. – Birkasz nie jest jedynym miastem, gdzie handluje się wielbłędami. A zależało im właśnie na takim miejscu. Ze względu na ludzi, których można spotkać na targu.

– Gdzie jest ten targ?

– To stare, greckie miasto, dziś już praktycznie opuszczone – oznajmiła bez mrugnięcia.

– No dobrze, ale dlaczego wam tak zależy, aby to był targ wielbłędów?

– To proste, Elthorn. Ma tam przybyć pewna osoba. Jego ponad pięćdziesięciodniowa wędrówka z Sudanu dobiega właśnie końca. Nie było

mu łatwo się tu przedostać. Ma wielu wrogów. Niebezpiecznych ludzi, którzy na pewno udaremniliby taką podróż, gdyby mogli.

- Kto to taki? – Basharti ściągnął brwi.
- Nazywają go Nestor.
- Rzymianin – zauważyłem.
- Dobrze – mruknął Anglik. – Wskażesz nam drogę.

Z pamiętnika Thomasa Elthorna

Jeszcze przed świtem spakowaliśmy się i osiedliśmy konie. Nina dołączyła do nas ze swoją karą kłaczą. Jechaliśmy dobre dwie godziny i niebo zdołało zsinieć. Gwiazdy przyblakły, a ozdobiona domieszką szczerego złota przestrzeń zaczęła być nieco bardziej widoczna. Zobaczyliśmy horyzont, odcinający się od ponurego szarego sklepienia swoim jeszcze ciemniejszym kształtem. Na niebie rozlała się krwista czerwień. Pustynia była spokojna, jak okiem sięgnąć żywego ducha. Towarzyszył nam jedynie lekki poszum wiatru. Odnosiłem wrażenie, że wielką zbrodnią byłoby choćby szeptem przerywać zalegającą wkoło ciszę. Wreszcie naszym oczom ukazały się niskie mury, częściowo ukryte wśród nagromadzonych przez niezliczone eony piasków.

– Tam! – Nina wskazała niezbyt odległe zabudowania. Kiwnęliśmy głowami, ściągając wodze. Sprazona słońcem dolina, w której mieściły się ruiny, wyglądała jak na wpół odkopany grób. Wjechaliśmy w miejsce, gdzie zaczynał się zarys fundamentów. Przebiegły mnie dzikie dreszcze. Strach, który odczułem, wydawał się przemawiać do mnie, cicho dźwięcząc wśród kamieni. Kruszące się ściany dokoła nie przypominały budynków. Większość zresztą zasypana była fałdami zbitego piasku.

Nagle rozległo się głośne, niemiłe uchu parskanie, które kojarzyło mi się z odgłosem konia albo wielbłąda.

Gdy minęliśmy szeroki plac i skręciliśmy w prawo, wyjeżdżając spomiędzy ruin, zdałem sobie sprawę, że miasto wcale nie jest opuszczone. Co więcej, trwał tu w najlepsze wzmożony ruch. Stały różnorakie namioty, duże i mniejsze, w liczbie kilkunastu. Byli i mężczyźni, ludzie pustyni, kilka koni i cała gromada blade umaszczonych wielbłądów. Wjechaliśmy w zasięg rozległej podmurówki, ocienionej kilkunastoma rozpiętymi namiotami i straganami. Długi ciąg popękanych ścian zniknął w ziemi.

Roilo się tu od wielbłądów i osłów. Było też kilku odzianych w powłóczyste szaty ludzi o czarnych twarzach. Póki co żaden z nich nie zwrócił na nas uwagi.

– Większość tych wielbłądów pochodzi z zachodniego Sudanu – odezwała się Nina, wskazując zwierzęta. – I znaczna część trafi do rzeźni. Wystarczy przyjrzeć się ich maści. Mięso wielbłąda jest niezwykle cenione, nie tylko w Kairze. Trzeba je tylko dobrze przyprawić.

Musiało ich tu być pół setki, głównie w kolorze piasku lub jeszcze bledszym. Za to skóra handlarzy była czarniejsza niż noc.

– Nubijczycy – skomentował Basharti.

– Nie przepadam za nimi – zgodziła się Nina. – Są pełni temperamentu, ale i nieprzewidywalni.

– Panie Magon! – Odwróciłem się do Francuza. – Zostanie pan tutaj.

– Ja?! – Zmarszczył brwi. – Dlaczego ja?

– Był pan ranny – przyznałem, czując, że mężczyzna w duchu dziękuje mi za tę przysługę. – A jeden z nas musi tu zostać na wypadek, gdybyśmy...

– Zgoda – przystał nazbyt szybko i skwapliwie. – Zaczaję się blisko ruin.

– Nigdzie nie dostrzegłem Beduinów Khariusza ani jego samego – zauważył Basharti.

Miał rację. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Jest tam – oznajmiła Nina, a ja popatrzyłem w to miejsce, które wskazywała.

Stał tam cały czas, po wschodniej stronie placu, blisko dwadzieścia jardów od nas. Obserwował targ przez lunetę, kryjąc się w ruinach utworzonych przez olbrzymie cegły stanowiące podmurówkę budynku. Z podmurówki wznosiły się w niebo trzy kolumny o dużej średnicy. Khariusz stał między nimi w rozwianej, rozpiętej na piersi galabiji i z długimi, białymi włosami powiewającymi na wietrze. Nie mogliśmy być całkowicie pewni, że to on, a jednak nikt z nas nie miał wątpliwości. Był sam, nie wiedzieliśmy, gdzie podzieli się jego bandyci.

– Co zrobimy? – spytałem.

– Chyba nie mamy innej możliwości, jak wyjść mu na spotkanie. – Doktor Basharti zsiadł z konia i zaczął prowadzić zwierzę, trzymając uzdę krótko przy pysku. – I tak już nas widział. Gdyby chciał naszej śmierci, miałby nas jak na dłoni.

W milczeniu weszliśmy pomiędzy stragany, odprowadzani spojrzeniami czarnoskórych mężczyzn, którzy śledzili nas raczej bez zainteresowania, za to posyłając w naszą stronę porozumiewawcze uśmiechy. Tak, byłem pewny, że wiedzą, po co tu jesteśmy.

Weszliśmy między mężczyzn. Nagle jeden z nich dotknął mojego ramienia swoimi czarnymi, masywnymi palcami. Wzdrygnąłem się.

– On wie. Nie bójcie się – mruknął po angielsku. Spojrzałem w jego pozbawioną cienia zrozumienia czy inteligencji twarz. Tak, jakby jego słowa sprzed zaledwie chwili tylko mi się przesłyszały.

– Rzymianin tu jest – oznajmił inny, a jego błyszczące, błękitne oczy odwróciły się od słońca, po czym przygasły, stając się na nowo ciemne niczym węgiel.

Nubijczycy pozdrawiali nas dalej jedynie skinieniami głów. Drżałem na samo wspomnienie słów wypowiedzianych przez pierwszego z czarnych mężczyzn.

Zbliżając się do ruin, odkryliśmy, że gdy szliśmy wzdłuż placu, zaszła tam znacząca zmiana. Zamiast Khariusza pojawili się dwaj uzbrojeni w sztucery Beduini. Za ich plecami dostrzegłem bladą lunę stworzoną przez tańczące płomienie i widoczną tylko dlatego, że do tego fragmentu miasta nie dotarło jeszcze budzące się słońce. Dopiero po chwili pojawił się między nimi trzeci mężczyzna, przyświecając sobie pochodnią.

– Co teraz? – spytałem, nie odwracając wzroku.

– Nie wiem – mruknął Basharti.

– Za mną! – Weszła między nas panna Dubois. Popatrzelśmy po sobie i z wahaniem dołączyliśmy do niej.

* * *

Uszliśmy w ciszy kilka jardów.

Dwaj mężczyźni odeszli na boki, dając znak, że chcą nas przepuścić. Mieli dziwne miny, a ich twarze nabiegły krwią. Drżeli spoceni, a ich oczy błyszczały obłędem, jakby dopiero co byli świadkami jakichś wyjątkowych bezceństw i jeszcze się po tym nie otrząsnęli. Za ich plecami opadały spękane stopnie szerokich schodów. Klatkę schodową podtrzymywał rząd kolumn. Panował tu półmrok, wywołany cieniem rzucanym przez starożytną ścianę. Mężczyzną między nimi był Khariusz, stojący z odsłoniętą piersią, błyszczącą tłuszczem tak bardzo, że aż odbijał się blask pochodni. Lewy sutek zniekształcała stara, pofałdowana szrama sporej grubości, a i na żebrach widać było bledsze miejsca. W myślach miałem słowa panny Dubois na temat tego, że Khariusz nie interesował się cielesnością. Sposób, w jaki pożerał nas wzrokiem, wydawał się temu przeczyć. Miał roznamiętniony wzrok i pociągający wyraz twarzy. Być może ujawniała się w ten sposób jakaś jego magnetyczna moc, ta sama, którą opętał Clare. Nagość Araba, a raczej aluzja, którą prowokowała, wywołała rumieńce na twarzy panny Dubois. Jego rozpuszczone włosy dosięgały pasa i wydawały się wilgotne, jakby pokrył je wonnym olejkiem. Mężczyzna stał przez chwilę bez ruchu. Z namysłem mierzył Ninę. Uśmiechnął się do niej, jego twarz była senna i rozluźniona.

– Nie spodziewałem się ciebie – rzekł w końcu.

– Jesteś rozczarowany? – prychnęła.

– Rozczarowałaś mnie już wcześniej. Teraz już jedynie mnie bawisz. No, popatrz tylko na siebie! – Zmrużył oczy, usiłując ją ogarnąć spojrzeniem. Zapłonęła rumieńcem, jakby naprawdę miała się czego wstydzić. – Jesteś z powrotem wśród nich. Czym ci imponują?

– Nie są tobą – odparła, a potem napluła mu pod stopy. Skierował wzrok w to miejsce, jakby mógł w ten sposób dostrzec ślinę i nagroził jej zachowanie aroganckim, pełnym pychy uśmiechem.

– Spóźniliście się – oznajmił, zdejmując na chwilę wzrok z Niny.

– Tak ci się tylko wydaje, Husley. – Wymierzyłem do niego z broni. Prychnął, taksując mnie z pogardą w oczach.

– Pan sobie kpi, panie Elthorn. Nic mi pan tym nie zrobi.

– Gdzie jest ciało mojej siostry?

Zmierzył mnie wzrokiem z pewnym zaskoczeniem.

– Wie pan, dlaczego wybrałem właśnie Clarissę?

Zacisnąłem palce na strzelbie. Czułem, jak odpływa z nich krew.

– Przypominała mi moją dawno nieżyjącą siostrę – oznajmił.

– Po co mi pan to mówi? – warknąłem, na co on jedynie wzruszył ramionami, obdarzając nas bezdusznym uśmiechem.

– To było piękne widowisko! – Przeniósł spojrzenie na Ninę.

– Co ma pan na myśli? – wtrącił się doktor Basharti.

– Abigdałę. Ona nakarmiła się krwią wszystkich moich ludzi, poza parą, którą widzieliście.

– Och... – westchnął Basharti, dotykając szyi, jakby na wspomnienie czegoś przykrego. Dostrzegłem poszarpaną ranę, którą masował opuszkami palców.

– Chodźcie – mruknął Khariusz. Arab przyjął o wiele bardziej oficjalny ton, gdy mierzył nas kolejno wzrokiem. Raz jeszcze spojrzał na swoją niedawną towarzyszkę z mieszaniną politowania i pogardy, kto wie, może graniczącej ze wstrętem. – Ona na was czeka. Chętnie was pozna. Tych spośród was, z którymi nie miała do tej pory przyjemności. Panie Baxter?

Dubois drgnęła, gdy Khariusz przeniósł spojrzenie na doktora. Arab odwrócił się bokiem, z nonszalancją wskazując wszystkim schody. Mimochodem dostrzegłem złoty wisior na jego szyi. Miał kształt oka i był ozdobiony płytkami onyksu.

– Nie jesteś ani Karimem Husleyem, ani ministrem Khariuszem, ani w ogóle Arabem, czy Anglikiem, prawda? – zapytałem się. – Kim ty naprawdę jesteś, Szalony Kalifie?

Odwzajemnił uśmiech, z uznaniem śledząc moje zachowanie.

– Wy, Anglicy, zawsze mnie bawiliście. Nie ufacie nikomu innemu poza sobą. Ale gdy już ktoś jest jednym z was, ufacie mu bezgranicznie i całkiem bez przyczyny.

Dłoń sama zacisnęła się w pięść. Spostrzegł to i posłał mi kolejny promienny uśmiech.

– No już. Nie bójcie się – zachęcił nas miękki, usługowym głosem, który przypominał mi pierwsze z nim spotkanie. – Pradawna nie powinna czekać.

Poświecił pochodnią w dół, sprawiając, że z zakamarków klatki schodowej wychynęły szczury, zbiegając z donośnym piskiem.

– Chyba nie strzelicie mi w plecy? – burknął z pogardą w głosie. Powoli ruszył, odwracając się od nas. Stałem na najwyższym stopniu i wymierzyłem do niego ze strzelby. Obie dłonie ogarnęło drzenie. Nagle poczułem, jak jakaś siła przesuwająca lufę do góry.

– Poczekaj. – Usłyszałem głos Niny i spojrzałem w bok, na jej bladą, mroczną twarz oraz dłonie z palcami zaciśniętymi na lufie. – Nie rób tego. Nie w taki sposób.

– Niby na co mam czekać? – mruknąłem, szarpiąc za kolbę. Głośno zakląłem. Khariusz rozpląnął się w ciemności. Tylko czerwone cienie, namalowane przez jego pochodnię, świadczyły o obecności mojego wroga.

– Ty źmijo! Znowu mnie zdradziłaś!

Panna Dubois posłała w moim kierunku gniewne spojrzenie ciemnych oczu. Nie dbałem o to. Runąłem w dół śladem mojego przeciwnika, wsłuchując się w odgłos kroków towarzyszy. Wiedziałem, że drugiej takiej szansy nie zmarnuję. Lecz jednocześnie czułem otuchę, wiedząc, że Basharti idzie za mną.

Za schodami oczekiwałem długiego, ciemnego korytarza i Khariusza po drugiej stronie pomieszczenia. Początkowo się rozczarowałem. Trafiłem w płytki przedsionek w kształcie kwadratu, pełen zwisających fragmentów naruszonych pajęczyn i kurzu, w którym odcisnęły się ślady dziesiątków stóp. Nozdrza zaatakował metaliczny odór, kojarzący się z potem i krwią.

Dopiero po chwili go dostrzegłem. Stali tam, czekając na nas: Khariusz i jeszcze jeden, ukryty w ciemności niewielkiej absydy człowiek, którego twarz pozostawała niewidoczna, a oczy migotały, odbijając blask pochodni niczym błyszczące ślepie drapieżnika. W mroku dostrzegłem jeszcze coś, co mogło być zarysem ciał, leżących w kącie pomieszczenia, wprost na posadzce. Wielu ciał, których nagie kończyny splatały się ze sobą. Mężczyźni, bowiem bez wątpienia były to zwłoki mężczyzn, okryci jedynie przepaskami biodrowymi. Czyżby to byli Beduini Khariusza? Musiało ich leżeć przynajmniej pięciu, sześciu, a może znacznie więcej. Mrok nie pozwalał oszacować liczby i szczerze mówiąc, dziękowałem za to Bogu. Ciała trwały nieruchomo i całkowicie bez życia.

Basharti nie krył wstrętu. Kredowobiała skóra ofiar lśniła delikatną, bladą poświatą, a ramiona i plecy pokrywały pręgi świeżych ran.

– Zabiła wszystkich! – Zasłonił usta dłonią, aby powstrzymać mdłości, a może zwykły szloch.

– Kim są ci ludzie? – Z ciemności rozległ się melodyjny bas. Głos był pełen dezaprobaty i lekceważenia. – Czyż nie przestrzegałem cię?

– Mówiłeś, panie. – Khariusz skłonił głowę, splatając ramiona na piersi. Zwracał się do tajemniczego człowieka. – Jednak ci śmiertelnicy są wyjątkowi.

– Nie przerywaj mi. – Rozległ się ostrzegawczy ton. – Dość już mam twej buty.

Khariusz nabrał powietrza w płuca.

– Ja? Nieposłuszny? Niech Allah mi dopomoże, jeśli tak jest. Służyłem tobie, panie, wezwałem ciebie tutaj, ponieważ...

– Ponieważ jestem twoim suwerenem i błędem byłoby poniechać mnie. – Rozległ się pogardliwy szept. Głos ten brzmiał już mniej dźwięcznie, niczym szkło rozdeptywane pod ciężkim obcasem. – Usłuchaj mnie, Khariuszu i zaniechaj dalszych wysiłków. Ośmieszasz jedynie samego siebie.

– Znam tego niewiernego... – Rozległ się inny, mrużący, kobiecy głos, a ja dostrzegłem niewiastę o muskularnej sylwetce. Jej oblicze skrywał mrok, a ciało musiało być nagie, na co wskazywał cień za jej plecami. Przeoczyłem postać, gdy lustrowałem przestrzeń pomieszczenia. Miałem wrażenie, że kobieta mierzy Bashartiego zachłannym wzrokiem. Wprawilo to go w pewne zakłopotanie, a po chwili obawę. Widać było, że parapsycholog boi się nieznanego niczym wspomnienia najgorszego koszmaru i czuje strach przed osobliwą postacią.

– Taaaak – westchnęła, wyprężając w ciemności nagie ciało. Miała głęboko modulowany i jakby senny głos, a oczy płonęły, odbijając blask pochodni. Były obce i wydawały się żarzyć, przepełnione żądzą. Pęknięte naczynka przemieniły białka w wypełnione czerwienią perły. Głos nadal rozbrzmiewał niczym cicha, nawiedzona muzyka z odległych czasów i dalekich miejsc, gdzie nie było nigdy człowieka. – To on nakarmił mnie pierwszy raz po tylu latach. Musiałam się bardzo pilnować, aby nie wyssać go do cna.

Przez chwilę cień balansował na granicy widzenia, potem rozplynał się, a mnie przeszły ciarki.

– Czy po to są tutaj? – zapytał swoim niskim głosem nieznajomy mężczyzna, z tonem wyraźnej dezaprobaty. – Aby nas nakarmić? Khariuszu, przecież wiesz, że nie potrzebujemy więcej krwi niż już wylana.

Khariusz wpatrywał się w ciemność, nie znajdując słów.

Oprócz tej trójki i leżących w kącie ciał dostrzegłem tutaj dwa kamienne ołtarze pokryte zatartymi inskrypcjami, a także rząd kolumn biegnący z boku. Sądząc ze szmerów dobiegających stamtąd, mieściły się tam gniazda szcurów, których obrzydliwe cielska poruszały się w ciemności na podobieństwo włochatych larw o świecących oczach. Gdzieś rozległo się natężone, choć stosunkowo ciche sapanie. Na jednym z postumentów, znajdujących w centralnej części kwadratowej sali, spoczywało kłębowisko dymiących bandaży, od których unosiła się ostra woń, kojarząca się z saletrą, ziemią, jak i kadzidłami. Drugi ołtarz pokrywała krew i wznoszący się ku górze dym, lecz poza tym jego spękana powierzchnia była pusta.

Z jakiegoś bliżej nieokreślonego miejsca rozległ się cichy, ale natarczywy syk. W mroku raz jeszcze zaiskrzyły oczy, a po chwili, spokojnie krocząc w moją stronę, wyszła mi na spotkanie ta sama co wcześniej, wysoka i smukła postać, niemal tak blada, że wydawała się jaśnieć wewnętrznym światłem. Tym razem miała już na sobie tunikę, rozciętą bezwstydnie w taki sposób, że dostrzegałem fragment kształtnego, kobiecego biodra i umięśnionego brzucha, których nie okrywała żadna bielizna. To była ta sama zjawia, którą

widziałem wcześniej, jedynie myliłem się co do ubrania. Ciemność, rozpędzana grą płomieni, a także osobliwy strój, wywołały wrażenie nagości.

Zaparło mi dech w piersiach, gdy pojąłem, że z twarzy, której zarys rozlewał się w mroku, patrzą na mnie znajome oczy Clarissy. Były zimne, jakby wyprane z uczuć, pozbawione emocji czy choćby namiastki duszy. Błękitne i przejrzyste niczym lustro, w którym można się przejrzeć, lecz w którym nie dostrzeżesz niczego poza własnym odbiciem, mierzyły ściany i niski strop, chłonąc świat z wyrazem głodu i nieludzkiego pragnienia. Gdy padał na nie blask pochodni, zapalały się groźnie, lecz po chwili blakły. Karnacja pokrytej błękitnymi żyłkami skóry także się zmieniła, wydawała się znacznie bledsza, jakby wypito z niej całą krew, a nawet posmarowano wapnem lub pruskim pudrem. Fragmenty ciała i oblicza pokrywały hieroglify. Wysokie, mocno sklepione kości policzkowe, ocienione jasnymi włosami i zaciśnięte okrutnie usta także nie przypominały mojej małej siostry. A jednak. W jakiś przerażający i przewrotny sposób to nadal była ona.

– Clara? – spytałem, ostrożnie dając krok w jej stronę. Uśmiechnęła się swoimi okrwawionymi ustami, lecz nie w sposób, który dałby mi choć cień nadziei. Było coś groteskowego w jej zachowaniu, gdy podeszła do Khariusza i zagarnęła go władczy gestem. Rozległ się łoskot wypuszczonej pochodni, gdy płomień zderzył się z ziemią.

Zachowanie Clary przeraziło mnie. Wzięła potężnego Araba w swoje kruche ramiona, jakby posiadała jakąś nadludzką siłę. Mężczyzna poddał się miękkości jej białych ust z dwoma jadowymi kłami, po których zaczęła cieknąć krew. Kobieta wpiła się w wargi ofiary, zamykając oczy i przycisnęła jego głowę do siebie, jakby zamierzała ją zmiażdżyć w dłoniach. Nacierała coraz bardziej, krew wolno kapiała na okrywający jej ciało materiał. Wreszcie mężczyzna zaczął z nią walczyć i po chwili szamotaniny wyrwał się, tracąc równowagę.

Kołysząc się na boki, Khariusz runął do stóp Abigdali/Clarissy, prosto na popękane stopnie schodów. Rozszerzonymi obłędem, czerwonymi oczami zmierzył kobietę i swoje otoczenie. Clarissa spokojnie wytarła okrwawione usta, nie przestając posyłać w kierunku Khariusza lubieżnego uśmiechu.

– Nie... – On także wytarł usta, lecz z uczuciem obrzydzenia i wstrętu. Miał poszarpane wargi, z których kapiała krew. Zmierzył nas poniżonym i nierozumiejącym wzrokiem. – To nie tak miało być... Dlaczego tak się dzieje?

– Nie tak miało być? – zapytała drewnianym głosem Clara. Poruszała ustami w sposób sztuczny i mechaniczny tak, jakby każda głoska sprawiała jej fizyczny ból, a język w jej krwawiących ustach był obcy i nieznan. Przeszkadzały jej także dwa jadowe kły, które napierały na wargi. – A czego się spodziewałeś, Kalifie?

– Miałaś... miałaś mi ulec...

– Ulec? – spytała, wpatrując się intensywnie w mężczyznę klęczącego u jej stóp. Zdziwienie wykrzywiło jej twarz, czyniąc na moment obrzydliwie szpetną.

Odgięła szyję w tył i napełniła salę wymuszonym śmiechem.

– Ja nie ulegam – mruknęła, poważniejąc w jednej chwili. – To mnie się ulega. Królowie klęczą u moich stóp, dając przykład swoim poddanym. Poją mnie krwią, błagając o łaski, których im udzielam. Lub których odmawiam. Wy przywróciliście mnie światu. Światu, który odebrał mi wszystko. Mam wam dziękować? Za co?

– Mylisz się co do mnie – wychrypiał Khariusz. – Inni uczynili ci wiele zła. Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego...

– Zamilcz! – Wargi Clarissy wykrzywiły się w grymasie, przez który przestała przypominać moją siostrę. Obnażone kły jadowe zabarwione były czernią. Krew kapiała z ust wprost na jej falującą pierś, jak i na podłogę.

Po tych słowach ruszyła sennym krokiem, mijając klęczącego mężczyznę. Odniosłem wrażenie, że perlący się na jej skórze pot to w rzeczywistości łuski, zbyt drobne, aby je odróżnić. Drobne łuski węża. Khariusz wyciągnął dłoń w jej kierunku, lecz natychmiast strząsnęła z siebie skurczone palce. Zauważyłem kątem oka, że mężczyzna stojący w cieniu drgnął i ruszył jej śladem, lecz pozostał na razie niewidoczny. Podeszła do klatki schodowej. Minęła mnie, jakby w ogóle nie dostrzegając mojej obecności. Jej biodra poruszały się łagodnie, gdy rozkołysanym krokiem pokonywała schody.

– Poczekaj, Pradawna! – Nina weszła w drogę wspinającej się postaci. Abigdala zmierzyła ją wzgardliwym spojrzeniem. Obie kobiety stały na stopniach, spoglądając na siebie w milczeniu, z tak zupełnie różnymi wyrazami twarzy.

– A ty? Kimże jesteś? – spytała bez cienia zainteresowania Pradawna, spuszczać powieki w taki sposób, że oczy stały się zaledwie szparkami, z pionowymi źrenicami. To były oczy węża. Bezlitosne. Złe.

– Ja... – Panna Dubois zapomniała chyba, jak się nazywa. Wreszcie padła do stóp nieznajomej, która zamieszkiwała ciało mojej siostry i przyłgnęła do jej lewego kolana, odsłoniętego przez materiał, w pozycji wyrażającej uległość i posłuszeństwo. – Jestem Kora, o szlachetna pani. Kora Khalud... Jestem twoją służebnicą. Chcę... Uczyń, co zechcesz...

– Czego ja chcę? To nie z tym pytaniem do mnie przyszałaś, prawda? Sama czegoś pragniesz. Ale czego ty możesz ode mnie chcieć, dziewczyno? – zapytała Abigdala władcym tonem, dotykając palcami pukli ciemnych loków. – Czy twój mistrz nie usiłował wybłagać ode mnie stosownych łask?

Zanim Nina zdołała zrozumieć, co się dzieje, palce Abigdali wczepiły się boleśnie w jej włosy i szarpnięciem skierowały twarz dziewczyny do góry.

– Mów, czego chcesz! – warknęła nieludzkim głosem Pradawna.

– Pragnę, abysь podzieliła się ze mną swoją wiedzą i mocą, pani. Chcę być twoją akolitką – wyszeptała złamanym głosem Nina. Z wahaniem skrzyżowała drżące dłonie na piersiach. Jej sylwetka wyrażała krańcową uległość, jednak nie zadowoliło to Abigdali. Czytając z ruchu warg i wyrazu twarzy, Pradawna poczuła się wręcz dotknięta tą impertynencją. Obcy duch zamieszkujący ciało Clarissy zmieniał je od środka. W twarzy mojej małej siostry nie pozostało nic, co było znajome i drogie.

– Akolitką, tak? I będziesz mi posłuszna?

Nina kiwnęła głową.

– Tak, jak Khariuszowi?

Rozległo się parsknięcie tajemniczego, nieznanego mi mężczyzny.

– Chcesz ją ukarać? – spytał Nestor.

– Nie wiem. Możliwe, że tak właśnie uczynię. – Nina była zaskoczona wyznaniem wygłoszonym głosem Clary. Przy boku Abigdali stanął w końcu wysoki, szczupły mężczyzna, mogący mieć zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Był to ten sam, który wcześniej się odezwał. Miał na sobie pokryty kurzem, czarny płaszcz z kapturem i odsłoniętą głowę o szpakowatych włosach z dość wysokimi zakolami. Ogorzałe od wiatru i słońca kanciaste oblicze było piękne i męskie, choć nie pozbawione zmarszczek, szczególnie na czole i w okolicy ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Była to twarz z helleńskich popiersi, szlachetna i dostojna, jakby wykuta z marmuru, wygładzonego przez stulecia, lecz wiecznie pięknego. Mogło to być oblicze jednego z cesarzy rzymskich albo nawet samego Romulusa. Czarne oczy zmierzyły obie kobiety, błyszcząc niczym drogocenne kamienie, lecz nie okazując uczuć. Jedną z krzaczastych brwi przecinała blada szrama, dotykając powieki i delikatnie fałdując jej powierzchnię. Blizna nie naruszyła oka ani nie oszpeciła łuku brwiowego, pozostawiając jego naturalny kształt.

– Jaka ty jesteś piękna... – Abigdala dotknęła policzka Niny wierzchem dłoni. Panna Dubois przyglęła się do gładzącej ją czule ręki. – Piękna jest, prawda, Nestorze? – Odwróciła się do towarzysza. Nie czekała na jego reakcję, zresztą dość mierną i obojętną. – Przypomina mi tego chłopca, którego kiedyś miałam. Jak mu było na imię? Yago? Nieważne.

Zaprzeczyła Abigdala

– Mogłabym cię pokochać, wiesz? A przynajmniej mocno pożądać.

Przekrzywiła wdzięcznie głowę, nie odrywając oczu, którymi pożerała Ninę.

– Naprawdę? – Dostrzegłem nadzieję w głosie i spojrzeniu Niny, choć głos Clary pełen był cały czas owej znanej mi już, osobliwej wyższości, a nawet pogardy.

– Wymagam absolutnej wierności i oddania – napomniała ją Pradawna. – Czy możesz być wierna? Nie, nie odpowiadaj, to nie było pytanie.

– Mogę. To znaczy... Będę. Pragnęłam jedynie twojej wolności, o Pradawna.

Nina skłoniła głowę, nie mogła zatem dostrzec osobliwego błysku w oku Clarissy.

– Wiem, co razem z tym okropnym Khariuszem uczyniliście, aby mnie tu ściągnąć z czeluści Prawdziwej Śmierci. Okażę wam za to wspaniałomyślność i łaskę. Nestorze?

Nie wiem kiedy, wysoki mężczyzna znalazł się za plecami panny Dubois. Chwycił oba jej nadgarstki i wznosił ręce dziewczyny nad głowę. Kora zeszywniała, może nie wiedziała, jak się zachować ani co ją właściwie czeka. Patrzyła gdzieś w ciemność z błaganiem w oczach. Przez moment mignęła znowu twarz Nestora. Drgnąłem, widząc zmianę, jaka zaszła na tym obliczu. W ciągu jednej chwili stało się obwisłe i blade jak pergamin, a ponadto pokryte liszajami podłużnych blizn i zmarszczek. Niektóre ślady przywodziły na myśl łuski. Błysnęły szkliste oczy, głęboko osadzone w podłużnej twarzy i okolone sinymi obwódkami, a w ustach, między pomarszczonymi wargami, zamigotał język, oślizgły niczym nabrzmiała szara pijawka. Trwało to może dwa oddechy, a potem twarz z powrotem wygładziła się, skóra odzyskała nieco barwy, a liszaje i plamy zniknęły, ukazując rysy helleńskiego półboga. Jedynie niezdrowy blask zimnych oczu pozostał, przypominając oczy śniętej ryby zdychającej na brzegu wody. Z ust mężczyzny wydobył się odgłos czknięcia, które przeszło w ciche westchnienie. Zbliżył drżące wargi do karku swojej zdobyczy. Usłyszałem niepokojący dźwięk, rozchodzący się po pomieszczeniu. Język powoli przesunął się po skórze na szyi Niny. Twarz dziewczyny skrzywiła się, nie wiadomo z obrzydzenia, czy strachu. Błysnęły kły, poźółkłe przy dziąsłach i szare na końcu.

– Nestorze, gdzie twoje maniery. – mruknęła Abigdala tonem napomnienia. Stwór łypnął złowrogo, lecz odsunął usta. Na jego wargach lśniła delikatnie krew. Więc napił się z niej, zrozumiałem. Nie puścił jednak ofiary, jak sądziłem, że uczyni.

– Moja droga, jak zawsze masz rację! – Rozległ się drwiący głos Rzymianina. – Chciałem jedynie posmakować.

– I jak?

Usłyszałem odgłos nieprzyjemnego mlaskania.

– Rzadsza niż miałem nadzieję.

Abigdala posłała w kierunku Niny oschły uśmiech. Niepokój z każdą chwilą rósł w oczach ofiary. Pradawna naparła na dziewczynę, wyciskając na ustach Niny/Kory krwawy pocałunek. Panna Dubois usiłowała się uwolnić, lecz Nestor trzymał jej ramiona jak w imadle. Trwało to długie minuty i wszystko zastygło nagle w bezruchu, razem ze mną. Byłem jak urzeczony. Zahipnotyzowany.

– Walczy – przyznał w nagłym przypiływie zachwyty Nestor. – Teraz zaczyna mi się w końcu podobać.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, rozległo się coś jakby cmoknięcie, a Nina zachłysnęła się krwią i runęła na kolana.

W tym samym momencie włosy stanęły mi dęba, a przez dłoń, która kiedyś należała do mojej siostry, przebiegł spazm. Twarz Niny/Kory zaczęła się kurczyć, zmieniać, blednąć i wydłużać. Zmarszczki pogłębiły się, skóra dostrzegalnie obwisła, tworząc rozległe placki pokryte bladymi łuskami, oczy wpadły głęboko w oczodoły, obdarzając otoczenie pełnym niezrozumienia spojrzeniem. Lecz nie to było najgorsze. Włosy posiwiały w błyskawicznym tempie, a potem spadały od skóry, która zaczęła nabrzmiwać, pokrywać się pęknięciami i bąblami. Nina runęła do stóp Abigdali, a jej gruzłowate palce dotknęły kostek kobiety w pełnym uległości geście. Zacisnęły się z czułością, zupełnie nie pasującą do tego, co się z nią działo.

– Co ty... – wychrypiąła Nina, a następnie pokręciła głową, opuszczoną tak nisko, jak się dało. Zawyla charczącym głosem. – Neeeeeeeeeeee!

Między stopami Abigdali wyłoniła się blada i długa niczym wąż, pokryta drobnymi łuskami macka. Oślizgła i błyszcząca bladym śluzem podrygiwała, sunąc po podłodze. Po chwili zniknęła, a następnie pojawiła się blisko policzka kobiety. Jej ruchy kojarzyły mi się z pustynnymi robakami. W ciemności rozległ się ohydny odgłos kapania, gdy po powierzchni macki spłynął ciągnący się, galaretowaty i zabarwiony czerwienią śluz. Harpia wpatrzyła się przez moment we mnie oczami mojej siostry, a kiedy już nacieszyła zmysły widokiem mojej udręki, na nowo wbiła wzrok w swoją ofiarę. Kleista maź ciekła z pokrytego szlamem, obłego kształtu macki, która, pojąłem, zniknęła za plecami Abigdali niczym długi, przypominający robaka ogon.

– Błagaaaaam... – jęczała Nina.

– Nie rozumiem, moja droga, przecież tego właśnie chciałaś. Dzielę się wszystkim. Doświadczeniami i mocą. Niezmierzonymi otchłaniami zewnętrznej mocy! – odparła pustym głosem Clary nieznana mi, straszliwa kobieta. Z jej ust wydobył się groźny chichot, który przeszedł w znajomy odgłos syczenia. Sądząc z grymasu kobiety, macka musiała być połączona w jakiś sposób z jej ciałem. Kiedy poruszała się, przez twarz Abigdali przebiegał skurcz, zbyt osobliwy, aby nie miało to związku.

– Obiecałaś mi dar!!! – Wierzgnęła Nina.

– Nigdy jednak nie powiedziałam, że jest to dla ciebie dar, który przyjmiesz ot tak, po prostu, z radością. O, co to, to nie. Twoje ciało się zmieni, moja droga. Być może nawet w jakiś sposób znowu umrzesz, żeby odrodzić się jako prawdziwy wąż. To cena i zapłata za to, że nie pytaliście o zdanie, ty i ten głupiec, zabierając mnie w tę podróż. Nienawidzę być przymuszana. A to jest cena przymusu. Czy rozumiesz już, moja droga?

Nina pokręciła nerwowo głową. Była w szoku.

– Ujmę to zatem prościej. To ostrzeżenie dla innych i zapłata dla ciebie. Wkrótce ja i Nestor przyjdziemy po nich. To będzie znak naszego nadejścia. Wraz z nami powrócą starzy bogowie Egiptu, których imiona znają gholowie z krain zza Leng i czarownicy prastarego Kairu.

– Ale obiecałaś! Pani! Będę ci wierna! Błagam, litości!

– Nie byłaś wierna swemu poprzedniemu panu, dlaczego miałabyś być wierna nowemu? – spytała z tą samą nutą wyższości Abigdala. – Nie wierzę ci, dziewczyno.

Nina obrzuciła mnie pełnym cierpienia spojrzeniem, a ja dostrzegłem, że jej śliczna twarz uległa całkowitej deformacji. Naciągnięta na kość skóra była cienka jak pergamin.

– Pomóż mi... – wyszeptały bezdźwięcznie jej usta.

– On ci nie pomoże, głupia dziewczyno – rzekł melodyjny bas, należący do mężczyzny. To nie był głos człowieka, co do tego nie miałem wątpliwości. – Sam jest przerażony. I nie dziwię mu się. Lecz będzie jeszcze bardziej przerażony, nim proces twojej przemiany się zakończy.

Wyciągnął rękę w pełnym nonszalanckiej galanterii geście. Abigdala przyjęła zaproszenie i oboje ruszyli do wyjścia, mierząc nas spojrzeniem w taki sposób, jakbyśmy byli powietrzem. Tuż za parą upiorów słychać było szmer głosu Niny, rozciągniętej na schodach w swoich przypominających teraz pogrzebowy całun szatach. Jej skóra zwisała na twarzy, pełną wątrobowych plam łusą głowę pokrywały tętniące upiornym życiem błękitne żyły, a gładkie do niedawna ramiona stały się cienkie i patykowate, całkowicie pozbawione ciała. Był także przyciśnięty do ściany Khariusz, który mruczał coś do siebie pełnym zrezygnowania głosem.

– Poczekaj jeszcze, Nestorze! – Abigdala odwróciła się w naszym kierunku.

– Chodź tu, śmiertelniku, odmienię cię! – Zbliżyła się i stanęła przede mną. Uśmiechnęła się w pewien osobliwy, pełen rezerwy i odpychający w moim mniemaniu sposób. Macka zniknęła, rozplynęła się w ciemności... Przed sobą miałem ponownie kobietę do złudzenia przypominającą Clarissę. – Będziemy się kochać tak, jak zawsze chciałeś się kochać z Clarą. No, dalej. Nie patrz tak na mnie, nie musisz się dziwić, że wiem. Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Pragniesz mojego ciała. A ono pragnie ciebie.

Pokręciłem głową, choć bez przekonania. Wiedziałem, że to dostrzegła. Usta kobiety odsłoniły długi, rozwidlony język, przesuwający się między parą ostrych, jadowych kłów.

– Krew ludzi jest słodka i taka delikatna w smaku, wiesz? Podobnie jak ich mięso – mruknęła zachęcająco niskim głosem. – Jest jak balsam. Pozwól mi. Uczynię cię bogiem. Masz taką białą skórę... Prawie jak... jak dziewczyna. Prawie jak twoja siostra. Taką miękką... No, chodź...

– Ja... nie... – zaprotestowałem.

– Nie udawaj. – Uśmiechnęła się promiennie, w taki sposób, jak tylko Clarissa potrafiła. Jestem przekonany, że ten stwór, Abigdala, że uczyniła to specjalnie. – Potrafię czytać z twoich myśli jak z otwartej księgi. To, co zrobiłaś swojej siostrze, było złe. Ale to dopiero początek. Nauczę cię, czym jest prawdziwe zło. Wejdziemy głębiej, niż mogłeś dotąd zamarzyć. No, chodź.

Odwróciłem na moment spojrzenie. Natrafiłem na wzrok nieznanego. Mężczyzna mierzył nas zdegustowany, lecz delikatnie zaciekawiony.

Spojrzałem z powrotem na twarz siostry. Na obliczu Clary, w jej oczach, dostrzegłem już jedynie palącą żądzę. Wyciągnęła rękę, dotykając mojego policzka. Jej palce były zimne jak kostki lodu, choć jednocześnie czułem, że moje ciało wprost lgnie do jej ciała. Tuż za nią stał mężczyzna, wyczekując na moją odpowiedź. Miałem wrażenie, że oboje zamarli w bezruchu i wszystko zależy od tego, co powiem. To było niezwykle, intensywne uczucie. Pragnęli mnie oboje, a ja pragnąłem tego samego i w takim samym stopniu, jeśli nie bardziej. Moją głowę zaroilił miraż pełen perwersji, z której istnienia nie zdawałem sobie dotąd sprawy. Nasze ciała połączone krwią, leżące, splecione ze sobą w obrzydliwy sposób, na zimnej, wilgotnej posadzce. Dostrzegłem stwory o głowach węży, krokodyli, szakali i hipopotamów, przytwierdzone do masywnych, pokrytych błyszczącym olejkim ludzkich ciał. Wszystkie te stworzenia oddawały pokłon czemuś, co ukrywało się w cieniu rozplywającym się wśród oparów dymu a może kadzidła. Wewnątrz tego dymu poruszało się jeszcze jedno ciało – błuźniercze, żółtawe i obłe, pozbawione szyi. Należało do istoty, której nie powinno być. Stwór miał pięć kudłatych głów, otoczonych przez wiecznie drgające i ruchliwe macki podobne do rojów olbrzymich białych węży. Monstrum poruszało się w osobliwy sposób. Nie dało się oderwać wzroku od tej wizji, gdy istota wiała się w oparach dymu...

Rozbłysk wypełnił moje oczy i ohydłą scenę zastąpiła druga. Błyszczące w ciemnościach i zbroczone żądzą ciała. Dostrzegłem z wyrazistością wszystko, co wydarzyło się między mną a moją siostrą, to, co zepchnąłem na dno podświadomości, aby nie dręczyło mnie za dnia, powróciło do mnie. Abigdala miała rację. Byłem nikczemnikiem pragnącym zakazanej miłości.

Jak przez mgłę zobaczyłem stojącą przed sobą roześmianą Clarissę. Ta twarz ze wspomnień...

– N... Nie – wystękałem, przeklinając się w myślach za własną słabość. Powinienem był to wykrzyzczyć. Wydrapać oczy tej potwornej kreaturze. Nienawidziłem siebie, lecz ciało cały czas ulegało.

Abigdala roześmiała się obłąkanym śmiechem, na który z całą pewnością nigdy nie było stać mojej siostry, a potem przewróciła oczami.

– Wiem, że mnie pragniesz, śmiertelny głupcze – wyszeptwała zmienionym głosem. Głębokim i ostrym. – Lecz usiłujesz z tym walczyć. Próżny twój trud i dobrze o tym wiesz. Jeśli jednak chcesz, mogę poczekać, aż przyjdiesz do

mnie na kolanach, by błagać, abym cię wzięła. Lecz nie spodziewaj się, że będzie wtedy łatwo. Spotka cię kara, bo ja jestem pamiętliwa.

Nestor skłonił głowę niczym pokorny muzułmanin. Było w tym ponurym ruchu coś subtelnie prześmiewczego, coś, co w ogóle nie pasowało do tajemniczego mężczyzny.

– Moi Nubijczycy nie uczynią wam krzywdy – rozległ się jego ponury, melodyjny bas, a błyszczące własnym światłem, trująco zielone oczy mężczyzny wpiły się w nas spojrzeniem, które nie znosiło najmniejszej formy sprzeciwu. – Możecie odejść, by wieść dalej swoje życie. A najlepiej zapomnijcie, czego byliście świadkami.

Jego głos pobrzmiwał echem w moich uszach. Zamknąłem oczy, czując wielkie wycieńczenie. Dopiero po chwili zrozumiałem, że poddaję się jakiejś osobliwej, hipnotycznej sugestii. Nawet jeśli nie mieliśmy zamiaru ich wypuszczać, wszystko zbyt przypominało sen, aby się temu oprzeć.

Poczułem, jak kobieta zdejmuje ze mnie swój urok przynajmniej na tyle, że drgnąłem. Czułem napiętość ożywiającą lędźwie i wiedziałem, że gdyby raz jeszcze mnie przywołała, musiałbym ulec. W jej oczach natomiast dostrzegłem, że i ona to wie, tylko bawi się mną i wpływem, który wywiera.

– A on? – Szpakowaty mężczyzna wskazał otwartą dłonią Bashartiego. – Zabierzemy go?

– Cóż, spełnił już swoją rolę – oznajmiła znudzonym głosem. Po tych słowach ruszyła pełnym gracji krokiem. Jej biodra kołysały się w obie strony niczym kokoty w taniej burlesce. Sunąc jak duch w stronę wyjścia, objaśniała Nestorowi swoją decyzję. Głos rozbrzmiewał w ciemności coraz ciszej: – Nie wydaje mi się ciekawy. Niech Khariusz go sobie weźmie i robi z nim podług własnej woli.

Po chwili namysłu Rzymianin dołączył do kobiety i oboje zniknęli na schodach. Nagle usłyszeliśmy mrozący krew w żyłach wrzask Beduinów.

Baszarti stanął nad Khariuszem ze strzelbą, a ja podniosłem upuszczoną pochodnię. Nasze spojrzenia, moje i doktora, spotkały się, a on kiwnął głową na znak, że wie, co chcę zrobić.

Może gdybym nie wznosił pochodni... Odwróciłem w ten sposób uwagę doktora na dosłownie kilka sekund. Ręka Khariusza wystrzeliła do góry, a za nią podążyło ciało, wbrew wszelkim prawom fizyki wznosząc się w jednej oślepiającej chwili. Basharti chrząknął, a potem wypuścił powietrze z głośnym jękiem. Arab zawisł nad nim, a jego twarz wykrzywił grymas nie przypominający ludzkiego. Skóra na policzkach i skroniach pociemniała i uległa sfaldowaniu, nozdrza napięły się, ukazując chrząstkę. Rozszczepione wargi odsłoniły dwa ostre, niesamowicie blisko względem siebie umieszczone kły. Zatopił je w ciele doktora, podążając do szyi, a następnie wspinając wyżej, w kierunku twarzy ofiary. Odwróciłem oczy i natychmiast wychwyciłem kwilącą w półmroku Ninę. Jej szponiaste palce dotykały pozbawionej włosów

olbrzymiej głowy, do której przywierały ohydne, obwisłe uszy. Tak, jakby usiłowały zagarnąć czaszkę, ukryć ją gdzieś w bezpiecznym miejscu.

– I co teraz, doktorze Basharti? – wychrypiał, plując krwią stwór, który był Khariuszem. Wycelowane w jego kierunku, na co wyciągnął rękę, a gdy skurczył palce wolnej dłoni, poczułem, pomimo dzielącego nas dystansu, jakby zaciskał je na moim nadgarstku i wypuściłem broń. Parsknął nie mniej ochryple, co przed chwilą, nie przestając dusić ofiary.

– Myśleliście, że mnie pokonaliście? – Podtrzymał Bashartiego, słusznie domyślając się, że tamten za chwilę osłabnie, zawiśnie mu w ramionach. Przytulił się do mężczyzny niczym kochanek. Dostrzegłem obłęd w oczach doktora, szaleństwo pomieszane ze wstrętem, ale i żądzą. Khariusz wpił się raz jeszcze w jego usta, a przez wargi obu zaczęła powoli sączyć się krew. Lecz dla Khariusza to było za mało. Szarpnął głową, a ja dostrzegłem, jak pozostaje w jego zębach ochłap błyszczącego mięsa. Basharti padł na kolana, chwytając się za broczącą krwią, zniekształconą ugryzieniem wargę. Jego wrzask był rozdzierający. Khariusz tymczasem się śmiał. Nieskrępowanym, mrocznym głosem, dobiegającym z wnętrza wykrzywionego nienaturalnie otworu gębowego.

– Mielibyście mnie pokonać!? Mnie, który gromiłem chrześcijan i zaklinałem węże? – Czknął, żując w ustach fragment odgryzionego ciała. W końcu wypluł to obok klęczącego mężczyzny. Z niewiele mniejszym przerażeniem i wstrętem, co wcześniejszą przemianę, przyjąłem do siebie, że twarz Araba znowu przypomina ludzką. Choć zbroszoną krwią, to zarazem pozbawioną jakiegokolwiek śladu ran czy pęknięć skóry.

– Jesteście żałośni – wychrypiał, przewracając oczami, w których wnętrzu dostrzec można było ukośne źrenice.

Zmierzył Ninę, która jeszcze bardziej podkułiła kolana i zakryła twarz ohydną, zdeformowaną dłonią.

– Nie patrz na mnie – wyszeptwała błagalnie, wytrzeszczając pokryte bielmem oczy. – Nie patrz...

– Wszyscy jesteście żałośni – oznajmił, po czym ruszył wprost na mnie, kierując się, jak sądziłem, do wyjścia.

– Nie odejdziesz! – wrzasnąłem, zastępując mu drogę. Gdy wpatrzyłem się w jego zmrużone, węzowe ślepie, straciłem całą odwagę. Poczułem, jak serce we mnie zamiera i zatoczyłem się do tyłu, tracąc nie tylko grunt pod nogami, ale i całe powietrze. Zrobiło mi się gorąco, choć na skroniach czułem zimny pot.

– Basharti – zawołał, na co doktor posłusznie zaczął sunąć na czworakach w jego stronę. Arab powstrzymał swojego niewolnika nonszalanckim gestem.

– Nigdzie nie idziesz, robaku – oznajmił. – W każdym razie, nie ze mną. Masz dopilnować, aby twoi nowi przyjaciele nie śledzili mnie. Słyszysz? Odejdziesz, gdy ja będę bezpieczny.

Przez chwilę dostrzegałem w oczach Bashartiego niezrozumienie. Potem jednak kiwnął głową i odwrócił się do nas, ignorując krew lejącą się obficie na szyję i pierś z jego pokiereszowanej twarzy. Miał odsłonięte siekacze, błyszczące czernią wargi pokrywały bąble krwi. Jego oczy wyrażały głębokie cierpienie i gorycz porażki.

– Słyszysz, panie – wyseplenił, a ja zrozumiałem, czym był ochłap, który Khariusz wypłuł na posadzkę. Arab mozolnie wspiał się, a Basharti stanął za nim, na stopniach schodów, po czym odwrócił w naszym kierunku. W oczach miał łzy, kolana odmawiały mu posłuszeństwa, lecz ciało doktora nie należało już do niego.

– Poczekaj, Kalifie! – Rozległ się słaby pomruk. Khariusz drgnął i obrócił twarz w naszą stronę.

Nie spodziewał się ataku. Coś runęło i powaliło mężczyznę na schody. Nad Khariuszem mignęły płonące ślepia tkwiące w głowie przypominającej do złudzenia złuszczonego, pokryty sinymi żyłkami balon. Kły tego czegoś zagłębiły się w szyję, usłyszeliśmy chrzęst gruchotanej kości. Krew siknęła wysoko i na boki. Po chwili trzask rozerwanej krtani zastąpił odgłos łapczywego chłęptania przypominający ohydne bulgotanie gotującej się cieczy, a po nim znacznie spokojniejsze świst i obrzydliwe czkanie. Dopiero wtedy Khariusz był w stanie otrząsnąć się z początkowego szoku, warknął rozziewając i zaczął się szamotać.

Na próżno. Chude, szponiaste ręce przywarły do jego nadgarstków, trzymały je w taki sposób, jakby zaopatrzone były w metalowe haczyki. Opór Khariusza słabł, wrzask z wolna przemieniał się w jęk, jęk zaś stał się jedynie cichym, niemal bezgłośnym szlochem. Gdy już sądziłem, że całkiem się podda, nagle drgnął i walka zaczęła się od nowa. Tym razem rzucał się na boki, wył i zawodził, lecz i w tym przypadku nie zdołał się uwolnić. Słabnął, ruchy przybrały konwulsyjny charakter. Wreszcie, po trwającym wieki momencie, obrzydliwa kreatura zawisła nad Khariuszem, a nabiegłe czerwienią ślepia wpatrzyły się w nas znad ciała.

Odmierzałem tę pełną obłądnego strachu chwilę, zastanawiając się, czy ten demon, ta bestia w okaleczonym, kobiecym ciele nasyciła się, czy może jesteśmy następni w kolejce.

– Zemsta jest wreszcie moja – mruknęła Nina, przytrzymując się ściany i kołysząc na boki jakby była pijana.

– Nie żyje? – wychrypiał Basharti, opierając się o mur. Jego oczy łypały pożądliwie, język oblizwał odsłonięte zęby. Z przerażeniem stwierdziłem, że jestem jedynym normalnym człowiekiem w tym gronie. Czy on także dołączył do... do orszaku tych bestii z piekła rodem? Nie wiedziałem.

Nina Dubois kiwnęła zdawkowo. Wyglądało to groteskowo. Na twarzy doktora Basharti dostrzegłem pełen obłądu i nienawiści tryumf.

– Spalcie ciało – warknęła zwierzęcym głosem. – Prochy rozrzućcie na wiatr.

– Słyszał pan, doktorze... – Obróciłem się, lecz Basharti zniknął.

Nina zaczęła piąć się po schodach. Jej kroki były groteskowe, powłóczyście, a jednym z obwisłych ramion kreatura podpierała się o ścianę.

– Nina – zawołałem.

– Nie. Nie Nina. – Obróciła się. Naprawdę byłbym wdzięczny, gdyby tego nie robiła. – Nina nie żyje. Ja nazywam się Kora.

– Co, jeśli nie spalę ciała?

Miałem wrażenie, że ta kreatura, którą znałem kiedyś jako Ninę Dubois, się uśmiecha.

– Nie dopełnisz rytuału. Khariusz wróci.

– Dlaczego więc ty tego nie uczynisz?

– Był moim mistrzem – odrzekła. – Nie jestem w stanie z nim skończyć. Ty musisz.

– A co się stanie, gdy wróci?

Spojrzała w moim kierunku i zaniósła ochrypłym, pełnym zawiści i bólu śmiechem.

– A jak myślisz?

EPILOG

Drogi Panie Elthorn,

dostałem Pana list i z przyjemnością przeczytałem o tym, że nie zapomniał Pan o mnie, jak i o tym, czego byliśmy świadkami w Egipcie. Cieszę się, że wciąż Pan żyje i cieszy się zdrowiem. Sam przyznaję, że powróciłem do Kairu i staram się od jakiegoś czasu nie wzbudzać sensacji i trzymać w sekrecie rewelacje, których byliśmy świadkami. Wiem teraz, że to jedyna droga i jedyna szansa, aby normalnie żyć. Zwłaszcza po tym, jak dowiedziałem się o samobójstwie biednego doktora Basharti. Oby bogowie starożytnego Egiptu byli dlań łaskawi.

Miewam często nieprzyjemne myśli względem tego, co widzieliśmy. Myślałem, że władze coś uczynią, gdy pojechałem donieść o wszystkim. Odnoszę wrażenie, że nigdy nie słyszeli o tym, co im powiedziałem. W dodatku usiłowali przypisać nam część wypadków, które miały miejsce w pociągu. Rzekomo obsługa usłyszała jedną z naszych rozmów... Gdyby nie moje kontakty w konsulacie, myślę, że areszt, któremu zostałem poddany, skończyłby się więzieniem. Jednak nawet władze nie są w stanie nic zrobić z zapiskami, jakie na tę okazję sporządziłem. Puścili mnie wolno, uznając za niegroźnego wariata. Czy mam się jeszcze czym martwić? Naprawdę nie wiem.

Jakaś część mnie chciałaby tam wrócić i zobaczyć jeszcze raz to, co pozostało po spaleniu ciała Khariusza na pustyni. Na szczęście inna część wie, że byłoby to szaleństwo. Kto wie, czyja wola wywiera na mnie wpływ w chwilach, gdy mam podobne myśli?

Mam nadzieję, że my dwaj spotkamy się w lepszym świecie, jeżeli nawet nie w tym. Chciałem, by Pan przyjechał do Kairu, żebym mógł zobaczyć się z Panem. Rozumiem jednak powody Pana decyzji, aby nigdy więcej nie oglądać Afryki.

Zaklinam Pana, niech Pan nie podejmuje się wydania pamiętnika. Wiem, że Oni obserwują nas bez przerwy i jedynie czekają na naszą słabość, na potknięcie. Nie mam tu na myśli Khariusza czy też Karima Husleya, ale dwójkę, którą spotkaliśmy w zrujnowanym mieście, lub też im podobnych. Wiem, że Oni muszą mieć wpływy w rządzie i wykorzystają je, aby nas zdyskredytować. Egipt to prastary kraj i na zawsze będzie już do Nich należał. Nic nie zdziałamy, przeciwstawiając się Im.

Jestem cały czas obserwowany. Czasem są to ci okropni, brudni Beduini, lecz kiedy indziej to biali, gustownie ubrani mężczyźni, z pewnością Europejczycy. Czy Pan także podziela moje obawy?

Na Pana prośbę pociągnąłem za kilka sznurków, aby odkryć, co stało się z panną Niną Dubois. Niestety, nie mam dobrych wiadomości. Według opinii

wiarygodnych świadków panna Dubois schroniła się w jednym z kairskich szpitali, prowadzonych przez katolickich misjonarzy. Nie znam dokładnej nazwy placówki, mamy ich tutaj kilka. Według mojego informatora z dokumentów wynika, że doznała porażenia mózgu, na skutek którego zmarła 12 listopada 1872. Nieoficjalna wersja mówi coś o tajemniczych odwiedzinach i śmiertelnym skoku z okna. Nie zamierzam jednak dawać posłuchu plotkom. Najlepiej o niej zapomnieć. Sam Pan widział, co się z nią stało. Oby przestała nas nawiedzać.

Tyle, jeśli chodzi o moje śledztwo. Liczę, że przekonam Pana do moich racji i zostawi Pan sprawę swego wydawnictwa. Nie warto poruszać gniazda szerszeni.

Pozostaję do Pana usług i liczę na rychłą odpowiedź.
Życzę powodzenia i szczęścia,
Lucien Magon

[1] Ten akapit został przekreślony i musiałem poświęcić nieco uwagi i czasu, aby się w nim rozczytać. Świadczył jednak o poważnym konflikcie, który zaistniał między moją siostrą a jej guwernantką i dawał mi dość mocno do myślenia, podważając przy tym moje zdanie na temat irlandzkiej służącej (przyp. Thomas Elthorn III)..

[2] W kolejnym akapicie Clarissa całkiem zamazała tekst i jest on zupełnie nieczytelny. (przyp. Thomas Elthorn III).

[3] Kilka kolejnych stron musiało się zamoczyć, a próba odrywania ich, jedna od drugiej, zakończyła się częściowym zniszczeniem dziennika wraz z jego treścią. Tam jednak, gdzie atrament nie rozpuścił się, a strony udało się Clarze ocalić, mamy kilka dość istotnych zdań (przyp. Thomas Elthorn III).

JAROSŁAW KLONOWSKI

Mała Chińska Osobowość

Długowiecznik Królowe Tary

Wormiusa

Miriam

Tajemnicę świętego

Ognie świętego Wita

SPIS TREŚCI

Wstęp

1. Głos morza

2. W stronę Kapsztadu

3. Nina

4. Pieczęć

5. Sechmet

Epilog

Jarosław Klonowski